DAMIAN RUSZCZYC.

DAMIAN RUSZCZYC.

Powieść

z czasów Jana III.

PRZEZ

Fryd. hr. Skarbka.

W GRÓDKU
Nakładem i drukiem J. Czaińskiego
1890.

Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Kielcach
BIBLIOTEKA GŁÓWNA
197945

I.

Tak z dalekich pól sławy i nasz cień przychodzi,
Pośród pieśni żałobnych, pośród łez powodzi.
Brodziński.

Minęły już były jasne lata poranki; mgła ciężka kryła z daleka wioski i gaje; rychłe szrony osiadały na dopiero co wzrosłem zbożu; same sosny i świerki cieniły jeszcze lasy, których zwiędłe liście ziemię pokrywały. Po wszystkich drogach do wsi prowadzących snuli się wieśniacy wszelkiej płci i wieku, a odgłos dzwonu śmierci oznajmiał smutny powód ich pielgrzymki i opieszałych przynaglał kroki.

Zbierał się coraz liczniej lud pobożny do świątyni, której żałobne przystrojenie, i w głębokiem milczeniu odprawiane nabożeństwa pogrzebowy obchód oznaczały. Po kilku godzinach oczekiwania, to w kościele, to na przyległym cmentarzu, spostrzeżono konnego posłańca, który zawołał na sołtysa, dał mu jakieś zlecenie i pędem do dworu pospieszył.

— Dalej dzieci — przemówił do wszystkich stary Mateusz, sołtys gromady — pójdziemy naprzód wszyscy, bo już dawno ruszyli z ostatniego noclegu. Mój Boże, postradaliśmy naszego dobrego pana, już też teraz pod obcego przejdziemy, bo niemasz żadnego po nim syna, a córkę Bóg wie jaki tam szlachcic zaślubi.

Ruszyła się za nim gromada; starsi gospodarze naprzód, czeladź wiejska, kobiety i dzieci za nimi. Gdy wyszli za wieś i drogą ku Lwowu postępowali, rzekł jeden z gospodarzy do Mateusza:

— Słuchajcieno kumie, bo wy to najlepiej wiecie, powiedzcież nam, gdzie i kiedy on pomarł? kto jego ciało prowadzi?

— Pomarł! — odpowiedział Mateusz — zabilić go poganie, tam kędyś daleko na Rakuskiej ziemi, dokąd król nasz szlachtę i wojsko wyprowadził, aby wytępić Bisurmany, co chcieli nas prawowiernych zawojować i na psów pogan zamienić, a nie mogąc podołać z Polakami poszli na Niemców, bo z tymi łatwiejsza im się zdawała sprawa, i byliby ich wybili i zawojowali, ale, jak im się tylko nasz Jan ze swymi Polakami pokazał, niedługo wytrwali przed nimi i wszystko musiało uciekać do swojej dziczy. Ale mój Boże, nie jeden z naszych poległ tam, nie za swoich, nie na swojej ziemi; i nasz pan życiem przypłacił, zostawując jedyną córkę i nas sierotami. — To rzekłszy, zdjął czapkę, wzniósł oczy i ręce ku niebu, co inni za jego przykładem także uczynili, i dodał:

— Niechaj go Bóg wszechmocny przyjmie do swojej przenajświętszej łaski, wszakże on to za wiarę z pogany wojował.

— Aleć — zapytał jeden z włościan — kiedy tam zginął gdzieś daleko, któż tutaj jego ciało sprowadza?

— Oto tak, co wiem to wam i powiem — odpowiedział Mateusz. — Przed dwoma tygodniami powracałem za pługiem z roli, i mówiąc wieczorem różaniec, nie

zważałem co się za mną działo; aż tu przy skręcie, tam kędy te krzaki i krzyż stoi na rozstajnych drogach, gdzie to kiedyś owczarka zabili, woły się czegoś zlękły i na bok skoczyły. Cmoknąłem na bydlęta i spojrzałem; aż tu hajduk od królewskiego dworu na tęgim koniu za mną pędzi i raptem się zatrzymuje. Przeląkłem się zrazu, bom nie wiedział skąd się wziął przy mnie taki dragan. Niech będzie pochwalony, powiedział; na wieki wieków amen, rzekłem mu na to, i uspokoiłem się, bom poznał, że to jakiś co z Bogiem a nie z dyabłem trzyma. — A jest pan podkomorzy w domu? Jestci, odpowiedziałem, nigdzie nie pojechał, chyba żeby miał po południu gdzie wyjechać. — A córka podskarbiego jest w domu? mówił dalej. — Ta, odpowiedziałem, nie ruszy się nigdzie i krokiem, od czasu jak ojciec wyszedł na wojnę, codzień chodzi do kościoła, modli się żarliwie i często płakuje przy modlitwie nieboga. — Oj popłacze ona teraz dopiero, rzekł hajduk i ruszył naprzód, a jam czapczysko napróżno zdjął z głowy, bo już nie widział mego pokłonu. Aż tu mi mój Walek, co jest stróżem we dworze, powiada nazajutrz, że ten posłaniec od dworu królewskiego smutną przywiózł nowinę: *że pogani zabili naszego Jegomości* i że już ciało jego w drodze, i tutaj sprowadzone i pogrzebione zostanie. Co to było lamentu, co płaczu; a ta panna Maryanna w samych mdłościach była dni kilka i o świecie nie wiedziała. Od tego czasu posyłali a posyłali dowiadować się, czy nie prowadzą ciała, ale go długo nie było widać. Onegdaj dopiero przyjechał znowu taki drugi dragan ode dworu jak ów pierwszy, doniósł, że już prowadzą nieboszczyka i że

jest przy nim królewski jakiś dworzanin, który aż na miejsce ciało odprowadza. Rozbiegli się zaraz podstarościowie i zwołali nas, abyśmy zeszli się tutaj i wyszli naprzeciw karawanowi i oto idziemy teraz.

— A słuchajcie Mateuszu — zapytał gospodarz z innej wsi — prawdaż to, że tu coś pokutowało w zamku od kilku dni i jeszcze pokutuje, aż się ludzie nie chcą w nocy we wsi pokazać.

— A takci, tak — rzekł Mateusz — chwała Bogu żeć już będzie nabożeństwo, boć się przecież duszę zaspokoi: i mówią, że jak tylko pochowamy ciało, to już nie będzie pokutować. Ale co do dziś dnia, tobyście tu wytrzymać nie mogli: nikt z nas się nie waży wyjść przed sień jak się ściemni, i dlatego też, chwała Bogu, nikt z nas nic nie widział. Ale co to ludzie powiadają, to aż strach słuchać. Naprzód przed trzema tygodniami, jak państwo siadali do stołu a ksiądz pleban zmówił modlitwę, ni z tego ni z owego, buch... spadło na ziemię ze ściany malowidło, na którem był nieboszczyk Jegomość we zbroi odmalowany, chociaż nikt go się nie tknął i gwoździ na miejscu pozostał. Od tego czasu ciągle coś pokutuje w zamku; zawsze koło północka wyjeżdża wojak na siwym koniu z najwyższego okna narożnej wieży zamkowej, i jeździ po powietrzu w koło zamku, a jeździ i macha ognistym pałaszem, aż się skry na ziemię sypią; a w całym zamku taki wtenczas hałas, jakby niewiedzieć co ludzi po wszystkich izbach biegało.

Długo jeszcze opowiadał o strachach stary Mateusz, a wolniej za nim idący pospieszali, ażeby się przysłuchać jego powieści, i szli ciągle obok mówiącego, aż

gdy z daleka spostrzegli i poznali konie i ludzi prowadzących ciało Modrzejowskiego.

Żałobne mary szły przed wozem tryumfalnym, a naród pierwej witał straconych jak ocalonych synów ojczyzny. Takieto smutne widoki miały być zapowiedzią radości, którą chwała narodowa, krwią okupiona, wzbudzała.

Już dawniej sprowadzono do Polski szanowne zwłoki starosty halickiego, Potockiego, który jeden z pierwszych pod Wiedniem śmiercią bohaterską poległ. Modrzejowski, podskarbi nadworny w oczach króla swego, przy wypełnianiu jego rozkazów, śmiertelnie raniony, upraszał przy skonaniu pana swego, aby mu też samę łaskę wyświadczyć kazał. Królowa wypełniając wolę dostojnego małżonka swego, zleciła aby ode Lwowa towarzyszył zwłokom Modrzejowskiego znakomity dworzanin, któryby je familii oddał i w imieniu królewskiem obrzędowi pogrzebowemu był obecny. Zlecenie to wypełniał młody Francuz nazwiskiem Mondor, który się starał o nie, z powodu pewnej już zażyłości w domu niegdyś podskarbiego nadwornego, a nadewszystko dla dania dowodu czci i wysokiego poważania dla zmarłego i familii jego przed Maryą, której wdzięki mocno go były zajęły.

Osierociała na teraz Marya bawiła od czasu śmierci matki w domu podkomorzyny Łoskiej, ciotki swojej, która z rodzicielską troskliwością zastępowała miejsce matki w młodym wieku straconej, i nie mając sama potomstwa, Maryą jak własną córkę kochała. W tym domu odebrała ona staranne i przykładne wychowanie, a ojciec jej, ciągle na dworze królewskim przebywający,

łożył wszelkie starania, ażeby córkę do wyższego powołania usposobić i udzielić jej znajomość języków obcych, mało wówczas między niewiastami polskiemi upowszechnionych, a to w nadziei, że ją później przy sobie u dworu królewskiego będzie mógł umieścić.

Pełen otuchy, że sobie zjedna względy poważanej przez siebie familii, i że słuszny żal jej dzielić i utulić potrafi, zbliżał się Mondor na czele żałobnego orszaku, który zwłokom Modrzejowskiego do familijnego grobu towarzyszył. Skoro go idący naprzeciw niemu włościanie spostrzegli, zatrzymali się w licznem zebraniu napoprzek drogi, odkryli wszyscy głowy, zmówili modły za duszę zmarłego; a gdy orszak żałobny dalej postępować zamierzał, zawołał Mateusz do łez rozrzewniony:

— Panie wielmożny, który nam wracasz martwego dobrodzieja naszego, pozwól, żebyśmy go sami do jego niegdyś dziedzictwa wprowadzili. Dzieci, dodał obracając się do gromady, odłóżcie te konie, niech każden jak może uchwyci się żałobnego wozu; ćwierć mili mamy tylko przed sobą, a choćby i mil kilka, tobyśmy takiego pana w ciężkim żalu poprowadzili.

Chętnie zezwolił na to żądanie Mondor, a włościanie, nie czekając nawet jego przyzwolenia, w mgnieniu oka odłożyli konie i wóz żałobny ciągnąć zaczęli. Stary Mateusz szedł naprzód; wszyscy z odkrytemi głowami śpiewali głośno pobożne pieśni na uproszenie wiecznego spoczynku zgasłemu panu.

Gdy się ten tkliwy orszak o staj kilka do wsi zbliżył, zatrzymany został przez duchowieństwo w żałobnym stroju, ze znakiem Zbawiciela naprzeciw niemu

wyszłe, za którem familia nieboszczyka i licznie zebrane obywatelstwo postępowało. Nastąpiła chwila posępnego milczenia. Mondor zsiadł z konia i chciał się zbliżyć do podkomorzego, aby zlecenie swoje wypełnić, gdy przeraźliwy krzyk niewieści powstaje; wybiega z grona kobiet z wyrazem najsroższej rozpaczy Marya, przeciska się pomiędzy wszystkimi, nikt zapędu jej żałości wstrzymać nie może, spieszy do trumny czarnym kirem przykrytej, pada na nią, jakby ją chciała wziąść w swoje objęcia i przy rzewnym płaczu woła: — ojcze! ojcze! — lecz ulegając przemocy żalu traci siły, spuszcza zwolna zdrętwiałe ręce z trumny; zemdloną biorą na ręce nadbiegłe ku jej pomocy niewiasty i z pomocą mężczyzn do najbliższego pojazdu odnoszą.

Nastąpiła chwila nieładu, po której pomieszany Mondor ledwo zdołał się sprawić ze swego poselstwa. Mało kto zważał na jego wyrazy, bo wszyscy ciężkim żalem przejęci byli. Podkomorzy ledwo słów kilka odpowiedział. Duchowieństwo rozpoczęło obrzędy religijne, i przy odgłosie kościelnych dzwonów i duchownych pieśni wprowadzono zwłoki do świątyni.

Dzień cały zszedł głucho i posępnie; smutne wrażenia zbyt żywo zajmowały umysły, ażeby ktokolwiek o jakiej rozrywce mógł myśleć. Niewiasty nie odstępowały Maryi i ciotki jej, chcąc tkliwym udziałem przynieść jaką ulgę ich strapieniu. Sam Mondor tylko obojętny i innemi myślami zajęty, napróżno szukał jakiej rozrywki i złorzeczył temu, że się podjął przykrego dla siebie poselstwa.

W dniu następnym, przeznaczonym do uroczystego

obrzędu, więcej jeszcze obywateli przybyło z dalszych okolic. Od rana panował już w samym zamku zgiełk, od wszelkiego publicznego zebrania nieodłączny. Dworscy służący trudnili się przygotowaniem do pogrzebowej uczty, noszeniem stołów, ław i nakrycia wszelkiego rodzaju; a przybyłych gości dworacy, zgromadzeni w izbie czeladniej, przepędzali czas trzeźwości na rozmowach o duchach i cudach.

Damy zajmowały się to strojami, to kolejnem odwiedzaniem Maryi. Mężczyźni, zgromadzeni w głównej sali, rozprawiali głośno o ostatnich wypadkach wojennych, o skutkach dokonanej wyprawy, wpływie królowej do rządów i o prawach i prerogatywych Rzeczypospolitej, przy których na przyszłym sejmie obstawać wypada. Coraz żwawsza toczyła się rozmowa z powodu różnego zdania obecnych, stosownie do nadziei lub uraz, jakie kto miał w pamięci. Wejście Mondora przerwało żwawość rozprawy; wszyscy spojrzeli na siebie z wyrazem przestrogi, trącano się łokciami nawzajem i najzaciętsi oponenci po cichu już tylko rozmowę swoję kończyli. Wtenczas dopiero zaczęto mówić o nieboszczyku i rozszerzać się głośno z jego pochwałami, a po cichu sarkano na to, że królowa Francuzowi zleciła odprowadzenie zwłok jego, utrzymując, że to było ubliżeniem familii i obywatelstwu, niechętnie patrzącym w swojem gronie na osobę obcą, której się może wystrzegać wypadało. Niższy klerus był zajęty służbą kościelną; lecz głównie celebrujący dziekan miał nader czynny udział w obywatelskich rozprawach o przygodach pospolitych,

i wtedy dopiero pośpieszył do kościoła, gdy przybycie Mondora powszechną rozmowę przerwało.

Po chwili przymuszonej względności i pohamowania zapędów języka, przybył gospodarz domu i zaprosił spółobywateli i posłańca królowej, aby raczyli towarzyszyć mu do świątyni. Zaszły kolasy i karabany koleją starszeństwa właścicieli; lecz wszystkich uprzedziła Marya wraz z ciotką, a przybywszy do kościoła przed zebraniem się natrętnych osób, gorące modły do Boga łaski niosła. Gdy wszyscy przybyli i właściwe zajęli miejsca, rozpoczęły się obrządki religijne, a mianowicie wielka msza żałobna, wśród której wymowny kaznodzieja cześć zasługom poległego oddawał. Marya, ciągle w ciężkim smutku pogrążona, łkaniem tylko przerywała swe modły. Lecz gdy po skończonej mszy jeden ze znakomitych obywateli stanąwszy przy katafalku głos zabrał, i uniesiony świetnym zapałem czyny bohaterskie Modrzejowskiego wyliczać zaczął, gdy wspomniał, że ojczyzna nazwisko jego wiecznej przekaże pamięci; ocuciła się poniekąd Marya, wzniosła głowę i nieoschłe jeszcze od łez oko śmiało na katafalk zwróciła, na którym miecz i przyłbica od rzęsistego światła połyskały. To oko było spokojne, jak wryte w wojenne znaki, lecz w niem jaśniały najżywsze uczucia duszy, ów zapał bohaterski, który i w niewieściem sercu niekiedy rozniecić się może. Zwolna mijało uniesienie chwilowe, oczy zwróciły się ku niebu i wyraz błagalnej żałości zajął miejsce tych mocnych zarysów męstwa, które dopiero twarz jej odznaczały. Czulsze wyrazy mówcy rozbroiły na chwilę tylko silną duszę, łzy wróciły do powiek, i ta, co dopiero

mścicielkę ojca zapowiadała, już tylko rozczuloną córką być umiała.

Po skończonem nabożeństwie i złożeniu ciała w familijnym grobie, wrócili wszyscy do zamku na pogrzebową ucztę; lecz Marya nie okazała się więcej gościom i przez dni kilka mieszkania swego nie opuszczała.

II.

Obcych do nas przychodniów było to zwyczajem.
Tuczyć się naszym chlebem, a pogardzać krajem.
Bezimienny.

Zasmucony nie tak dalece żałobnym obrzędem, którego był świadkiem, jako raczej własnem niepowodzeniem zamiarów, wracał Mondor do Żółkwi, gdzie wówczas królowa przebywała. Był przy niej sekretarzem przybocznym niejaki Clotomont, ziomek i przyjaciel Mondora, który bliższym będąc królowej, potrafił wyjednać dla niego tak niepomyślnie zakończone poselstwo. Do tego powiernika i dobroczyńcy swego udał się Mondor natychmiast po powrocie, aby mu urzędownie przybycie swoje oznajmić, i aby dalszych rad jego zasięgnąć.

Wchodząc do mieszkania jego, zastał go siedzącego przed kominem w ogromnem krześle. Kamerdyner zajęty był robieniem tupetów, on zaś trzymał w ręku papier i zdawał się zatopiony w rozmyślaniu.

— A, dzień dobry Mondorze! — rzekł do wchodzącego, — jakże się powiodła wyprawa, czy serce zdobyte? czy też piękność jak zawsze okrutna i nieprzebłagana?

— Ani jedno, ani drugie — rzekł Mondor spierając się z niechcenia na kominie. — Ale nim ci opowiem co się działo, trzebaby uwiadomić królowę żem przybył.

— A czy nie widzisz żem jeszcze nie ubrany? Ani królowej nie pilno dowiedzieć się o twojem przybyciu, ani tobie z tego nic nie przyjdzie, że się wcześniej o niem dowie, a tym bardziej też mnie nikt nie nagli wyskoczyć na obojga rozkazy. Ja tu mam co pilniejszego w ręku, a widzisz że się nie spieszę. Oto jest pokorniuchny, pełen miłosnych afektów list królewski, na który mam odpisać w stylu małżonki pani i radzić Jegomości, ażeby więcej dbał o siebie i swoich póty, póki ma oręż w ręku. A to wszystko musi być gotowe za godzinę, bo królowa jeszcze w tym liście zwyczajne swoje cyfry przypisze, a posłaniec odjeżdża przed południem. Więc jakże tam było, jakżeśmy daleko zabrnęli w odmęcie miłości?

— Tak, ty możesz sobie tak ozięble mówić o tem, co cię nie obchodzi i grzejąc się przy cieple szczęścia, szydzić sobie z nieszczęśliwego, dla którego pogodny promień fortuny zabłysnąć nie chce.

— Mój kochany, bez metafor, proszę cię. Ja się grzeję przy cieple kominka, który jest jedyną pociechą moją w tym niegodziwym kraju, gdzie winogrona nie dojrzewają i w którym już trzeba marznąć, kiedy u nas jeszcze pod gołem niebem tańcują. Pewnie to boreasz i północne akwilony miłosnym zamysłom Jegomości na przeszkodzie stanąć musiały. Nie było pory sposobnej do romansowych przechadzek po gajach i dolinach, nie można było wzdychać przy świetle księżyca, ani z gi-

tarą w ręku przygrywać Dulcynei, a siedząc ciągle w okopconej izbie w obec jakiego męzkiego lub żeńskiego Argusa, nie można było i słówka najmilszej szepnąć do ucha.

— Czyś już skończył? bo jeźli nie, to ja wcale zaczynać nie będę.

— Nie gniewaj się Jegomość, słuchać będę cierpliwie lamentów amanta. Więc tedy twoja najukochańsza...

— Ledwo że mi się pokazała i ani słowa ze mną nie mówiła.

— Winszuję! było po co w tak piękny czas i w tak dobrą drogę kilkanaście mil donkiszockiej wyprawy odbywać. Ale dlaczegoż ona tak była okrutną? któż temu winien?

— A któż, jeżeli nie ty?

— Ja? a, mój kochany, tego nawet rozumieć nie mogę; przecież nie jestem czarnoksiężnikiem, żebym ciebie lub ją oczarował!

— Ale jako doświadczeńszy mogłeś przewidzieć, że mi wcale nie wypadało ze złemi nowinami jechać do domu tego, gdzie sobie chcę miłość i względy zjednać.

— Czemu nie? i owszem, prowadzenie zwłok ojca panny było dowodem poszanowania, którem dla niego przejęty byłeś, i chęci oddania mu ostatniej przysługi. Byłeś posłannikiem królewskim i powinieneś był być tłumaczem jego żalu. Ileżto powodów do poważania i nawet do wdzięczności? Jak piękne było powołanie twoje?

— Bardzo piękne! zwyczajnie posłaniec złe nowiny

przywożący, którego trzeba przyjąć, nakarmić i napoić, ale z którym gadać nie chcą.

— Więc się może i upiłeś, miałeś przynajmniej sposobność utopienia twoich zgryzot; szkoda tylko że w węgierskiem winie, a nie w naszem wybornem Bordeaux.

— Ty ciągle żartujesz, i ja widzę że się od ciebie żadnej rady nie doczekam.

— I owszem, rada u mnie zawsze na pogotowiu i to najwyborniejsza dla ciebie. Oto, wybij sobie te niewczesne zapały i romanse z głowy, bo cię to koniec końców do niczego więcej nie doprowadzi, jak tylko do głupiuteńkiej żony.

— Ty zawsze sądzisz o ludziach z uprzedzenia, i w ogólnym zdaniu swojem żadnego nie przypuszczasz wyjątku; ja ci zaś powiadam, że piękna Marya ma czułe serce, a do tego, jak ci dobrze wiadomo, znaczny bardzo posag.

— Ten ostatni argument przeważa. Zmieniam zdanie moje i radzę ci, ażebyś się postarał o uwolnienie od służby na czas niejaki i po upłynionym czasie przyzwoitej żałości, póty oblegał serce panny Maryi, póki go nie zdobędziesz.

— To nie może być, ja w jej domu niczego nie dokażę, ona ma jakiegoś narzeczonego, który za królem poszedł pod Wiedeń, a jak ten powróci, to ja pewno odprawkę dostanę. Ale myślałem nad tem, czyby jej tutaj sprowadzić nie można.

— A zapewne, to będzie daleko wygodniej dla Je-

gomości; alem jeszcze o podobnej konkurencyi jak żyję nie słyszał.

— Na wszystko jest sposób; obmyśliłem środek, przy którym wszelkie względy i najściślejsza przystojność zachowane zostaną, a panna jednak bardzo chętnie do nas tutaj przybędzie, i to wszystko na tem zależy, abyś ty tylko chciał.

— A, ciekawy bardzo jestem, jakim sposobem.

— Oto, niech ją tylko królowa przez wzgląd za zasługi ojca przyjmie do dworu swego.

— Nie zła myśl, ale to troszkę moję władzę i moje wpływy przechodzi. Trzeba do tego użyć przemożniejszego pośrednictwa; dzisiaj jestem na wieczór u margrabiego d'Arquain, bądź tam ze mną, a zobaczymy, co się da zrobić.

Margrabia d'Arquain, ojciec Maryi Kazimiery królowej polskiej małżonki Jana III, należał do tych szczęśliwych ludzi, którzy całej przyjemności znaczenia bez żadnych trosk i trudów używają. Żył on na dworze polskim swobodnie i wesoło, bo go ani kraj, ani przygody pospolite nie obchodziły; nie piastował żadnego urzędu, nie miał żadnych obowiązków, a miał wszelako to poważanie, które wzbudza w ludziach łaski potrzebujących wpływ u panujących posiadany. Mógł on bezkarnie naigrawać się ze wszystkiego, co mu się w rządzie i w kraju nagannem lub śmiesznem być zdało; mógł uchodzić za przemożnego pana i protektora, nie czyniąc żadnych na to nakładów; mógł wdawać się w sprawy pospolite, osobistość jego obchodzące, nie nara-

żając się nawet na wymówki i sarkania, dla tego, że tylko pod zasłoną tajemnicy działał.

Częste bywały u niego schadzki, na których późno w noc czas na biesiadach i grze trawiono. Mało on przestawał z Polakami, i tylko ziomkowie jego bywali najczęściej przypuszczani do używania z nim wespół wszystkich przyjemności wesołej zabawy i wykwintnego stołu.

Gdy Clotomont wraz z Mondorem na podobną biesiadę do mieszkania jego wchodził, zastał samych ziomków swoich grą zajętych. Wielki stół we środku pierwszego pokoju stojący, otoczony był ze wszech stron grającymi, którzy to chciwie pogląd ali na karty w lewą i prawą stronę zręcznie z rąk bankiera wypadające, to odwróceni od stołu darli z gniewem karty zdradzieckie, to nakoniec z wypogodzoną twarzą sięgali przez wszystkich po datek przez los im przysądzony. Napróżno powitał niektórych Clotomont, gdyż żaden oka z głównego przedmiotu nie spuścił; minąwszy ich przeszedł do drugiego mniejszego pokoju, gdzie margrabia d'Arquain z margrabia de Bethune, siedząc przy kominku u mniejszego stolika, w pikietę grali. Na palcach weszli przybyli dworzanie, nie chcąc przeszkodzić rachowaniu punktów, skłonili się z uszanowaniem grającym i lekkie głowy skinienie w odpowiedzi od nich odebrali. Po skończeniu partyi, gdy się margrabia de Bethune do następnego dania kart zabierał, raczył margrabia d'Arquain powitać Clotomonta i Mondora, i zapytać się o powodzenie wyprawy tego ostatniego. Clotomont odpowiedział na to ze zwykłem sobie szyderstwem i chciał naprowadzić

rzeczy tak, aby o wiadome pośrednictwo ojca królowej prosić.

Lecz margrabia de Bethune przerwał mu i rzekł z urąganiem obracając się do Mondora:

— Cóżto za jakaś niezrównana piękność, do której ty wzdychasz Mondorze? Czyż można znaleść upodobanie w tych woskowych figurach, które tu na prowincyi wszędzie spotykamy? Wszystkie kobiety polskie są tak zimne jak lody, które niedługo cały ich kraj pokryją.

— Mondor ma jednakże mocne powody zaprzeczać temu zdaniu, rzekł Clotomont, i twierdzi: że potrafi w pięknej Maryi tak żywe czucie obudzić, jakie w nim jej wdzięki i nadewszystko posag ocuciły.

— Nie śmiałbym, odparł na to Mondor, odezwać się tutaj z mojem zdaniem, bo to za uprzedzenie poczytane zostanie; lecz pomimo że zawsze tęsknię za niezrównaną uprzejmością kobiet naszych, wyznać muszę, iż nieraz już miałem sposobność wielbienia szlachetnych uczuć i skromności Polek.

Na te słowa obejrzał się z urągającym uśmiechem de Bethune, a margrabia d'Arquain rzekł do niego:

— Darować trzeba młodej wyobraźni w pierwszym uniesieniu miłośnego zapału, bo te nas zawsze zaślepiają, i dlatego nie dziw, że Mondor w uniesieniu więcej widzi jak to, co jest w istocie.

— Nie miałem ja, mości margrabio — odparł Mondor — żadnych powodów, ani sposobności do miłośnych zapałów, jak to dopiero Clotomont opowiedział; lecz gdym widział Maryą, ocucającą się z najcięższego zasmucenia na wspomnienie bohaterskich czynów ojca swego, gdym

widział rumieniec uniesienia barwiący na chwilę jej wybladłe lica i te ledwo co oschłe oczy iskrzące się najświetniejszym zapałem; przypomniałem sobie odważne Spartanki, które nam historya w tak pięknem świetle maluje, i wyznać musiałem, że Polka stawiła przedemną rzeczywisty obraz tego, co dotąd w wyobraźni mojej tylko istniało.

— Wiem, jaką ta Spartanka będzie małżonką, rzekł w równym zawsze tonie margrabia de Bethune, a jeżeli wytrwasz w miłośnym zapale, jeżeli co nie wątpię, dopniesz swego zamiaru; pomnożysz wówczas liczbę tych pokornych mężów, któremi cała Polska jest zapełniona.

— Nie wiem czy to jest wyłączny talent Polek — dodał z uśmiechem margrabia d'Arquain — panować nad mężami?

— Mnie się zdaje — rzekł Clotomont, nie domyślając się niby do czego uwaga ojca królowej miała zmierzać — mnie się zdaje, że to bynajmniej nie uwłacza kobietom, gdy umieją wziąść przewagę nad mężem; dowodzi to tylko mocy ich ponęt i wrodzonego dowcipu, za którego pomocą umieją zyskać względy małżonków.

— Albo dowodzi raczej — przerwał margrabia de Bethune — że małżonkowie są niedołężni i ograniczeni, skoro się niewieściej przemocy poddają.

— Czternaście króli i piętnasty sekwens — przerwał margrabia d'Arquain — dostaniesz pan mości margrabio, dziewięćdziesiąt; proszę przejrzeć swoję kartę, wszak nic wcale nie rachujesz.

Margrabia zajrzał do kart i przestał mówić, bo szło o znaczną zapłatę; a Clotomont nie śmiał przerwać

zrazu grającym, oni odnowić potem przedmiotu rozmowy któraby wszystkich na zbyt delikatną materyą była naprowadziła. Wkrótce też dano znać do stołu, i wszyscy obecni przeszli do sali jadalnej, w której zastali kolacyą na sposób francuski przyrządzoną i zastawioną.

Z początku zasiadło do stolika kilku posępnych, którzy straty swoje obliczali; lecz gdy wypróżniono kilka butelek wina ojczyznę przypominającego, zajaśniała wesołość na wszystkich twarzach, i ucinkowy dowcip ze wszystkich ust snuć się zaczął.

— Posil się, posil Mondorze! — rzekł margrabia de Bethune — boś pewnie zgłodniały po twojej wyprawie; miałeś los Tantala, kiedyś siedział przy stole zastawionym potrawami, których jeść nie można było.

— Wszakże on był na pogrzebie — rzekł jeden z obecnych — któż przy tak smutnym obrzędzie o biesiadowaniu myśleć może?

— Polacy — przerwał margrabia d'Arquain — i w tym razie jedzą i piją za siebie i za umarłych, a to tak zapamiętale niekiedy, iżbyś rozumiał, że żal po umarłym jest tak wielki, iż każdy życzy skrócić sobie życie przez nieumiarkowanie, aby się prędzej z nim złączył. Wszak prawda Mondorze?

— Ja nie byłem świadkiem takiej nieprzyzwoitości — odpowiedział Mondor — bom siedział u wyższego rogu stołu, gdzie krewni nieboszczyka i damy miejsce miały; ale na szarym końcu było dosyć głośno przy końcu obiadu.

— Panowie moi! — rzekł margrabia de Bethune, — od Mondora niczego się nie dowiecie; on patrzał na

wszystko przez szkło pobłażania, bo mu miłość to szkło przed oczy postawiła.

— Ja go wyręczę — zawołał Clotomont — bom nieraz miał zaszczyt należeć do biesiad polskich, i będę mu wszystkie zwyczaje i cały sposób postępowania recytował, a on niechaj zaprzecza, jeżeli może. Wszakżeście zasiedli do stołu, którego jeden koniec zdawał się należeć do pańskich pokojów, a drugi do przedpokoju. Wszystko decrescendo: u góry nakrycie dosyć porządne, u końca stół brudny; tam srebro połyskujące na wazach półmiskach, pucharach i sztućcach: tutaj cynowe misy i puchary, ani jednego noża, widelca lub łyżki na stole, bo każdy szlachcic dobywał własnego noża i widelca z zapasa, i łyżki rogowej na rzemyku do niego przymocowanej, i wszystkie potrawy kolejno, zrzuciwszy czasem kości pod stół, na jednym glinianym talerzu pożerał. U góry węgierskie wino, czasem spleśniała nawet butelka, u dołu narodowy miodek, który lica czerwieni i głowy zapala. Tam wielka piramida lub świątynia z lodowatego cukru, *nec plus ultra* sztuki kuchmistrza, tutaj ogromny stos pieczeni przez dwóch hajduków ledwo do izby wniesiony, którego czubek zawierał zwierzynę dla lepszych gości, a fundament z wołowej i baraniej pieczeni dla pospolitego ruszenia.

— Aleś przepomniał jeszcze — dodał Mondor — że drób i ptastwo dzikie, wierzch piramidy pieczonej kształcące, przez ręce zgrabnych konkurentów i pretendentów przechodzi, nim się przed wyższych gości dostanie.

— Tak, tak — dodał margrabia d'Arquain — jest to dowodem dobrego wychowania i wyższego poloru, kiedy

kawaler kapłona na powietrzu rozebrać umie; przez to samo już pannie podobać się może. No dalej, Mondorze daj nam dowód twojej zręczności, oto jest właśnie kapłon, na polskiej wprawdzie ziemi zrodzony, lecz po francusku utuczony i upieczony; zobaczymy czyś godzien otrzymać rękę panny Podskarbianki.

Te i tym podobne szyderstwa zajęły cały czas wieczerzy; przy wetach zaczęto śpiewać wesołe pieśni, i cała kompania z większym hałasem wróciła do gry, jak była od niej do biesiady przyszła.

Clotomont upatrzył czas, gdy margrabia d'Arquain od innych się nieco oddalił i przed kominkiem zasiadł, a przedstawiwszy mu zwięźle widoki i nadzieje Mondora, prosił wraz z nim o wstawienie się do królowej w wiadomej okoliczności. Margrabia przyjął prośbę łaskawie, i ucieszony tem, że miał sposobność okazania swego wpływu, obiecał swoję protekcyą proszącemu.

III.

. . . . . więc naucz świadom należycie,
Na czem zawisło, jakie u dworu jest życie?
Krasicki Sat.

Po upłynieniu kilku niedziel od pogrzebu Podskarbiego, następował dzień św. Salomei, uroczysty dla domu Podkomorstwa, w którym się całe sąsiedztwo i wszyscy krewni, dla złożenia powinszowań pani Podkomorzynie, zjeżdżali. Świeżo nadeszła nowina, skutek zabiegów Mondora, była niejaką pociechą po utuleniu pierwszego żalu, i miała uświetnić zwykły obchód rocznicy imienin.

Już się zjechały sąsiadki i powinowate państwa Podkomorstwa, i każda z nich oświadczała po kolei, iż długo się wahała, czy ma oddać attencye lub zaniechać tego dla świeżo doznanego smutku; lecz że chęć pocieszenia przemogła nad wszelkiemi innemi względami. Wszystkie zaś sprowadziła nie tak dalece nadzieja zabawy, jako raczej najświeższa nowina, która się po całem ziemstwie rozchodzić poczynała, że Marya Modrzejowska przez królowę na damę honorową powołaną została.

— Ach! moje serce — rzekła pani Kasztelanowa, poważana w całej okolicy dama, do Podkomorzyny po zwyczajnem powinszowaniu i powitaniu — z jakimże czułym afektem przyjęłam wieść pomyślną o sukcesach Jejmność panny Podskarbianki! jestto niemałym zaszczytem dla familii i dla ciebie kochającej ją ciotki, że w nagrodę zasług ś. p. jej ojca, córka jego tak wysokiego zaszczytu dostąpiła.

— Tedy to jest prawdą, co nas doszło — rzekła pani Chorążyna z miłym uśmiechem i spojrzała przytem na dwie dorosłe córki swoje, z wyrazem, który i zazdrość i żal malował — ach! jak mnie to cieszy — dodała równie z słodkim jak pierwej uśmiechem.

— A gdzież jest kochane dziecię? — rzekła stara Podstolina — wszakże ja ją nie raz piastowałam, kiedy jeszcze wszyscy na nią Maryneczko wołali. Mój Boże! czybym się też wtenczas była spodziała tego; gdzież jest tedy kochane dziecię?

— Nie spodziewała się dzisiaj tak rychło łaskawych gości — odpowiedziała Podkomorzyna — i ciągłym jeszcze smutkiem zajęta, nie łatwo dała się namówić na

to, aby włos trefiła i ozdobniejsze szaty przybrała, w jakich się między ludźmi okazać wypada.

— A — rzekła kasztelanowa — niechże odrzuci na bok wszelkie ceregiele, bo skoro przyjęła ofiarowane sobie miejsce, pamiętać winna, że strój wykwintny do pierwszych jej obowiązków należy.

— Między nami mówiąc — ozwała się nieco ciszej chorążyna — czy Waszmość Pani zważyłaś też dostatecznie niebezpieczeństwa, na które się jej synowica, na dworze takim jak nasz, z samych prawie cudzoziemców złożonym, naraża? Boże mię skarz, ażebym miała w czemkolwiek złe mieć *suspicye* względem stałości duszy panny Maryanny; wszelakoż...

— Nie lękam się w tej mierze niczego — odparła z przyciskiem podkomorzyna — synowica moja zbyt jest bogobojnie wychowana, zbyt utwierdzona w skromności i cnocie, ażebym na niej z zupełną ufnością polegać nie miała. Zresztą, będąc już narzeczoną z woli ś. p. ojca...

— Ale, ale — przerwała pani podstolina — a JP. Rotmistrz cóż na to powie, gdy za powrotem z wyprawy wiedeńskiej narzeczonej swojej w domu nie zastanie?

— Wypadało go się radzić w tej mierze — rzekła chorążyna z przyciskiem.

— Wypadało, zapewne — dodała kasztelanowa.

W tem otworzyły się nagle podwoje, wszystkich oczy zwróciły się na wchodzącą Maryą i wszyscy zamilkli.

W czarnym stroju, bez żadnej powierzchownej ozdoby, wchodziła Marya zwolna z wyrazem wewnętrznego żalu i pewnego utrudzenia, które w niej okazanie się

między obcemi osobami wzbudzało. Na śnieżnem czole rozdzielały się równo czarne włosy, i gładko schodząc się z tyłu, w kilku bez wstążek splecionych warkoczach po ramionach spadały. Żywe jej oko, zasępione jeszcze mgłą smutku, jaśniało jednakże tym wyrazem wyższości i żywego czucia, które piętnem jej duszy było. Wzniosła jej postawa, zręczna i pełna wdzięków kibić, obok szlachetnych rysów twarzy, przeznaczały ją poniekąd do wyższego powołania, do którego zawód zdawał się być właśnie przed nią otwarty. Skłoniła się z uszanowaniem starszym od siebie niewiastom, rówieniczkom z uprzejmą skromnością. Wszystkie przejęła na chwilę pewnem poważaniem, które miane o niej nadzieje wzbudzały.

Gdy siadła między pannami, wznowiono rozmowę o dworszczyznie, ale bez owych przymówek, których w jej obecności czynić nie śmiano.

— Muszę ja cię wziąść na osobność, moja kochana Marysieńko! — rzekła podstolina — i dać ci nie jednę zbawienną naukę, bo ja przebyłam przez to, co ciebie czeka. Za ś. p. króla Władysława prawie w twoim wieku byłam, kiedym podobnie jak ty do dworu powołaną została, i przez długi czas tam bawiąc, dopiero mi go wtedy porzuciła, gdy się ś. p. podstoli o moją rękę starać zaczął.

— Ale Waszmość Pani — rzekła chorążyna — nie byłaś zaręczona podstolemu, gdyś do dworu królowej odjechała.

— I owszem — odpowiedziała podstolina, tak samo

zupełnie jak panna Podskarbianka, i tak mu wiary dochowałam jak ona jej panu Rotmistrzowi dochowa.

— Świętą będzie zawsze dla mnie wola ojca mego — rzekła z pewną szlachetnością Marya — a pan Rotmistrz, lubo mi mało jeszcze dotąd znajomy, jako przez niego wybrany, jako jego towarzysz broni, jako mąż pełen męstwa, zawsze pamięci i poważania mego przedmiotem będzie, i dopełnię względem niego danych przyrzeczeń.

— O tem nie wątpię — rzekła podstolima — ale pomijając względy na skromność niewieścią i na wytrwanie przy raz obranych afektach, ważniejsze jeszcze, moje serce, masz konsyderacye, które przy dworskiej służbie nigdy z oka spuszczać nie powinnaś. A naprzód i nadewszystko aplikowanie i akomodowanie się Najjaśniejszej Pani twojej. Wierzaj mi, że na tem jednem i dalsza fortuna twoja i sukcesa tych wszystkich, którzy cię obchodzić mogą, stoją. A przez cóż dzisiejsza królowa do tego najwyższego splendoru doszła? Wszakże ona nastała do dworu króla Władysława, gdy ja go opuszczałam, była w wielkich łaskach u królowej, która ją z sobą z Francyi przywiozła; stąd poszło dobre zamęście pierwsze z panem Zamojskim, a *per consequens* drugie jeszcze lepsze, wielkie Hetmaństwo i nakoniec korona. Tak tak, panna dworska, która potrafi uskarbić sobie stateczną łaskę królowej, a takiej, co, między nami mówiąc, tak silną ma influencyą na króla Pana a małżonka swego, że mówię, taka dworska panna i sobie losy fortunne zabezpieczyć i tym, którym dobrze życzy, wielce pomocną być może.

— Bez wątpienia — dodała kasztelanowa — ja sama mogłabym z mojej familii przykłady na poparcie tego przytoczyć. Mam nawet wszelką nadzieję, że nasza panna podskarbianka, tyle powabów w sobie łącząca, tak pełna uprzejmości i gracyi, Najjaśniejszej królowej podobać się nie omieszka. Ale w tym razie serduszko, będziesz mi musiała pamiętać o jednym powinowatym moim z linii macierzystej, którego mi pan kasztelan zanadto zaniedbuje.

— Oh! to bagatele — rzekła podstolina — aby tylko raz potrafiła sobie zjednać afekt, to większe względy przyjaciołom swoim wyjednać potrafi. Ja np. nie chwaląc się, dopomogłam do starostwa pewnemu...

— Do starostwa? doprawdy? — przerwała chorążyna — to rzecz bardzo dobra: mój Boże! tyle ludzi zasłużonych oddawna próżną się tylko cieszą expektatywą. Bo gdyby panna Podskarbianka wiedziała, jak dawno mój mąż usługi swoje niesie krajowi, i jak wielkie ma prawo do tej łaski królewskiej, która go już tylekroć minęła...

Chciała dłużej jeszcze mówić chorążyna, gdy się drzwi otworzyły i bawiący w ubocznej izbie mężczyzni ze zwykłemi przy wejściu ceremoniami wchodzić zaczęli, aby się z damami połączyć. Z kolei winszowali podkomorzynie ci, którzy tego jeszcze nie uskutecznili, a każden zdawał się pospieszać z oracyą, ażeby mógł co prędzej zwrócić wzrok ciekawy na Maryą i pełnym poważania powitać ją ukłonem. Młodzi szczególniej, skupieni w pewnem oddaleniu, różne czynili spostrzeżenia nad całą jej postawą i wróżby względem dalszego jej przeznaczenia;

słowem, Marya była głównym przedmiotem uwagi i rozmowy wszystkich. Wszyscy ubiegali się o sposobność rozmawiania z nią, i starsi nawet z większem dla niej byli poważaniem, jak dla młodych niewiast zwykli byli okazywać.

Wkrótce po tej uroczystości, wśród której Marya tak mocno wszystkich zajęła, nastąpił dzień na odjazd jej do dworu przeznaczony. Już od dwóch dni panował smutek w całym domu, bo wszyscy ludzie służący żałowali serdecznie, że swoję kochaną panienkę postradają, która, to nie raz wyprosiła nie jednego od wyznaczonej nań kary, to dawała zasiłek w potrzebie i pielęgnowała w chorobie, a każdemu się corocznie w dzień swoich imienin pięknym upominkiem wywiązywała. Płakała potajemnie podkomorzyna, że kochanej Marynki dłużej przy sobie mieć nie będzie; i wtedy nawet, gdy się unosiła radością z jej wywyższenia, żal się skryty do tego wesela łączył, tak, że nie można było wiedzieć, któremu z tych uczuć przypisać łzy, które jej oczy przepełniały. I pan podkomorzy, lubo niełatwo czem wzruszyć się dający, mruczał ciągle przez dwa dni, chodził posępny po pokoju i raz wraz na Maryą poglądał, a gdy wyszła z izby, ustawicznie pytał: gdzieby była i czemu nie powraca, gdyż i tak niedługo już z nami zabawi.

Sama Marya, lubo z chęcią szła do królewskiego dworu, z powodu pięknych marzeń o świetnej przyszłości, które jej wyobraźnia przed oczy stawiała, nie mogła bez zasmucenia wspomnieć na chwilę rozstania się z tymi, z którymi najswobodniejszy wiek swój przeżyła. W dzień odjazdu wstała rano, przepędziwszy noc

Biblioteka Główna

prawie bezsennie na rozmyślaniu o tem, jaki będzie jej pierwszy wstęp na wielki świat, jakie przyjęcie od królowej? a nadewszystko jakie czeka ją szczęście, gdy będzie mogła oglądać codziennie uwielbianego przez siebie bohatera chrześciaństwa, który męstwem i cnotą dobił się korony; a przy nim tylu walecznych, którzy pod jego przewodem wobec całej Europy świetne zbierali wawrzyny.

Gdy wyjrzała za okno swej samotnej izdebki, smutek ogarnął jej serce. Jakże to wszystko było zimne i ponure w całem przyrodzeniu! Mgła gęsta zasłaniała oddalone chaty wieśniacze, do których w pogodnej porze nie raz z pociechą i ulgą wchodziła. Gaik brzozowy na lewo, który się stykał z ogrodem, był cały z liści ogołocony, a te gałązki, niegdyś świeżo umajone, pokrył dzisiaj szron biały, który zimę i odrętwienie całej natury zwiastował. Pusta była łąka pod gajem, z daleka tylko wił się po dolinie dym z tlącego się jeszcze ogniska, od którego pastuszek wieczorem był odbiegł. Zamiast wesołego skowronka i szczebiotliwej jaskółki, złowróżbe tylko kruki i wrony bujały po powietrzu i osiadały na dachu zamkowym. Ten widok ogołoconej z wszelkich powabów okolicy, to jej osierocenie z tego wszystkiego, co jej życie nadawało, przykre wrażenie czyniło na umyśle Maryi.

— Ach! czy ja z tej cichej zagrody, gdzie mnie wszystko kocha, co tylko mnie otacza, nie przejdę w świat taki, gdzie wszystko obcem i zimnem dla mnie będzie! Czy porzuciwszy tutaj niewinne pociechy i co dzień doznawane dowody przywiązania, nie wejdę po-

między takich, którzy radości ani smutku mego dzielić nie potrafią. Ah! czy tam większą jak tutaj nie będę sierotą?

Tak rozmyślała Marya, i te wyrazy wewnętrznego głosu zdawały się przykro obijać o jej uszy.

— Sierotą! — powtórzyła głośno składając smutnie ręce, i zwolna od okna zwróciła wejrzenie na portret ojca, który nad jej łóżkiem wisiał. Zadrżała spojrzawszy na niego; zdawało jej się, że jakiś niezwyczajny wyraz na twarzy jego spostrzega; nie śmiała odwrócić oczu, a z tęsknem uczuciem na malowidło patrzała. Nakoniec natchniona myślą szczęśliwą, która ulgę jej strapieniu przynieść miała, wybiegła szybko z pokoju i pośpieszyła do kaplicy zamkowej, do której się domownicy na mszę ranną zbierać zaczęli, ażeby męstwa i wytrwałości dla siebie uprosić u Boga, i za nieodżałowanego ojca błagalne ku niemu nieść modły.

Dzienne światło, przedzierające się przez górne okno nad ołtarzem umieszczone, słabo oświecało jeszcze kaplicę, i świece na ołtarzu palące się rzucały drżące światło na przyległe przedmioty. Cichość, która panowała w tym przybytku pobożności, przerywały tylko modły w pokorze przez domowników szeptane. Przybycie Maryi przerwało na chwilę ich uwagę, wzbudziło kilka westchnień w żałujących je służących, i nowy dało przedmiot ich modłom: pomyślność w podróży i w dalszem jej powodzeniu. Marya uklękła przed ołtarzem i w żarliwem uniesieniu myśli całej do Boga, nie dostrzegła podkomorzego z żoną, którzy wspólnie z nią o jej szczęśliwość modlić się zaczęli. Natychmiast po ich przybyciu

wyszedł kapelan, i odprawiwszy mszę czytaną, obrócił się przy ołtarzu i odmówił w głos modlitwę za podróżnych, pobłogosławił Maryą i jej ciotkę i obiedwie wodą święconą pokropił.

Po załatwieniu wszelkich przygotowań do odjazdu nastąpiła chwila opuszczenia domu, który dla Maryi rodzicielskiego miejsce zastąpił. Podkomorzy był jeszcze zajęty dokładnem oglądaniem sześciokonnego zaprzęgu, powozu i barwy służących na ten uroczysty odjazd świeżo sprawionej, a wydawszy ostatnie rozporządzenia, wrócił do pokojów i z wyraźnym żalem oznajmił, że wszystko gotowem było do odjazdu. Rzewnie płakała Marya, gdy jej się z nim żegnać przyszło, i on nie mógł utaić łez kilku, które niezręcznie ręką chciał otrzeć. Od niego przeszła do ludzi służących, każdego hojnie obdarowała i cała rozżalona z ciotką do pojazdu wsiadła.

IV.

Tam sama muszę siedzieć pomiędzy obcemi,
Losami oddzielona od rodzinnej ziemi,
Biadaż mi żyć daleko od rodzinnej strzechy!
Nikt łzom nie wyrozumie, nikt nie da pociechy.
Często tam, prawda, czynią jakby mię kochali,
Lecz jestże to już miłość?...

Brodziński.

Z bijącem sercem zbliżała się nazajutrz Marya do żółkiewskiego zamku. Zbladła i drżenie przejęło ją całą, gdy ujrzała Haraj, ogród królewski na górze założony, który od tej strony Lwowa widok samego zamku za-

słania. Wcześnie był naznaczony dzień i godzina stawienia się Maryi u dworu; dlatego jechała już ode Lwowa w stroju przyzwoitym do okazania się przed królową. Pomimo nalegania ciotki nie chciała przystać na zdjęcie wszelkich znaków żałoby, i dlatego ubrana była w czarną aksamitną suknię i ani pereł ani dyamentów nie użyła; włosy tylko białą muślinową przepaską ozdobiła.

Już wjeżdżał pojazd na dolinę, w której się wznosił zamek królewski, już widać było w otaczających go domach i w dziedzińcu ruch dworzan i panów, który bliskość mieszkania królewskiego oznaczał. Pojazdy wjeżdżające jedne za drugiemi pod sklepioną bramę, która na dziedziniec zamkowy wychodziła, oznaczały, iż właśnie była godzina prezentacyi i przyjmowania na pokojach królowej. Wjechał za niemi i pojazd podkomorzyny, a przejeżdżając obok uszykowanych na dziedzińcu innych pojazdów wytrzymać musiał szyderską krytykę dworskich woźniców, z paradnej zaprzęgi wiejskiego pana szydzących.

Mondor spostrzegł z okna górnej sali niecierpliwie przez siebie oczekiwanych gości, pospieszył na dół naprzeciw nim, i z wyrazem najtroskliwszej attencyi przewodniczył im w przejściu przez przedpokoje, gdzie hajducy i Węgrzyni uszykowani byli, a odźwierni w poruszeniach swych do machin podobni, drzwi szeroko przed nimi otwierali. Przeszli przez salę paziów urodą i strojem znamienitych, którzy wszyscy przez zachowanie powierzchowności uszanowania pełnej, ukradkiem wzrok ciekawy na struchlałą Maryą rzucali. W następującej sali oznajmił Mondor przybycie oczekiwanych

dam szambelanowi służbę czyniącemu, który pospieszył z tem doniesieniem do marszałka dworu, i wkrótce je do sali wspólnego zebrania wprowadził.

Z nieśmiałością postępowała Marya obok podkomorzyny świadomszej zwyczajów i etykiety dworskiej, i straciwszy zwykłą sobie żywość i odwagę, nieporównanym wdziękiem skromności uprzejme i pobłażające wejrzenie obecnych sobie jednała. Znajome damy i panowie zbliżyli się do podkomorzyny i różnemi mniej więcej szczeremi oświadczeniami powinszowania i życzenia swoje składali. Obecne damy i panny dworskie przebiegały śledczem okiem kibić i ubior Maryi, i po cichu rozmaite nad niemi czyniły dostrzeżenia; a jeżeli która mniej łaskawe zdanie oświadczyć chciała, mimowolnie odstąpiła od zamiaru, skoro tylko wejrzenie Maryi pełne anielskiej słodyczy i skromności spotykała.

Po niejakim czasie oczekiwania otworzyły się podwoje, dwaj szambelanowie oznajmili przybycie królowej; za nimi postępował marszałek dworu, a na jego ukazanie się uszykowali się panowie i damy koleją starszeństwa i według zwyczaju u dworu przyjętego. Wkrótce weszła królowa, otoczona damami dworskiemi i dworzanami; za nią postępowali w pewnem oddaleniu margrabiowie d'Arquain i de Bethune. Uprzejmie powitała królowa zgromadzenie, a szczególniej pierwszych senatorów, którzy byli przyjechali do Żółkwi na jej wezwanie. Marszałek dworu chciał przedstawić osoby obecne, lecz królowa dała mu znak, iż dobrze jej są znajomi znakomitsi panowie, którzy na czele zgromadzenia stali, i do nich obracając mowę rzekła:

— Niezadługo, panowie moi, cieszyć się będziemy oglądaniem N. Pana, a małżonka mego; ostatnie wiadomości od wojska odebrane zwiastują nam rychły powrót jego, i mam nadzieję, że święta Bożego narodzenia razem z królem przepędzimy. Kazałam was prosić, ażebyście chcieli tutaj się stawić, a to dla tego, że wiem, iż każdy będzie chciał pospieszyć powitać króla i braci swoich z tak chlubnej wyprawy powracających, i uświetnić swoją bytnością tryumfalny ich powrót do ojczyzny. Dwór wyjeżdża do Krakowa w pierwszych dniach miesiąca grudnia, ażeby wcześnie zrobić przygotowanie na przyjęcie króla i zwycięzkiego wojska; zapraszam was tedy, panowie moi, do tej starożytnej stolicy waszej, ażebyście i radość moję dzielić i pociechy królowi dodać mogli.

Odpowiedział na to jeden z wojewodów obecnych, oświadczając tak radość narodu z tej pocieszającej wiadomości, jako i gotowość wszystkich senatorów i całego obywatelstwa do wyjechania naprzeciw królowi.

Od nich przeszła królowa do innych osób, które jej już marszałek kolejno przedstawiał, rozmawiając z niemi mniej więcej długo i uprzejmie, stosownie do znaczenia osoby. Gdy się zbliżyła do podkomorzyny i nazwisko Maryi z ust marszałka usłyszała, lekki ironiczny uśmiech osiadł na jej ustach; spojrzała ciekawie na Maryą, a potem z lekka obróciła oczy ku margrabiemu d'Arquain i bardzo nieznacznie głową kiwnęła. Następnie obracając mowę do podkomorzyny, rzekła:

— Dziękuję Waszmość Pani, że mi chce powierzyć synowicę swoję; możesz być pewną moich względów i

łaski dla niej; ceniliśmy z królem bardzo wysoko nieodżałowanego jej ojca, i mamy nawet obowiązek opiekowania się jedynem jego dzieckiem.

Podczas tej przemowy, na którą podkomorzyna i Marya tylko pełnym poszanowania ukłonem odpowiedziały, zbliżyli się ku nim ojciec i szwagier królowej, i nie spuszczając oka z Maryi, po cichu udzielali sobie uwag nad jej wdziękami. Dziwny przedstawiało widok tych dwóch panów francuskich w trzewikach, kuso ubranych, z naramiennikami ze wstążek różnego koloru, w perukach, z dużemi kapeluszami z strusiem piórem pod pachą, towarzyszących ciągle królowej, uwijających się najśmielej po pokojach królewskich, na dworze polskim, wśród znakomitych Polaków. Postawa i strój poważny polskich panów poszanowanie wzbudzały, a obcym przechodniom postać bawić ich mających sztukmistrzów nadawały. Widać było w królowej chęć udzielenia uwag swoich tym dwom panom; lecz powaga, którą zachować musiała, nie dozwoliła jej tego. Wkrótce obszedłszy rząd przedstawionych osób, wróciła w tem samem towarzystwie do własnych pokojów, a margrabia de Bethune przy wyjściu raz jeszcze na Maryą się obejrzał.

Minęła krótka chwila przedstawienia, która tyle obawy i nadziei w Maryi wzbudziła. Wszelkie jej oczekiwania nie zostały ziszczone: lękała się wprzódy pomieszania w rozmowie z królową, a do tej rozmowy żadnej nie znalazła sposobności. Spodziewała się doznać tej łaskawej dobroci, która się na całej twarzy świadczyć ją umiejącej osoby maluje; rozumiała, że znajdzie w królowej ten obraz dobrotliwej matki, któryby dla

niej sieroty tak wielką był pociechą; lecz uprzejmy uśmiech królowej nie miał wyrazu szczerości i słodyczy, jej oświadczenie łaski i przychylności, lubo tak wiele obiecujące, było zimne i nie uczuciem przyjaznem natchnione. W milczeniu szła Marya za tłumem wychodzących z pokojów królewskich. Wszystko co widziała było dla niej nowością, mogło być ciekawem nawet, ale żadnego miłego wrażenia w umyśle nie zostawiało. Gdy wyszła z zamku, gdy z ciotką wyjechała z przybytków królewskich, było jej jak po śnie łudzącym, który wielą błyskotkami na chwilę uśpioną głowę bawił, a w pamięci nawet nie został.

Wkrótce po powrocie swoim do mieszkania, nawiedził podkomorzynę Mondor, i oświadczając się z gotowością służenia w każdym razie, dał radę: iż wypada niezwłocznie oddać wizytę Wielkiej ochmistrzyni panien dworskich, którą on, jako współrodaczkę swoję, uprzedził był o rzadkich przymiotach Maryi.

Znużona i zniechęcona pierwszą swoją bytnością u dworu, wymawiała się długo Marya od usłuchania tej rady; lecz Mondor tak mocno przekonywał o potrzebie wykonania tego, co za obowiązek poczytać należało i ciotka tak bardzo przy tem obstawała, iż się wymówić nie mogła. W wieczornej godzinie udały się przeto nasze damy do Wielkiej ochmistrzyni dworu, która większą obawę, a mniej nadziei w Maryi wzbudzała niżeli królowa.

Nie zawiodła się w tem nieprzyjemnem przeczuciu. Pani de Feud'herbe, ochmistrzyni dworska, pewne zwierzchnictwo nad nią mieć mająca, była francuzką znamienitego rodu, przejęta dumą panom tego narodu właściwą,

źle o wszystkich Polkach uprzedzona i w pełnieniu swoich obowiązków tylko dla francuskich panien przychylna. Wcześnie uwiadomiona o powołaniu Maryi do dworu królewskiego, z niechęcią przyjęła tę wiadomość, ponieważ to wyniesienie jej do rzędu panien dworskich bez jej wpływu i rady nastąpiło. Z wyraźną niechęcią i z urąganiem słuchała pochwały, które Mondor Maryi dawał; uraziła się nakoniec tem, że się podkomorzyna wprost do dworu udała, i jej pośrednictwa w przedstawieniu królowej siostrzenicy swojej, nie użyła.

Gdy podkomorzyna, za poprzedniem oznajmieniem swojej bytności, weszła do jej mieszkania, zastała ją w towarzystwie kilku dam siedzącą na kanapie i żywą rozmową zajętą. Nie raczyła wyjść naprzeciw wchodzącym, lecz unosząc się nieco z kanapy, kiwnęła zwolna głową, tak, iż strusie pióro, na wierzchu jej głowy zatknięte, miarę tego poruszenia oznaczyło; i wskazując na krzesło próżne, dała damom znak do zajęcia miejsca: poczem obróciła się do jednej z dam polskich i zapytała jej przytłumionym głosem: czyliby przybyłe panie po francusku umiały? Otrzymawszy równie cichą odpowiedź, iż młodsza mówi tym językiem, a starsza nie, zwróciła się do Maryi i rzekła:

— Jaki jest wiek WPanny?

— Siedmnaście lat — odpowiedziała Marya z tym wyrazem dającym poznać uczucie uchybienia i szlachetność w znoszeniu onego.

— WPanna bardzo młodo na wielki świat wychodzisz — rzekła dalej ochmistrzyni.

— Wypełniam w tem rozkaz królowej — odpowie-

działa Marya — a Najjaśniejsza Pani musiała osądzić, iż mam wiek przyzwoity do poświęcenia się jej usługom, kiedy mię do nich powołać raczyła.

— Ale — rzekła ochmistrzyni obracając się do obecnych dam — to piękne dziecię, wcale gładko i płynnie po francusku mówi, jej wyrażenia są stosowne i nawet wyszukane. A obracając się do Maryi dodała z przymuszoną słodyczą:

— Jakże się WPannie podobało u dworu?

— Zbyt krótką chwilę na nim przepędziłam, abym na to odpowiedzieć mogła — rzekła Marya spokojnie.

— Ale później, gdy dłużej z sobą będziemy — rzekła z fałszywym uśmiechem ochmistrzyni — pewna jestem, iż WPanna znajdziesz upodobanie w pożyciu dworskiem.

— Starać się będę przypodobać królowej przez ścisłe wypełnianie obowiązków moich — odpowiedziała Marya, — a jeżeli tą drogą potrafię uzyskać względy monarchini, będzie to jedyną moją pociechą po rozstaniu się z sercami kochającemi, wpośród których wzrosłam. — Przy tem obróciła się do podkomorzyny i z wyrazem wdzięczności ścisnęła jej rękę.

— Serca kochające! — rzekła ochmistrzyni. — Na tych WPannie, zwłaszcza u dworu, zbywać nie będzie; kto ma tyle powabów i uprzejmości, potrafi sobie łatwo zjednać przyjaźń i miłość tych wszystkich, co go otaczają. WPanna masz już tutaj wielkiego czciciela w panu Mondorze; tyle mi pięknych rzeczy o niej mówił... i widzę, że bynajmniej nie przesadził swego pochlebnego obrazu.

— Pan Mondor, — odpowiedziała spokojnie i z pewną

powagą skromności; — bardzo mało jest mi znany; widywałam go w domu ś. p. ojca mego, i teraz gdy smutnego dopełniał zlecenia... — Rozrzewnienie nie dozwoliło jej mówić dalej, zamilkła i spuściła oczy łzą zaszłe.

Ochmistrzyni, przypisując pomieszaniu to nagłe przerwanie mowy, spojrzała ze złośliwym uśmiechem po obecnych damach i dodała:

— Pan Mondor jest bardzo grzecznym i dobrze wychowanym człowiekiem.

Marya ochłonęła wkrótce z żalu, i dostrzegając zamiaru ochmistrzyni prześladowania jej Mondorem, dała znak ciotce, iż wypadało już skończyć wizytę; powstała z nią razem, a oddając Pani de Feud'herbe ukłon pożegnania rzekła:

— Czekać będę wezwania Pani względem pełnienia obowiązków służby mojej.

Powracając z tej wizyty do mieszkania, opowiadała troskliwej ciotce wszystkie szczegóły rozmowy z ochmistrzynią, których się ona dorozumieć nie mogła, pokrywając ile możności zmyślonemi pozorami to, co w niej przykrego dla nich obojga być mogło, aby podkomorzyny nie zmartwić. Nie dała się ona ułudzić; zaczęła ubolewać w duszy nad tem, iż zbyt lekkomyślnie przyjęła życzenia królowej, i obawiać się tego, aby chęć wywyższenia Maryi nie stała się dla niej źródłem przykrości i prześladowania. Spostrzegłszy tę troskliwość ciotki, jakkolwiek strapiona niepomyślnym wstępem swoim na wielki świat, ukrywała ona powierzchowną wesołością to, co się w jej duszy działo, i zaręczała podkomorzynie, że nie ma żadnego słusznego powodu do zmar-

twienia lub obawy, i że najpiękniejszą dla siebie przyszłość spostrzega.

Lecz gdy nadszedł spoczynek nocny, gdy ciemność jej żal ukryć dozwoliła, roniła łzy obfite nad losem swoim, który jej obok świetności upokorzenie, a obok powierzchownego poważania brak przywiązania przeznaczał. Jedna myśl tylko wiązała ją do dworu; król miał wrócić wkrótce na czele zwycięzkiego wojska: ona miała mieć sposobność oglądania tego niezrównanego bohatera, który całkiem jej wyższe uczucie zajmował, który był tem bożyszczem myśli, ciągle w niej obecnym, i najżywsze uniesienia wzbudzającym.

Nazajutrz przyszła przykra chwila rozstania się z ciotką, w której tem się nawzajem obiedwie pocieszały, iż póki dwór w Żółkwi bawić będzie, często się z sobą będą mogły widywać. Przed odjazdem odwiozła Podkomorzyna Maryą do dworu, gdzie jej pod dozorem ochmistrzyni przeznaczono mieszkanie, w którem, pod pozorem słabości, resztę dnia po odjeździe ciotki, w samem tylko towarzystwie swojej służącej pozostała.

V.

Wjeżdża Jan trzeci z swoimi hetmany
Wpośród radosnych pospólstwa okrzyków,
Gdzie się pokazał, wszędzie głos słyszany:
Oto nasz zbawca, pierwszy z wojowników.
Niemcewicz. S. H.

Według zapowiedzenia królowej ruszył dwór cały w pierwszych dniach miesiąca grudnia z Żółkwi i na

przyjęcie królewskie wcześnie przybył do Krakowa. Ażeby jak najwięcej świetności nadać chwili tak upragnionej dla kraju i dla siebie, chciała królowa sama uczynić rozporządzenia względem obchodu uroczystego na przyjęcie królewskie.

Z największą radością udała się w podróż Marya, bo znajdowała w niej roztargnienie po znużeniu etykietą i nieszczerością dworską, a nadewszystko sposobność widzenia króla w całym blasku tryumfu, poznania go bliżej i otrzymania w tem jedynej pociechy za doznane dotąd nieprzyjemności.

Już od dwóch tygodni zajmowali się rzemieślnicy i sztukmistrze stawianiem bram tryumfalnych i teatrów, przygotowaniem malowideł, napisów i sztucznych ogniów, tudzież wprawianiem ludzi przy festynie publicznym czynnymi być mających. Wznosiły się już różne budowy do okoliczności stosowne, które od rana do wieczora tłumy ciekawych otaczały. Już się pościągały do stolicy roty dworskie celniejszych panów, najokazalej przystrojone, które miały czynić służbę i stanąć w szeregach przy wjeździe królewskim. Coraz liczniejszych widziano przyjeżdżających i odjeżdżających gońców od wojska, którzy o stanowiskach królewskich znać dawali. Widać było ruch nadzwyczajny w całej stolicy i u dworu, lecz ruch owej powszechnej radości, która się na wszystkich twarzach malowała.

Ostatni goniec od powracającego wojska przybyły przywiózł nakoniec wiadomość, iż N. Pan niezawodnie za dwa dni zjedzie, i że nie chcąc odstępować wojska swego, niektóre tylko komendy na zimowe leże wypra-

wiwszy, na czele towarzystwa hussarskiego i pancernego wjazd uroczysty do stolicy w samę wigilią Bożego narodzenia odprawi.

Gdy nadszedł dzień oczekiwany, królowa, korzystając z pięknej pory zimowej i wybornej sanny, postanowiła wyjechać naprzeciw Najjaśniejszemu małżonkowi swemu o mile za miasto. Chcąc wystąpić z całą okazałością dworską, rozkazała: ażeby kilkanaście sani zamkowych pod znakomitych dworzan i damy dworskie, tudzież sanie celniejszych panów w najbogatszem przystrojeniu za nią wyjechały.

Mając wiadomość o ostatniem stanowisku królewskiem, ruszyli wszyscy dopiero z samego miasta po południu. Oddział drabantów dworskich poprzedzał sanie królowej, które ciągnęło sześć koni lampartowemi skórami pokrytych, na głowach i karkach strusiemi piórami ozdobionych. Królowa siedziała z ojcem swoim, i z księżną Radziwiłłową, wojewodziną wileńską, siostrą królewską. Za temi saniami jechał margrabia de Bethune z pierwszemi damami dworu. Trzecie sanie zajmowała księżniczka Teresa córka królewska w towarzystwie Maryi i ochmistrzyni swojej. Dalej szły sanie panów polskich, którzy się przesadzali przepychem i zbytkiem w wystąpieniu.

Był to piękny dzień zimowy, w którym, pomimo dość wielkiego mrozu, bez przykrości podróż podobną odbywać można było.

Przejechały sanie pomiędzy tłumem ciekawych przez miasto, gdzie mury powtarzały odgłosy dzwonków i potrząsków, i szybkim pędem spieszyły ku drodze, którą

król miał wjeżdżać. Więcej już mili drogi ubieżono, gdy dopiero posłańcy naprzód wyprawieni o zbliżaniu się królewskiem znać dali. Nie chciała się królowa nigdzie zatrzymać, lecz z utęsknieniem spieszyła naprzeciw dostojnemu małżonkowi swemu; niedługo też ujrzano pojazd królewski, który wyprzedził był nieco wojsko, pod przewodem wodza swego do Krakowa wkroczyć mające.

Czułe było powitanie króla z królową i z familią. Troskliwie pytała królowa o księcia Jakóba, który, nie chcąc odstąpić swojej chorągwi, wkrótce na jej czele przybył dzielić radość rodziców. Pomimo nalegania królowej nie przystał król na to, ażeby miał z nią razem wjechać do miasta; lecz odprowadziwszy ją już blisko stolicy, kazał sobie podać konia i złączył się z wojskiem, na czele którego miał wejść do miasta.

Tymczasem zmrok już zapadł, zatlono pochodnie, i hajducy za sankami stojący oświecali drogę, którą przebiedz wypadało. Na białej przestrzeni lśniącej się od lodów i zmarzłego śniegu widać było, z murów Krakowa, wijący się szybko w różnych zakrętach drogi długi sznur ognisty, przez liczne pochodnie kształcony, który bliższe tylko przedmioty oświecał, lecz pomroku całej okolicy zmniejszyć nie mógł; zbliżał się coraz bardziej ku miastu, aż gdy odgłosy jadących pod murami jego usłyszano. Głośne okrzyki słyszeć się dały z murów miejskich i z miejsc przyległych, a odgłos ich rozlegał się kolejno po wszystkich ulicach, na których lud był gromadnie zebrany. Już wjeżdżały pierwsze sanie do miasta, coraz większa ciżba zastępowała im drogę,

drabanci dworscy nie zdołali jej rozpędzić, wszystko cisnęło się do tych sani, aby króla obaczyć; już się rozpoczynały krzyki radośne, gdy bliżej stojący lepiej się jadącym przypatrzyli i dalszym podali wiadomość, że król jeszcze nie jedzie. Wszystko ucichło natychmiast, rozstąpili się ludzie na ulicy, obojętna ciekawość zajęła miejsce zapału, patrzono na przejeżdżających jak na jasełka zmieniające się co chwila przed oczyma naszemi.

— A daleko tam jeszcze pozostali? — pytał jeden i drugi przejeżdżających dworskich.

— O, już niedaleko — odpowiedziano i okrzyk — już są niedaleko — rozległ się po ulicach z ust do ust podawany.

Wszyscy się znowu do bramy cisnąć zaczęli, młodzi i nie należący do uroczystego obchodu wybiegali dalej jeszcze na przedmieście, i zdawali się ubiegać o to, kto króla, kto braci pierwszy obaczy.

Za nastaniem zmroku zapalono lampy i kagańce u bramy tryumfalnej i przy wystawionych teatrach, a za powrotem królowej w mgnieniu oka całe miasto najrzęsiściej zostało oświecone. Wszystko było w pogotowiu na przyjęcie króla, czekano tylko znaku do rozpoczęcia uroczystego obrzędu; roili się ludzie bez szyku i ładu po ulicach, kupami stawali przed oświeconemi przezroczami, przeciskali się nawzajem to do bramy, to na rynek.

Wreszcie pędem wpadł do miasta najbliższy pocztowy dla dania wiadomości o zbliżaniu się króla. Rozległ się pomiędzy skupionym ludem okrzyk radośny „już są, już idą!“ i wszyscy zaczęli na stronę ustępować lub według przeznaczenia szykować się, albo obie-

rać sobie miejsce dogodne; a gdy się już każdy umieścił, widać było wszystkie głowy w jednymże kierunku ku bramie zwrócone.

Pomiędzy tłumem ludu, po dwóch stronach ulicy przez dwa szyki żołnierzy od ciśnienia się na środek wstrzymanym, okazały się naprzód cechy miejskie, które aż za przedmieście naprzeciw królowi wyszły; za niemi szedł orszak strzelców kurkowych, mający na czele króla kurkowego, przed którym na znak godności niesiono koguta z lanego srebra na wysokim kiju osadzonego. Za nim postępował magistrat z burmistrzem, który na srebrnej tacy niósł klucze miasta, dla ofiarowania ich królowi przy bramie, i pierwsi senatorowie państwa, którzy króla powitali, otoczeni z obu stron pachołkami pochodnie niosącymi.

Gdy minął ten pieszy orszak bramę miejską, zabrzmiały trąby i kotły, ozwały się w całem mieście okrzyki radości ludu, z największem uniesieniem pokilkakroć powtarzane, które zwiastowały wjazd samego monarchy. Przed nim jechał strażnik koronny na czele przedniej straży, dalej obożny W. K. ze swoim orszakiem, następnie niesiono znaki zwycięzkie, chorągwie i buńczuki tureckie. Wyjechał z bramy giermek królewski, z kopią w prawym i ze złotą tarczą królewską, herbem Janiny drogiemi kamieniami ozdobioną, w lewym ręku, chorąży nadworny z proporcem w pióra sokole u góry przystrojnym i buńczuczny królewski.

Za nimi okazał się Jan trzeci, na dzielnym rumaku płowej maści, który sadził z ogniem, jakby się pysznił panem, którego dźwigał. Król był przybrany w

ten sam ubiór, jaki miał podczas sławnej bitwy pod Wiedniem, kontusz sukienny niebieski, żupan, biały jedwabny i kołpak soboli z pięknem czaplem piórem, kosztownym guzem dyamentowym do kołpaka przypiętem. Trzymał on dobytą szablę w prawej ręce, lewą hamował rumaka, i na wszystkie strony uprzejmym uśmiechem i lekkiem skinieniem uradowany naród witał.

Obok niego jechał po prawej wielki hetman koronny, Sieniawski, godny dzielić tryumfy tak wielkiego monarchy. Za nim szła chorągiew królewska hussarska, więcej postawą jak ubiorem okazała. Po zgjętych szyszakach, po połamanych piórach u hełmów i skrzydeł, po podartych proporcach u kopij, widać było rycerzy, którzy po długim znoju zwycięzko do ojczystej wracali zagrody, i nigdzie pracy i krwi nie szczędzili.

Mijała poważnie chorągiew, a z pomiędzy tłumu patrzących widziano gdzie niegdzie wyciągane ramiona i dłonie do przyjacielskiego uściśnienia podawane, przez tych, którzy to mężów, to braci, to przyjaciół poznawali.

Powstał nowy okrzyk u bramy: — Niech żyje królewicz Jakób! — i młody książe w pancernym stroju z wyrazem młodzieńczego uniesienia, na czele własnej chorągwi, z bramy między witający go lud wjechał. Za temi wyborowemi chorągwiami nastąpiły lekkie znaki, które już żadnych znamion dawnej zbroi nie miały: każdy towarzysz i szeregowiec inaczej przybrany, każdy ledwo dostatecznie, zwłaszcza w przykrej porze, odziany, ani zbroje, ani hełmy, ani broń jednaka; po twarzach chyba mógłeś poznać, że to byli Polacy, i po tej chorągwi

zestrzelanej, podartej, nad którą orzeł biały, jako narodowe godło się wznosił.

Zatrzymał się król przy samym wjeździe do miasta, gdzie tryumfalne teatrum na jego przyjęcie wystawione było. Na trzech wysokich słupach chorągwiami nieprzyjacielskiemi, dzidami, kopiami i głowami tureckiemi ozdobionych, były trzy wieńce z gorejącemi we środku napisami:

Zwycięzcy, Tryumfatorowi, Obrońcy.

nad któremi wznosił się w przezroczu wizerunek królewski w całej świetności majestatu, na koniu rozpędzonym, z szablą w ręku. Między słupami stało czterech baszów ze schylonemi głowami, a przy nich napisy:

Oto zwyciężony pełzasz Bisurmanie,
Kark twój dumny ugiął Bóg-Zwycięzca w Janie
Poznaj jak potężną, czcicielu księżyca,
Jest Lechów prawica!

Obok słupów dwa posągi: jeden, Mars z prawej z tarczą w ręku z herbem Janina, drugi, Pallas z herbem królowej. Pod całem tem teatrum napis był następujący:

Tak cię wdzięcznem sercem, gród Twój Królu wita
Godna złotych posągów chwała niespożyta.

Teatrum to dopełniały ganki w kwadrat zabudowane, na czterech rogach na postumentach kule ogniste, z których podczas przejazdu królewskiego różne ognie sztuczne *Vivat Rex* wyrażające, i inne fajerwerki okazały się.

Ujechawszy nieco dalej natrafił król na drugie teatrum na cześć księcia Jakóba wystawione, wyobrażające miasto Seczeny, które się było poddało na imie księcia

Jakóba. W środku miasta kolumna ze statuą księcia na koniu w pędzie z mieczem dobytym, a pod nogami jego insignia tureckie. Przy tej kolumnie następujący napis:

Zdobyte w Ostrzychomiu zdobią cię wawrzyny,
Słyń waleczny Jakóbie ojcowskiemi czyny.

Race i ognie wypadały z miasta Setyna.

Kazał król przywołać księcia Jakóba, który przybywszy pędem do niego radością przejęty na ten widok i od ludu okrzykiem powitany został.

Pod samym ratuszem zatrzymało króla i księcia trzecie teatrum, wyobrażające smoka ognie wyziewającego, a mającego znaczyć wściekłość turecką, na którego z wieży orzeł polski herbem królewskim ozdobiony piorunem rzucał póty, aż się smok z hukiem na sztuki rozpuknął. Pod nim był napis:

Pochłonąć chciałeś Wiedeń w bezdennej gardzieli,
Zginże smoku turecki w piekielnej topieli.

Pod orłem zaś na wieży:

Gdy berłem Jan III włada pełen chwały
Wzbił się aż pod niebiosa polski orzeł biały.

Nad orłem unosił się anioł, który go bluszczem zielonym wieńczył i ten napis:

Zwycięstwo i chwała z wysokości.

Ztamtąd postąpił cały orszak prosto do katedralnego kościoła, przed którego podwojami gdy król stanął ustało dopiero strzelanie z armat, z których od czasu wjechania jego z wałów bito. Przyskoczył z pomiędzy dworzan za królem jadących Jordan, koniuszy nadworny, przytrzymał strzemienia do zsiadania i odebrał konia. Wniesiono do kościoła znaki zwycięzkie, a król z odkrytą głową z celniejszymi panami i z całym dworem

swoim wszedł za niemi. Przy wejściu przyjął go prymas królestwa, Wydżga, na czele duchowieństwa, pobłogosławił go, święconą wodą pokropił, dawszy mu pocałować krzyż, do świątyni wprowadził.

Wzniosły to i pocieszający dla ludzkości widok, gdy król zwycięzki, przed którym dopiero co krocie pokonanych drżały, co światu mógł swoją pogrozić potęgą, korzy się przed królem królów i w żarliwem uniesieniu dzięki i modły ku niemu wznosi. Tak upadł na kolana przed ołtarzem odwiecznego Boga Jan III. obrońca chrześciaństwa, któremu się ani współczesni, ani potomność za poświęcenie jego nie wypłacili! i gdy z ufnością i wiarą dzięki czynił, obiły się nad nim o sklepienia świątyni głosy kapłanów i ludu, które chwałę i dziękczynienia Najwyższemu w pieśni św. Ambrożego niosły.

Po skończonem nabożeństwie udał się król pieszo do zamku, i pożegnawszy w przedsionkach towarzyszących sobie panów i dworzan, wszedł do pokojów królowej, ażeby na łonie familii po trudach wojennych spocząć, a złożywszy na chwilę berło i koronę, domowego szczęścia ojca i małżonka używać. Sama tylko rodzina królewska zgromadzoną była u królowej, i długie upłynęły chwile, nim się oświadczenia wzajemnej radości, uściskania dzieci i radowanie się z ich postępu w wieku i czerstwości skończyło.

W przybocznym pokoju zastawiono stół do wieczerzy, do której tylko, prócz króla i królowej, książe Jakób, jego dwaj młodsi bracia, księżna wojewodzina wileńska siostra króla i margrabia d'Arquain należeć mieli. Starodawnym zwyczajem miały czynić służbę u

stołu same panny dworskie, i żaden z dworzan pospolicie do tej służby przeznaczony, przy tej wieczerzy znajdować się nie miał.

Maryi dostał się zaszczyt pełnienia obowiązków podczaszego przy tej familijnej uczcie. Nigdy jeszcze z taką starannością, z taką chęcią podobania się nie zajęła się strojem własnym, jak w dniu tym, w którym przy samym królu służbę czynić miała. Białemi wstęgami przeplotła długie czarnych włosów warkocze, które rozpuszczone na ramiona spadały; róża świeża, ze szklarni królewskich, kryła się na pół, a na pół wykazywała z pod przepaski z pereł nad czołem. Atłasowy biały gorsecik, opięty na kształtnem ciele, odznaczał piękność jego budowy; kamizelka aksamitna niebieska sobolami w koło lamowana, krótsza od sukni, bez rękawów, zawieszoną była na obudwóch ramionach, tak, że obcisłe rękawki gorsecika zręcznie z pomiędzy dwóch wylotów futrem obłożonych wychodziły.

Z bijącem sercem weszła Marya do pokojów, gdzie wieczerza zastawioną była. Pani Feud'herbe, ochmistrzyni dworu, nadzwyczaj tego dnia czynna, połajała ją za opóźnienie, wskazała miejsce, w którem jej stać wypadało, póki jej usługi potrzebować nie będą, tudzież nalewki i puhary, z których dostojnym gościom napoju dostarczać miała. Gdy wszystkim pannom dworskim stosowne dała nauki i każda kolejno przed nią próby służby swej czyniła, oddaliła się ochmistrzyni wraz z innymi dworzanami i wkrótce weszła familia królewska zająć miejsca u stołu.

Z daleka naprzeciw rzęsisto oświeconego stołu stała

Marya u osobnego bufetu, na którym rozstawione były puhary i nalewki do jej służby należące. Drżała w jej ręku srebrna taca, którą na pogotowiu w razie żądania napoju trzymała; gdy król wszedł do pokoju, zapomniała o wszelkich przestrogach i naukach przez ochmistrzynią dawanych, i nie byłaby była w stanie wykonania obowiązków, gdyby w tej chwili jej usług żądano. Mocno biło jej serce, rumieniec uniesienia pokrył lica, oczy ognia pełne jak wryte w bohatera Polski, cała postawa nieco wzniesiona i naprzód wydana: wszystko okazywało, że wyższe uczucie jej umysł wznosiło. Wszystko znikło w jej oczach, widziała tylko przed sobą owego wielkiego męża, którego cnoty i niezrównane męstwo nad ludzi poniekąd go wynosiły.

Szczęściem dla niej, że miała czas ochłonąć nieco, bo król po pierwszem daniu zażądał dopiero wina. Niepewnym krokiem, z żywym rumieńcem na twarzy i z ujmującym wyrazem skromności, zbliżyła się do stołu Marya i zręcznie nalany puhar wina królowi podała. Sięgnął po niego monarcha, i gdy opieszale zdejmując go z tacy, przypatrywał się wdziękom Maryi, rzekł obracając się do królowej:

— A skądże ta nowa Hebe do naszego zawitała dworu?

Objawiła jej nazwisko królowa, a gdy się nieco od stołu oddaliła, opowiedziała z uśmiechem powody powołania jej do dworu.

— Jakto? — rzekł król na to, — tożto jest owa podskarbianka, narzeczona mego wiernego sługi, który jej teraz próżno w rodzinnym domu szuka? — Zamilkł król na chwilę i obracając się ku Maryi rzekł do niej:

— Przybliż się piękne dziecię, niech się ucieszę widokiem córki jednego z najmilszych moich, który niestety! nie wrócił ze mną; pewną być możesz mojej królewskiej łaski, ja w każdym razie zastąpię godnego ojca, któregoś straciła — a spostrzegłszy, że dwie łez krople zasnuły piękne Maryi powieki, dodał: — te łzy cię zdobią, moja panno, i wyższą ci jeszcze cenę w moich oczach nadają.

Rozrzewnienie Maryi nie pozwoliło jej odpowiedzieć słowem lub ukłonem na pochlebne króla wyrazy, stała na miejscu i nie wiedziała co ma przedsięwziąść, gdy księżna wojewodzina wileńska, wielce dla niej przychylna, przyjacielską rękę ku niej wyciągnęła i ściskając jej drżące dłonie, ulgę przyniosła strapieniu, tak, że Marya z wdzięcznem uczuciem podaną rękę ucałowała.

Przychylne zdanie ojca i przyjazny udział ciotki, wzbudziły uwagę księcia Jakóba: spojrzał na Maryą i spotkał jej anielskie wejrzenie słodyczy i szlachetności pełne. Pierwszy raz od swego pobytu u dworu tkliwym udziałem własnego uczucia uszczęśliwiona Marya, znalazła w wejrzeniu młodego księcia wyraz uprzejmości, który ją słodkiem uczuciem przejął, zwłaszcza, że waleczność przez niego w tak młodym wieku okazana czyniła otuchę, iż syn godnym kiedyś będzie tak wielkiego ojca. Oddaliła się zwolna od królewskiego stołu, i nabrawszy później więcej odwagi, z ujmującą wszystkich zręcznością obowiązki swej służby do końca wieczerzy pełniła.

VI.

Rycerstwo w zbroi sypiało, —
Trąbą wzbudzone do chwały
Lasy przebyło i skały
Za bóstwem swojem, za chwałą.
Przodkowie. Brodziński.

Gdy król po powrocie swoim do kraju stanął był w Lubowli, gdzie większą część wojska swego na zimowe leże rozesłał, i te tylko oddziały przy sobie zostawił, z któremi uroczysty wjazd do Krakowa miał odprawić, — dostał się jednej rocie lekkich znaków rozkaz udania się do Przemyśla. Chorągwi tej przywodził rotmistrz szczególną odznaczający się walecznością, nazwiskiem Damian Ruszczyc, rodem z lubelskiego województwa, tam dobra dziedziczne posiadający, i rachujący dla zaszczytu starszeństwo w chorągwi hussarskiej, pod znakiem księcia Jakóba.

Był to człowiek średniego wieku, wysokiego wzrostu i przytem tej tuszy, której polska suknia najlepiej przystoi. Twarz jego męzka nie miała żadnych powabów gładkiego młokosa, który się niewiastom przypodobać usiłuje; nie malowała się na niej owa obłudna słodycz, która niedoświadczonych częstokroć ludzi, nie osiadał na jego ustach miły uśmiech, pochlebstwa zwykle poprzedzający. Lecz wzniosłe i otwarte czoło, brew czarna wązko lecz mocno nad okiem naznaczona, oczy zawsze wesołe, pogodne i śmiało tylko patrzeć umiejące, nos blizną naznaczony lecz niezekształcony, i podgalany wąsik czarny, pod którym przy mówieniu dwa rzędy zębów białością odbijały; takie były rysy rotmistrza, w których dobrego żołnierza i poczciwego człowieka mogłeś był wyczytać.

— Jak w sercu tak i w mowie — było pierwszem prawidłem jego życia, od którego nigdy nie odstępował, wtedy nawet, kiedy mu z wyższymi mówić przychodziło. — Mój zaszczyt i moje zalety ze mnie samego i nikt mi nic ująć ani dodać nie może — oto było często powtarzane zdanie, którem upoważniał wrodzoną sobie śmiałość, zuchwalstwem od niektórych możniejszych magnatów zwaną. Wierny do zgonu temu, komu miłość lub przyjaźń poświęcił, należał on do tych sług monarszych, których królowie polscy najpiękniejszem nazwiskiem: *swoich wiernych* oznaczali. Dawszy wielekroć dowody swego męztwa, niczem nieustraszony gdzie rozkaz króla wypełnić wypadało, niósł on nieraz w oczach jego życie swoje na ofiarę, nie pragnąc innej nagrody nad podziękę króla, lub ściśnienie od niegi ręki.

— Ruszczycu! — rzekł do niego król w Lubowli.— Waść zapewnie wolałbyś nie należeć do tryumfalnego wjazdu w Krakowie, bo jeżeli Mars pod Wiedeń, to cię Cytera pod Lwów ciągnie.

— Ja pójdę gdzie W. K. Mość rozkażesz — odparł Ruszczyc stojąc niewzruszony przed swoją chorągwią, przy której król właśnie przeglądając wojsko nieco się zatrzymał.

— A cóżby to na to Podskarbianka powiedziała? — rzekł król z uśmiechem — gdybyś nie pospieszył upaść jej do nóg.

— Przed Bogiem tylko i królem — rzekł Ruszczyc— gdy łaski lub przebaczenia błagać mamy, upaść można na kolana, przed kobietą nigdy.

— Ale Waść dla tego poprowadzisz chorągiew swoję

do Przemyśla — rzekł król wesoło — a tam może przypadnie ci ochota pospieszyć do twojej Omfalii: wtedy zdasz dowództwo namiestnikowi, pojedziesz gdzie zechcesz, a jak będziesz potrzebował pomocy, to śmiało do mnie się udaj.

Skłonił szablę Ruszczyc z uszanowaniem, a król przejechał do innych oddziałów wojska.

Gdy stosownie do odebranego rozkazu rotmistrz stanął w przeznaczonem sobie mieście, dał sobie i ludziom dwa dni wczasu; trzeciego kazał wystąpić chorągwi w celu złożenia dzięków Najwyższemu, za pomyślność wyprawy i ocalenie wojaków na łono ojczyzny powróconych, oraz w celu zaniesienia modłów za współbraci poległych. Potem zgromadził chorągiew na rynku miasta, uszykował ją w czworobok, sam stanął w środku mając przy sobie swego namiestnika i rzekł do zgromadzonych:

— Bracia! towarzysze broni! z rozkazu Miłościwego Pana a króla naszego, zdaję dowództwo nad wami temu mnie wielce mościwemu panu namiestnikowi, jemu winniście ufność i posłuszeństwo; co on rozkaże, niech to będzie dla was tak jakby król i ja rozkazał. Gdy się wasze trąby i kotły na nową wojnę odezwą, będziecie mię znowu widzieć na waszem czele.

Wyprawiwszy potem żołnierską ucztę dla całej starszyzny chorągwi, wymknął się z pomiędzy wszystkich i w towarzystwie dwóch szeregowców wyjechał drogą ku Lwowu, wtedy właśnie, kiedy po raz dziesiąty zdrowie jego pili.

Stanąwszy w mieście, z którego już tylko trzy mile do

domu podkomorstwa było, pomyślał dopiero o tem, iżby wypadało powabniejszą przybrać powierzchowność, chcąc się pokazać przed narzeczoną swoją. Każdy się domyśli, że tą narzeczoną była Marya, a Damian Ruszczyc tym samym rotmistrzem, o którym siąsiadki podkomorzyny i sama Marya wspominały. Gdy tedy zaczął rozmyślać nad tem, jak ma wystąpić, aby się przypodobać pannie, którą znał mało wprawdzie, lecz którą wielce szanował dla ojca, i której tem bardziej chciał dochować danego słowa, że właśnie po nim została sierotą; gdy, mówię siedząc przed wysoko palącym się ogniem nad tem rozmyślał; wszedł zasłużony i ulubiony szeregowiec jego Kulik, cały wymyty i wyświeżony, z hełmem na głowie, w obcisłym kaftanie z wilczej skóry zamiast pancerza, i z przypiętem z tyłu skrzydłem, przy szabli, z kopiją w ręku, która aż do pułapu sięgała; stanął poważnie przed panem swoim, jakby się był na jego rozkaz stawił.

— A ty czego! — zawołał Ruszczyc, — i do tego w znakach szeregowca hussarskiego, czyś oszalał, czyś się upił?

— Albo co? czy to źle tak? — rzekł spokojnie Kulik.

— Dobrze, ale po co? kto ci kazał przywdziać tę zbroję?

— Alboż to pan Rotmistrz nie po hussarsku zajedzie do panny podskarbianki? przecież nie darmo mamy zaszczyt należeć do tego znaku, przecież nie w zbroi lekkiej chorągwi, z takiej wyprawy, do takiego domu zajedziemy!

— Dobrze mówisz, — rzekł Ruszczyc, powstał, zbliżył się do niego, ścisnął mu więcej kaftan skórzany, przypiął

mocniej skrzydło, poprawił szyszaka na głowie. — Dobrze mówisz, — powtórzył — wystąpię po hussarsku.

W skutku takiego postanowienia, rozkazał wydobyć cały strój hussarski, który przez wojnę i długie przewożenie z miejsca na miejsce, stracił nie jednę z ozdób swoich; dlatego zajął się nasz rotmistrz obejrzeniem wszystkich szczegółów tego stroju, aby módz dopełnić to czego brakowało.

— Gdzież jest moja kulbaka i rząd cały na konia, któregom dawniej używał? — zapytał Kulika.

— O! dawnom je rzucił, bo było co lepszego zabierać z obozu tureckiego; już ja konia tak przybiorę że aż ludzie na ulicy stawać będą. Jak na niego włożę rząd baszy tureckiego, cały srebrny przezłocisty kamieniami nasadzony, jak mu zawieszę przy prawem uchu buńczuk z gałką pozłacaną kameryzowaną, a nad czołem osadzę ową kitę ze szklannego włosa misternie zrobioną i naczolnik kamieniami drogiemi wysadzany, jak mu włożę na cały kark czepiec srebrny ze złotemi kutasami, a przykryję go dywdykiem złotem tkanym; to wiem, że przed samym koniem wszyscy czapki zdejmować będą.

— Dobrze to, — rzekł rotmistrz — koń może być suty, ale moja zbroja stalowa jest cała zardzewiała; atłas pod burką podarty, jednej klamry u niej niemasz, a wszystkie pióra strusie u szyszaka połamane.

— To się temu zaradzi — rzekł Kulik — zbroję wychędożę, podszewkę zaniosę do krawca do wyłatania, i wszystko jeszcze odświeżę, tylkoby nam trzeba dzień dłużej tutaj zabawić.

— Nic z tego nie będzie — rzekł żywo Ruszczyc,

jaki mam, w takim wystąpię stroju. Suknia żołnierska powinna wyglądać po wojnie jak stara chorągiew: im bardziej zszarzana tym zaszczytniejsza.

Ta myśl uderzyła rotmistrza, i obstając przy niej, rozkazał wybierać się niezwłocznie w drogę.

Zaszedł wkrótce karaban; zatknięto w wasąg szablę z jednej a rusznicę z drugiej strony; kopija grotem w tył obrócona przywiązana była wedle wasąga i sterczała poza koła tylne; za wozem stał Kulik na koniu, trzymając pańskiego konia już stosownie do jego życzenia przybranego. Luzak w barwę przybrany wypełniał obowiązki woźnicy; a gdy wszystko było gotowe, wyszedł rotmistrz, przeżegnał się, pocałował obraz Matki Boskiej, który na jedwabnej taśmie na szyi miał zawieszony, wsiadł i w dalszą puścił się drogę.

W domu, do którego Ruszczyc zmierzał, było właśnie głucho i posępnie. Chociaż już kilka niedziel upłynęło od czasu oddalenia się Maryi, ciągle jej żałowano i za nią tęskniono, zwłaszcza od chwili, w której dwór z Żółkwi przeniósł się był do Krakowa. Nadeszły święta Bożego narodzenia, które pierwszy raz bez niej przepędzić miano, i podkomorzyna ciągle na to narzekała, iż się przez te dwa święta nudzić będzie.

Już zastawiono stół do obiadu, przy gwiaździe w wigilią Bożego narodzenia spożywanego; krzywo stały wszystkie talerze i półmiski dla siana pod obrusem będącego. Pocieszał wszystkich przegłodzonych zapach polewki migdałowej i szczupaków szafranem zaprawnych, już zmówił był modlitwę ksiądz pleban, a podkomorzy zabierał się do łamania opłatka i rzekł z westchnieniem:

— Z kim ona go tam dzisiaj nieboga łamie! — gdy mocne psów szczekanie i tentent koni dał się słyszeć z dziedzińca.

— A, dobrze że teraz przyjeżdża — rzekł podkomorzy — póki nie zasiądziemy do stołu; kto bądź to bądź, będziemy mu radzi — i dał znak służącemu, aby wyszedł dowiedzieć się kto przyjechał.

Nie zdążył powrócić z oznajmieniem, gdy się drzwi szeroko otworzyły; wykazał się naprzód pęk piór strusich, dalej szyszak, zbroja, burka siwa od szronu i cały rycerz, którego napół spuszczona przyłbica i szronem pokryte wąsy poznać nie dozwalały.

Wszedłszy pozdrowił wszystkich słowem Bożem, zdjął szyszak, zbliżył się do podkomorzego, podał mu przyjacielską rękę, a wszyscy poznali Ruszczyca i wydali okrzyk zadziwienia i radości.

Przywitawszy podkomorzego i jego małżonkę, spojrzał Ruszczyc po wszystkich w koło, obrócił się w lewo, obrócił w prawo, stanął jak wryty, i rzekł zdziwiony:

— A gdzież jest?...

— Nie masz jej — rzekli razem wzdychając Podkomorstwo.

— Nie masz jej — powtórzył ksiądz pleban.

— A, przez Bóg żywy! — zawołał Ruszczyc — złowróżbe są wasze twarze... Jam od tylu kul i dzid ocalał, a ona miałażby...

— Nie, nic takiego — przerwała podkomorzyna — Marynia żyje i zdrowa zapewne, ale jej tu nie masz.

— A gdzież tedy? — rzekł żywo Ruszczyc — czy już za mężem, czy się mnie nie mogła doczekać?

— A, broń Boże — rzekł podkomorzy — niezmienna w swoich afektach dochowa ona wiary Panu rotmistrzowi, i zaszczyt, który ją spotkał, spóźni tylko na chwilę, lecz nie osłabi ani zerwie związku waszego.

— Zaszczyt? zapytał Ruszczyc — i ten ją przymusił opuścić szanowny i bogobojny dom Waszmość państwa i obcej szukać opieki? to pewno u którego z wielkich panów naszych bawi *qua* rezydentka.

— Nie — odpowiedziała podkomorzyna — toby pannie podskarbiance nie przystało; wyższem jest jej powołanie, bo Marya jest dzisiaj panną dworską królowej.

Zamyślił się Ruszczyc, pokręcił wąsa i rzekł ponuro:

— Tegom się nie spodziewał.

Podkomorzy skorzystał z chwili milczenia, aby zaprosić gościa do zajęcia miejsca, co on uczynił zrzuciwszy z siebie burkę i odłożywszy szyszak i pałasz. Poczem rzekł podkomorzy, prowadząc dalej rozmowę:

— Nie można było odmowić tej łaski królewskiej.

— Król o tem nic nie wie — odparł Ruszczyc — bo by mi się był radził, czy ja sobie tego życzę, a jabym mu był na to powiedział: Nie, Miłościwy Panie! Nie chcę ja żony na dworze królewskim wychowanej.

— A to czemu? — zapytała podkomorzyna — wszakże to najlepsza szkoła do nabycia poloru i światowości.

— I do stracenia szczerości i prostoty, która kobietom przystoi — przerwał żywo Ruszczyc. — Panna podskarbianka i tak już więcej podobno odemnie ma światła, a cóż dopiero gdy się przejrzy na wielkim świecie. Oj źle to, kiedy białogłowa rozumem męża przewyższa.

— Ah! kochana nasza Marynia — rzekła podkomorzyna — jest tak skromna i tak dobra, że ona tylko dobre naśladować umie, a złego nawet nie widzi.

— Moja Mościa Pani — odpowiedział Ruszczyc — zle tak jest rażące, że choćbyś żelazną przyłbicę na oczy zasunął, to go jeszcze spostrzeżesz.

Powstał podkomorzy; jakby sobie przypomniał opuszczenie starego zwyczaju, a w duszy rad temu że znalazł sposobność przerwania nieprzyjemnej rozmowy; sięgnął przed siebie po srebrny półmisek, na którym Narodzenie Chrystusa Pana w płaskorzeźbie na cienkiej blasze odbite było, zdjął z niego opłatek i z tym do Ruszczyca się obrócił.

On zajętą mając myśl czem innem, nie domyślił się od razu przyczyny powstania podkomorzego, spojrzał zdumiony na niego, lecz spostrzegłszy ofiarowany sobie opłatek zerwał się szybko z krzesła, odstawił je, przeżegnał się, złamał opłatek z podkomorzym i następnie go z wszystkimi innymi podzielił. Po skończeniu tego obrzędu, przy którym X. pleban powtórnie jeszcze wszystkim pobłogosławił, zajęto miejsca i z upragnieniem ludzi niezwykłych tak późno jadać obiad, migdałowej chwycono się polewki. Gdy spoczęto po tej pierwszej napaści na zastawiane jedzenie, zapytała podkomorzyna:

— Czy dawno król do Krakowa przyjechał? to musiał być piękny widok, kiedy on wjeżdżał do tej starodawnej stolicy.

— Zapewne — rzekł ponuro Ruszczyc.

— Alboż to pan rotmistrz tam nie był?

— Nie — odpowiedział — pozbawiłem się zaszczytu

dzielenia tryumfów królewskich, aby prędzej oglądać tę, której niestety nie zastałem.

— A czy Pan rotmistrz — zapytał podkomorzy — byłeś przy skonaniu naszego nieodżałowanego podskarbiego?

— Byłem — rzekł smutno Ruszczyc — i zda mi się jakbym go widział jeszcze. Król wysłał go był z rozkazem do wielkiego hetmana; mijał właśnie pędem nasze hufce, gdy postrzał z działa ubił pod nim konia i jemu nogę prawą urwał. Nie mogłem natychmiast nadbiedz mu z pomocą, bo obowiązek kazał iść naprzód; lecz nazajutrz po wygranej żył jeszcze. Był on w namiotach królewskich złożony, poznał mię, ścisnął mi rękę, polecił mojej opiece Maryą, córkę...

Tu przerwał nieco mowę, bo mocno był rozrzewniony, a po chwili milczenia dodał ponuro:

— Ale mi nic nie mówił, aby Maryą do dworskiej służby przeznaczał.

Zapłakała podkomorzyna i milczała, a mąż jej, chcąc inny dać obrót rozmowie, aby Ruszczyca od głównego przedmiotu odwieść, rzekł:

— Kiedy mówimy o poległych, co też to tu baśni po kraju chodziło o różnych, wszakżeto w całej okolicy mówiono, że i pan rotmistrz bissurmańskich pocisków nie uszedł. Ale to dobre, jak mówią, *omen*, bo temu długie życie wróżą kogo zawczasu grzebią.

— Możeby to i było dobrze nie dla jednej przyczyny — odpowiedział Ruszczyc.

Nie mogąc tą drogą pokonać złego humoru Ruszczyca, i gdy już ryb danie zjedzone było, kiwnął pod-

komorzy na piwnicznego, wskazał mu znajomym znakiem na palcach, jakiego wina i kielicha miał podać, wziął podany do ręki i kazawszy po brzegi napełnić rzekł:

— No, mój Mości Rotmistrzu, dopełnijmyż obowiązku dobrych Polaków, wiernych i życzliwych poddanych najpotężniejszego króla i spełnijmy jego zdrowie!

Załopotały krzesła, wszyscy powstali, podkomorzy pił duszkiem lecz zwolna, bo butelka poważną siwizną pokryta była; wypiwszy przewrócił kielich dnem do góry, na znak, że nic w nim nie zostało, wziął brzeg jego przez serwetę, podał go rękoiścią Ruszczycowi, który stojąc poważnie podczas pierwszego spełnienia, podtarł był sobie wąsy gotując się do naśladowania danego przykładu, przyjął z afektem ofiarowany kielich i rzekł, napełniwszy go winem:

— To zdrowie i przy skonaniu duszkiem bym spełnił. Niech żyje Jan III! — i w mgnieniu oka suche dno puhara ujrzano. Ksiądz pleban odebrał kielich, a podkomorzy ścisnął uprzejmie rękę Ruszczycowi, i nie chcąc mu dać chwili spoczynku, któraby przykre myśli wznowiła, wziął inny kielich do ręki i powstawszy zawołał:

— Księże Proboszczu, w ręce twoje, Wiwat waleczny nasz pan Rotmistrz!

— Hola — przerwał tenże zatrzymując rękę pokomorzego z puharem — to się nie godzi: u nas po królu *vivant damy*, zwłaszcza kiedy przy stole hetmana nie ma; a ponieważ nie mogę niestety pić *in plurali*, więc niechże mi się godzi przynajmniej spełnić zdrowie Jejmość Pani Podkomorzyny.

— I nieobecnej także — dodał podkomorzy — jeżeli pan Rotmistrz tak sobie życzy koniecznie, lubom ja te zdrowia na później rezerwował; ale *bis repetita placent.*

Udał się wybieg gospodarza domu: wino rozmarszczało coraz bardziej czoło naszego bohatera, wzdychał już tylko głośno kiedy niekiedy, rzadziej wmieszał słowo tęsknotę jego malujące, i po spełnieniu powtórnem zdrowia nieobecnej Maryi rzekł dopiero z niejakim żalem:

— Mój Boże, czemuż to tej tu niemasz! złożyłbym u jej stóp kosztowne sobole, dywdyki i pasy niewieście dyamentami wysadzane, jakie Turcy, znać dla dam wiedeńskich, których się dostać spodziewali, mieli przygotowane, a któreśmy z okupem krwi naszej w wezyrskich namiotach zdobyli.

— No, mój Mości Rotmistrzu — przerwał podkomorzy — kiedyśmy już u namiotów wezyrskich stanęli, opowiedz nam też twoję sławną wyprawę, o której tutaj tak niedokładne mieliśmy wieści.

— Ja tego zwykle nie opowiadam nikomu — rzekł Ruszczyc — bo *propria laus sordet*, i mnie z tego tyle tylko przychodzi zaszczytu, żem wypełnił co mi król pan mój zalecił, i żem pokazał przecież Niemcom, co polska szabla może; ale kiedy tego chcecie koniecznie, więc wam opowiem co i jak się stało:

— Gdyśmy przebyli Dunaj i z elektorskiemi połączyli się wojskami, zwołał król do swego obozu samychże Elektorów i przedniejszych jenerałów i ochoczo ich potraktował, każdemu z Elektorów po koniu bardzo pięknym i bogato przybranym darował. Potem wyszedłszy przed namioty, zapytał ich się:

— A nie macie Waćpanowie języka nieprzyjacielskiego od podjazdów waszych?

Aż Elektorowie odpowiadają: — Jakże my mamy posyłać podjazdy, kiedybyśmy przez to jeżeli nie wszystko to przynajmniej z połowę wojska stracili.

— Jakże to być może? zapytał król z podziwieniem.

— Oto, odpowiedział generalissimus, posłaliśmy jednego jenerała z trzema tysiącami dragonii na podjazd, a nie wrócił się tylko kapral z kilką żołnierzy salwując się ucieczką, drudzy wszyscy zginęli spotkawszy się z pięciuset Turkami, do których im i wystrzelić nie przyszło.

Na to obejrzał się król po nas wszystkich Polakach, cośmy za nim przy namiocie stali i spostrzegłszy mnie kiwnął na mnie palcem, na znak abym się przybliżył, a gdym przed nim stanął, rzekł do mnie w te słowa:

— Panie Ruszczyc, weź Waszeć sobie sto koni dobrych z przedniejszej straży, bo pojedziesz na podjazd.

A potem obróciwszy się do hetmana wielkiego koronnego, Sieniawskiego, dodał:

— Każ mu WPan dać ordynans i surowo przykazać ażeby się o języka starał, albo jeżeli nie dostanie, niechże raz w ciele swojem przywozi, a niechaj się wraca we dwudziestu czterech godzinach, bo ta rzecz odwłoki nie cierpi. — Znowu się do mnie król odwrócił i mówił:

— Przyjedziesz tu wprzód przed namiot z tymi ludźmi, żebym ja ich widział.

— Krzątnąłem się co duchu koło wyszukania towarzyszów do tej niebezpiecznej wyprawy, nie chciałem wiele przebierać, bo i czasu nie było i wszystko jedno który mi się nadarzył, byle silny i Polak, boć przecie

taki i brata i króla nie odstąpi w potrzebie. Skorom ich zgromadził, zajechałem z nimi przed namiot królewski, gdzie jeszcze Elektorowie byli, którzy wyszedłszy i przypatrzywszy się mnie i moim ludziom ciekawie, poczęli sobie szeptać i mówić:

— Na zgubne imie ten król tych ludzi posyła pod tak wielkie wojsko.

Inni mówili:

— Nasz podjazd we trzy tysiące poszedł a zginął; żal się Boże tych ludzi, a najbardziej tego komendanta.

— Jam na to wszystko nie zważał, przeżegnałem się, pocałowałem mój cudowny obraz Matki Boskiej, i ruszyłem naprzód ufny w Bogu i w dobrej sprawie. Było mil kilka do pogan, zmroczyło się dobrze nimem na nich mógł natrafić. Ażci przecie przednie czaty moje dają mi znać, że chmara tego zaległa w dolinie, do której się spuszczaliśmy. Nie ma czasu ich liczyć, rzekłem, czy wiele czy mało, trzeba na nich uderzyć i porwać im kilkunastu, aby pokazać Niemcom, że sto Polaków przed tysiącem nieprzyjaciół nie ucieka.

To rzekłszy, spuściłem się pocichu z góry i spostrzegłem kilkanaście ognisk szeroko po ciemnej dolinie zatlonych. Oni tu dużo pola zalegli, pomyślałem sobie, ale nim się wszyscy zgromadzą, to ja już będę z ich językiem u mego króla; i nie chcąc czasu tracić, rzuciłem się na oślep tam gdzie ich najgęściej było, nie kazałem dawać ognia, lecz tylko kłuć, rąbać i porywać co się dało, a gdyśmy ich ujęli trzynastu, rozkazałem wziąść ich w środek między nas, i spiesząc na odwrót, dawać ognia z tyłu i z przodu na nacierających na nas

zewsząd Bisurmanów. Konie mieliśmy dzielne, to było szczęście nasze. Kopije i szable utorowały nam po trupach drogę do wąwozu, po którym byliśmy zeszli, a gdym się do niego dostał, puściłem namiestnika mego naprzód, a sam wziąwszy straż tylną rzekłem sobie: Tu mi już ich i sam dyabeł nie odbierze. Tak się też stało, bo nam nikt z przodu drogi nie zabiegł, a z tyłu niedługo już na nas nacierali. Nazajutrz koło południa stanąłem w obozie naszym. Król wyszedł z namiotu, obejrzał nas i Turków, i rzekł do mnie: — Ruszczycu! dobrześ się sprawił; poczekasz Waść tutaj aż po Niemców poślę, ażeby widzieli, żeście cali z językiem powrócili. — Jakoż przyjechali niedługo elektorowie i jenerałowie, jak na jakie dziwowisko, widzieć Turków trzynastu związanych jak baranów i nas wszystkich obryzganych, obszarpanych, porąbanych ale całych jeszcze. Chodzili koło nas i koło nich założywszy ręce, kiwając głowami rachowali kilka razy i pogan i nas Polaków, jakby to co dziwnego było żeśmy ocaleli wszyscy, kiedy tak Pan Bóg dopuścił.

Skończył rotmistrz; wiele jeszcze rozmawiano o pamiętnej wyprawie, aż gdy przy spóźnionej chwili oznajmił pleban, iż czas było udać się na mszę pasterską, na którą wszyscy od stołu do kaplicy zamkowej poszli.

VII.

Niedawnom zwiedzał dom . . . . . .
Ledwie go poznać mogłem! już ledwie ostatki!
Kędy spojrzysz, rudera, pustka i zniszczenie!
Z płotów koły, z posadzek wyjęto kamienie,
Dziedziniec mech zarasta, piołun, ostu zioła,
Jak na cmentarzu w północ, milczenie do koła!

Mickiewicz.

Nasz rotmistrz dłużej zabawił w domu Podkomorstwa, jak sobie był założył w pierwszej chwili dowiedzenia się o odjeździe Maryi. Święta Bożego narodzenia, których na podróży strawić nie wypadało, przyjacielska zażyłość z podkomorzym, goście, którzy się trzeciego dnia zjechali, aby wiedeńskiego bohatera oglądać i pozdrowić, obiad solenny u pana kasztelana, czwartego dnia dla niego dany; wszystko to zatrzymało go na miejscu dłużej, jak niecierpliwość jego domagania się u króla uwolnienia Maryi od obowiązków, pozwalać się zdawała. Nakoniec odmówił już wszelkie zaprosiny, pożegnał się z gospodarstwem wieczorem przy rozejściu się na spoczynek, i postanowił nazajutrz przede dniem wyjechać.

Jeszcze się wojny, zasadzki i zwycięztwa po uspionym umyśle Ruszczyca uwijały, kiedy wierny Kulik po trzeciem zapianiu koguta, z rozpaloną drzazgą wszedł do jego pokoju, rozniecił sążnisty ogień na wysokim kominie, w samym rogu izby umieszczonym, i blaskiem jego ociężałe jeszcze powieki Ruszczyca przeraził.

Chrząknął mocno i rzekł:

— A co tam na dworze?

— Śniegi spadły ogromne i to jeszcze z zawieruchą, w opłotkach wszędzie zawalone, ja od stajni ledwom

się tutaj przekopał i oto jeszcze znać jak go wysoko było. — Przytem trząsnął kożuchem, a śnieg i z poły i z wysokich pod kolana butów na podłogę sypać się zaczął.

— To źle, a jakże my pojedziemy; jeżeli są duże zamiecie, to karabanem nie przejedzie.

— O! ja już o tem pomyślałem; wstałemci ja jak pierwszy kur zapiał, a widząc przy księżycu co się dzieje na świecie, pomyślałem zaraz, że trzeba będzie sani pod nasz karaban i jużem się tego wystarał. Niech tylko Pan rotmistrz wstanie, bo to dzień krótki, a trzeba dobrze jechać, żeby jutro za dnia ściągnąć do domu.

— Do domu? — zawołał Ruszczyc — co ci się znowu przyśniło? ja prosto jadę do Krakowa.

— Ej, niech tam licho weźmie Kraków i wszystkie obce kraje — odparł Kulik odwracając się z niechęcią do komina — mnie się już ta bujaczka po świecie uprzykrzyła; czas by było już wrócić do domu i obaczyć co się tam dzieje.

— Tak ci się zdaje? No, ale my dlatego pojedziemy do Krakowa, bo mi tam pilniej jak do domu — mówił Ruszczyc. Zerwał się z posłania i zawołał na Kulika, który z widoczną niechęcią zwykłe obowiązki służby swojej wykonywał.

Po pewnej chwili było już wszystko gotowe do odjazdu; dawszy konie powodowe do prowadzenia luzakowi, pełnił Kulik w tym dniu obowiązki woźnicy; i w gniewie o niepomyślny kierunek podróży, zapomniał nawet biczem zwyczajny krzyż przed końmi zrobić, nim właściwe sobie miejsce na saniach zajął. Obwinąwszy

się w kożuch i burkę, rzucił się Ruszczyc do woza, w zamiarze dopełnienia miary snu zawcześnie przerwanego.

Księżyc świecił jeszcze w całej okazałości; skrzyły się, pod jego promień spoglądając, zmarzłego śniegu igły; skrzypiały sanie i ze świstem ślizgały się po śniegu tam, gdzie zamieci nie było, a gdzie na kopną sannę natrafiono, tam z oporem tor pierwszy znaczyły sanie, a śnieg przez gwałtowne rzucanie się koni wzruszony w przezroczystym kurzu pryskał na wszystkie strony. Od północy ciągnął wiatr ostry, mroźny i szrony niosący, że nozdrza u koni, a wąsy u ludzi zlodowaciały. Gdzie niegdzie po chatach palił się już jasny ogień, którego blask oknem rzucony w zaspach śniegu połyskał; kłęby dymu wznosiły się w górę i nikły w zimnym przestworze. Cicho jeszcze było wszędzie i psy po nocnem czuwaniu szukały schronienia pod dachem; niedługo dzwon parafialny głucho do rannych pacierzy pobożnych budzić zaczął.

Już do drugiej wioski dojeżdżano, kiedy Kulik raptem konie zatrzymał. „Na wieki!“ zawołał z niechęcią — a czy ciebie tu licho nadało? Ot będzie podróż dopiero.

— Cóż tam takiego? — zawołał zrywając się przebudzony Ruszczyc.

— Baba! — krzyknął z niechęcią Kulik — jeszcze mi: Niech będzie pochwalony, powiedziała.

— Głupiś, jedź dalej, nie zważaj na nic — mówił Ruszczyc rzucając się znowu na posłanie i okrywając się burką.

— Ale, nie zważać, wiemci ja co to znaczy, kiedy

dyabeł na człowieka w podróży będącego najpierwej babę wyśle; niechby ich potem było na drodze jak maku, byleby najpierwej baby nie spotkać; żeby to był chłop, albo żyd przynajmniej... Otóż masz, wszakżem mówił, przeklęta baba.

Tak mruczał Kulik, a mrucząc nie uważał na rów, wjechał w niego jedną saniną, wywrócił, i pana swego w śnieg wyrzucił. Gniewał się i łajał Ruszczyc, a Kulik podnosząc sanie ciągle utrzymywał, że to nie jego wina i że jeszcze więcej tak będzie.

Gdy wszystko podniesiono i do dawnego trybu przywrócono, trafiła się szersza droga i tor znaczniejszy tak dalece, że kawał drogi bez żadnej przygody przebyto, nim się dobrze rozwidniło. W ciągu spiesznej jazdy zatrzymał Kulik powtórnie konie, porwał za muszkiet przy sobie stojący i strzelił.

— A to znowu co? — krzyknął Ruszczyc zrywając się szybko.

— A cóż? ten sam dyabeł co i wprzódy — odparł Kulik z flegmą złażąc z sani.

— Jak to, baba? i tyś do niej strzelił?

— Nie baba, ale dyabeł w postaci zająca, który nam przebiegł drogę, a ja jeszczem go nie zabił. Nie, panie! dalej po tej drodze jechać nie można, bo nam się nic nie powiedzie — mówił Kulik, i wcale się do dalszej jazdy nie zabierał.

Zamyślił się nieco rotmistrz zdziwiony zbiorem fatalnych przypadków, które mu się na drodze trafiały, i patrzał w milczeniu na Kulika, który założywszy ręce

odwrócił się ku koniom, jakby chciał przez swoję postawę oznajmić że dalej nie pojedzie.

— Ej nie zważałbyś na babę i na zająca — rzekł Ruszczyc po chwili; kiedyśmy z tylu nieszczęść ocaleli, to nam się i tutaj nic nie stanie. A czy nam to jeden zając przebiegł drogę, kiedyśmy szli na jaką wyprawę?

— I cóż z tego? — odparł Kulik — tam mieliśmy do czynienia z wojskiem i to jeszcze z poganami, a teraz przychodzi nam mieć sprawę z kobietami; tam Pan Bóg dopomagał, a tu dyabeł z babami na przeszkodzie stać będzie. Jakem poczciwy i stary sługa pański, tak nie pojadę dalej.

— Oto — dodał zdejmując czapkę i kłaniając się do nogi — zawróćmy lepiej i jedźmy do domu, a może da Pan Bóg, że później na jaką szczęśliwszą godzinę trafimy; a oprócz tego, ja dalej drogi nie wiem. Pan spi a ja jadę, trakty zawiane; od tej figury na prawo droga do domu, tę znam dobrze, ale jak jechać po zamieciach do tego Krakowa, kto tam trafi? Toć przecie lepiejby bylo wypocząć dni parę, a potem... Ej Panie, niech się Pan da ubłagać...

Z uśmiechem patrzał Ruszczyc na Kulika, a potem zwrócił oczy na drogę w wąwozie śniegiem zasypaną; zamyślił się nieco i rzekł:

— Nie wierzęć ja w twoje złe wróżby, ale kto wie, jakby to wypadło, gdybym zbyt żwawo chciał się dopominać swego; sprawa z królową, a nie z królem... droga zawiana — za dni kilka ochłonę i pojadę.

Nastąpiła chwila milczenia, po której dodał:

— Zawróć, pojedziemy do domu.

Ochoczo skoczył Kulik na sanie, zaciął konie, żwawo pożądaną drogą naprzód ruszył, i dla okazania wesołości swojej, zaczął śpiewać znaną wówczas w wojsku piosnkę, z następującą zwrotką:

Któż i Wiedeń obronił
I Bisurmanów wygonił?
Jan to trzeci, nasz król, Pan,
W całym świecie z szabli znan.

Już się drugiego zmroku w podróży doczekali, gdy wśród zawieruchy i gęstego śniegu, ujrzeli przecież zdaleka światłe okienka dziedzicznej Ruszczyca wioski.

— Ot jest! chwała Bogu! — krzyknął radośnie Kulik — nasza wioska; jeszcze się w jednej chałupie u Bartka świeci; oto figura na rozstajnych drogach, ale się trochę nachyliła. — A, nie ma wiatraka, albo się spalił, albo go wiatr wywrócił; mój Boże, co się też z poczciwym Walkiem młynarzem stało. — Oto już kościół i plebania, i w karczmie już nie świecą i u Bartka już ogień przygasili. Hej chłopy! żebyście wiedzieli, że wasz Pan jedzie, tobyście pewnie tak nie zasypiali; szkoda że nie ma dzwonków i harapa, tobym przecie z trzaskiem przede dwór mógł zajechać.

Tak mówił ciągle Kulik, popędzając co żywo koni, aż przed bramą dziedzińca stanęły. Porozbierany parkan i gdzie niegdzie sterczące od niego słupy, brama zamknięta, lecz z obu stron tak mocno śniegiem zasypana, że jej otworzyć nie można było, żadnego psa na podwórzu; wszystko to oznaczało dwór bez pana stojący.

— A czy wszyscy wymarli! — zawołał Ruszczyc —

że tutaj tak posępno i głucho, tu nikt nie mieszka, bo nie ma którędy zajechać do dworu.

— Zaraz ja sobie poradzę — rzekł Kulik, zwrócił konie od bramy i rozebranem przęsłem parkanu wjechał na dziedziniec.

Zesiadł Ruszczyc z sani, i wchodząc pod wystawę domu na pół z dachu odartą spostrzegł, że drzwi były otwarte, zdziwił się i rozumiał, że dom cały pustkami stoi, zawołał na Kulika, który oddawszy luzakowi konie, za panem wszedł do ciemnej sieni. Świadomi położenia domu weszli do wielkiej izby na prawo będącej, w której spostrzegli światełko przez dziurkę od klucza dochodzące, i gdy się zabierali do tych drzwi, usłyszeli mocne szczękanie łańcuchami i straszliwe krzyki z tamtej izby pochodzące.

— Panie, tam pokutuje — rzekł po cichu Kulik, chwytając mocno za burkę rotmistrza.

— Pokutuje? w moim domu? a któż taki? przecież ja żywy jeszcze — rzekł Ruszczyc, i poszedł do drzwi, które zastał na klucz zamknięte. — Idźno po rusznicę, bo kiedy zaparte, to z bronią w ręku wkraczać tutaj wypada.

— Pójdźmy oba razem, bo ja nie trafię — rzekł Kulik, i w przodku ku drzwiom iść zaczął. Wróciwszy do sani przywołał jeszcze luzaka na pomoc, a uzbroiwszy się z nim w dzidy i oddawszy panu swemu rusznicę, poszli wszyscy wstępnym bojem ku drzwiom, za któremi coraz mocniejszy hałas słychać było.

Pękły drzwi od silnego uderzenia, wkroczyli z bronią w ręku naprzód oblegający, i dwie długie w prze-

ścieradła przybrane figury łańcuchami do wożenia drzewa przepasane, latarnie trzymające w ręku, padły plackiem przed nimi na ziemię, wydając krzyk przeraźliwy i gasząc przez to światła w ręku trzymane. Trwoga i pomieszanie było z obojej strony, nie było tego ktoby nacierał lub bronił się; Ruszczyc nie mógł pojąć co się działo, jego posiłkowi stali jak wryci z naprzód wydanemi dzidami, a zwyciężeni bez boju oblężeńcy po chwili zerwali się z podłogi i co siły otwartem oknem uciekli. Ciemność zupełna odbierała wszelką sposobność przedsiębrania dalszych środków opanowania tak łatwo zdobytej fortecy. Ruszczyc zawołał po imieniu na swoich ludzi, którzy każden z kolei po cichu życia swego dali znaki, po czem kazał im wszelkiemi sposobami co prędzej rozniecić ogień, aby rozpoznać miejsce w którem się znajdowali. Luzak miał za pasem nabity pistolet, który wystrzeliwszy w komin, z tlącej się przybitki ogień rozniecić zdołał.

Zapalono świecę w zostawionej latarni, Ruszczyc musiał ją sam wziąść do ręki i przejść z nią po całej izbie, bo ludziom jego zabrakło na odwadze do wypełnienia tego zlecenia.

— A, tu wszystko pustkami — rzekł on — tem oknem uciekły mniemane duchy, ciekawy jestem co się z mojemi sprzętami i porządkami stało; obdarte ściany i moich antenatów wizerunki pozdejmowane, a to tak jak gdyby tu Tatarzy pod moję niebytność byli gościli. Pójdźcie, zobaczymy co się na drugiej połowie dworu dzieje, a jeżeli i tam takie pustki, to przecież w folwarku lub na wsi ludzi znajdziemy.

To mówiąc, wyszedł z izby do sieni wraz z trucheljącemi jeszcze ludźmi swymi i zbliżył się do drzwi z przeciwnej strony, które równie jak poprzedzające zastał zamknięte. Za mocnem kołataniem usłyszano głos drżący, który zawołał:

— Wszelki duch Pana Boga chwali!

— A, to głos starego Walentego — rzekł Ruszczyc, — otwórz poczciwy stary, spiesz, bośmy poziębli.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — powtórzono drżącym głosem w izbie.

— I my chwalimy Pana Boga, tak jak i ty, tylko otwórz głupcze.

— W imię Boga, uspokój się pokutująca duszo, dam jutro na mszę za ciebie, a daruj mi dzisiaj.

— Ej, to Walenty, Panie rotmistrzu, — rzekł Kulik, — otwórzno stary, otwórz.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, — mówił z płaczem w pokoju Walenty.

— A ktoby się tam doczekał, nim on do rozumu przyjdzie, — rzekł Ruszczyc, — wybijcież i te drzwi jeszcze.

Otworzyły się drzwi za mocnem uderzeniem dwóch szeregowców, a Kulik wchodząc rzekł:

— Na wieki wieków amen, — odpowiadając niby na ostatnie wyrazy Walentego, który w koszuli w izbie klęczał i spostrzegłszy wchodzącego pana za zmarłego poczytanego, twarzą na podłogę upadł.

— A wstańże, stary głupcze! — zawołał Ruszczyc, — biorąc go za ramię, — oni mię tu widzę za nieboszczyka mają i w mojem imieniu pokutują w domu.

— No, podnieś się przecie, — dodał Kulik, — toćem ja przecie cały i żywy, tak, jak i pan nasz, a choćbym był i zginął, tobym był do ciebie nie przyszedł, bo niema po co.

Wzniósł powoli głowę Walenty i opierając się jeszcze rękoma na podłodze, podniósł oczy w górę, a spojrzawszy na pana swego, raptownie je znowu ku ziemi spuścił. Rozśmiał się Ruszczyc i po chwili zdołał przecież uspokoić starego piwnicznego swego, i przekonać go iż żywym przed nim stoi. Przypatrywał się w milczeniu Walenty przez czas niejaki panu swemu, dotknął się lekko ręki i sukien jego, i przeświadczywszy się nakoniec, że niema żadnego złudzenia, upadł do nóg jego i z najwyższą radością witać go począł.

Zapytany coby znaczyło pokutowanie w domu, i to uporczywe mniemanie, że pan już nie żyje, odpowiedział:

— Ah panie wielmożny! od czasu jak nas doszła smutna wiadomość o śmierci pańskiej... i, co ja gadam... od czasu kiedy głupi ludzie rozpletli w okolicy bajkę, że Pan zginął od pogan; zaraz pan podstarości a bratanek pański wszystkim powiedział, że Jegomość już nie wróci. Jam się do ostatniego spierał i mówił do niego: — Ja temu jeszcze nie wierzę, i ja Waszmości za pana jeszcze nie uznam, chyba że mi sam mój pan doniesie że zginął; — ale on na to nie zważał, pojechał do grodu i jako krewny wielmożnego Pana coś tam zapisał, i od tego czasu każe sobie mówić *Pan Dziedzic.*

— Ale ja mu i razu tak jeszcze nie powiedziałem, i chociaż on się tu chciał roztasować we dworze, tom ja

go nie puścił. Aż tu, tydzień temu będzie, zaczęło ogniście straszyć i pokutować w całym domu; duchy wybiły okna w jadalnej izbie, poobdzierały ściany ze wszystkiego i co noc straszą, że człowiek już ledwo żyje. Jużem też sobie mówił dzisiaj, że trzeba będzie ustąpić z tego zaklętego dworu, boć kiedy Jegomość pokutuje, to znać że już zginął; aleć kiedy mi Pan oto powiada, że tak nie jest, to się dusza w człowieku raduje, że się przecie nie będzie już tułał po świecie na starość.

Gdy tak mówił Walenty, wpadł Kulik, który się był zajął znoszeniem rzeczy do izby i doniósł: iż gromada ludzi ze światłem od folwarku idzie, że słychać dzwonek i widać nawet, iż ksiądz w komży na ich czele się zbliża.

— A to znowu co? — zawołał Ruszczyc — czy ci się przyśniło, czyś też ze strachu jeszcze nie ochłonął?

Aż tu wkrótce usłyszano zgiełk i dzwonienie w sieni; otworzyły się drzwi szeroko, wszedł najpierwszy ksiądz i zakrystyan ze święconą wodą, którą przy odmawianych exorcyzmach obficie Ruszczyca kropić zaczął.

Przeżegnał się Rotmistrz, cofnął kilka kroków, a gdy kropienie nie przestawało, zawołał z gniewem:

— A kogoż wy tutaj za dyabła macie? czyżeście to mnie nie poznali, mnie pana waszego i dziedzica?

Przeraźliwie krzyknęli ci którzy stali za plebanem, on zaś poprzestał exorcyzmów, zbliżył się zwolna do rotmistrza, a poznawszy go z radością witał i uwiadomił, że na wezwanie podstarościego, widmem jego przerażonego, dla wypędzenia złego ducha przybył. Słysząc to

przybyli ludzie uspokoili się i coraz się bardziej do kochanego pana zbliżali.

— Hola bratku! — ozwał się z tyłu Kulik, — kiedy się wszyscy do pana cisną, to się Waszeć wymykasz; pojdźno Waszeć przed niego sprawić się z swoich czynów. — To mówiąc stawił przed Ruszczycem truchlejącego podstarościego, który padł na kolana, wyznał, że wieść o śmierci rotmistrza i pokutowanie duchów, jego było sprawką, i z płaczem o przebaczenie prosił.

— *Ex fundo* mi Waszeć odpowiadać będziesz, — rzekł Ruszczyc z gniewem; kazał go związać i pod ścisłem zamknięciem osadzić.

VIII.

Oto mi dzień nad wszystkie uroczystszy świątki.
Trębecki.

Drugi już tydzień upłynął od czasu powrotu króla, a jeszcze nie była obeszła kolej uroczystości, bądź to u dworu, bądź też przez możnych panów wyprawianych. Ze wszystkich części Polski zgromadzone obywatelstwo trawiło czas na zabawach równie wesołych jak świetnych, dlatego że chwała narodowa powód do nich nastręczała. Miasto Kraków przysposobiło w Sukiennicach festyn, który miał być zakończeniem wszystkich uroczystych obchodów i przewyższyć wszystkie.

Tysiące gorejących świateł rozwodziły blask swój po tym ogromnym gmachu, nieprzejrzane okiem pasmo kotwic z jarzącemi świecami we środku sklepień poza-

wieszanych, rozmaite przezrocza i cyfry u ścian rozjaśnione, połyskujące zbroje, tarcze i chełmy i różne bogate łupy tureckie między niemi pozawieszane, sklepy wszystkie to muzyką w kilku oddziałach sali przygrywającą, to bufetami wykwintnie ubranemi zajęte; tron wspaniały na samym końcu gmachu wzniesiony, gorejącą w różnych kolorach cyfrą królewską uwieńczony; wszystko to czarującym urokiem patrzących zachwycało.

Zgiełk i hałas panował przed wejściem do Sukiennic; lud ciekawy cisnął się ze wszech stron, aby oświecenie przysionków i ubiory nadjeżdżających gości widzieć; cała rota lekkich znaków rozstawiona na ulicy ledwo zdołać mogła utrzymać miejsce wolne od przejazdu powozów. Zdala widać było zbliżające się i oddalające światła pochodni przez hajduków za pojazdami trzymanych; zblizka zajmowała patrzących liczba hajduków, masztalerzy, służalców wszelkiego rodzaju, w barwę panów swoich przybranych, przystrojenie koni, świetność pojazdów i kosztowne ubiory wysiadających gości.

Przy wejściu do ogromnej sali witały goszczących gospodynie festynu, z pomiędzy najzamożniejszych obywatelek miasta wybrane; tudzież wójt krakowski jako główny gospodarz, przybrany w siarkowy żupan złotolitym pasem na nim przepasany, z karabelą przy boku jako przywilej wyłącznie mieszczanom krakowskim służący, po żupanie miał lekki kontusz aksamitny czarny, z którego spadały dwa długie złote sznury z kutasami takiemiż przez ramiona w tył przerzucone. Ten witał każdą wchodzącą osobę, stojąc nieco dalej za gospody-

niami, i po ukłonie jego można było poznać, czy mieszczanin, czy szlachcic, czy dygnitarz przybywał.

Kobiety zajmowały miejsca na ławach wzniesionych po obu bokach sali, począwszy od tronu królewskiego, zostawując miejsce dla dworu, aż niemal do samego głównego wchodu; lecz tak iż dygnitarskie i szlacheckie żony, córki i krewne do miejsc bliższych tronu się cisnęły, a mieszczki niższe miejsca zajmowały. Mężczyźni snuli się gromadnie we środku gmachu pomieszani razem, dygnitarze, wojskowi, szlachta i mieszczanie; po powtarzanych ukłonach, po usuwaniu się z drogi jeden drugiemu, można tylko było poznać, w którą się stronę znakomitsi panowie obracali.

Już tysiące goszczących zapełniały ten przybytek powszechnego wesela; widać jeszcze było wielu witających się z dawno niewidzianymi przyjaciołmi; gdziekolwiek się obróciłeś, słyszałeś pochwały Jana III. i opowiadania bohaterskich czynów z dokonanej wyprawy. Po rozweselonych twarzach, po wyrazie szczerości i otwartości wzajemnej, po ściskaniu się wielu obywateli i zobopólnem pomyślności życzeniu poznać mogłeś, że to święto narodowe obchodzono. Zbywało tylko jeszcze na bytności królewskiej. Z utęsknieniem zwracały się często oczy wszystkich ku wejściu do Sukiennic, każdy hałas, każdy zgiełk tamże wszczęty, zwracał kupy cisnących się ku drzwiom. Nie śmiano rozpocząć tańców, napróżno kapele narodowemi odgłosy do wesołych pląsów zachęcały, i młodzież niecierpliwie przechodząc koło powabnych niewiast, z żalem się krakowiakom i mazurom przysłuchiwała; wszystko było jeszcze w zawieszeniu i

w tem oczekiwaniu zabawy, które, jak każda niemal nadzieja, więcej zapowiada uciechy, jak się jej potem ziści.

Wtem odgłos trąb i kotłów, przez wszystkie orkiestry kolejno powtórzony, oznajmił przybycie królewskie. Rozstąpili się wszyscy na prawo i na lewo, a gdy się monarcha z małżonką okazał, obił się o sklepienia radośny okrzyk witającego ich narodu, i tysiące czapek wzniosło się nad głowy skupionych goszczących.

Zwolna postępował między nimi Jan III, uprzejmie wszystkim pokłon dając, i królowa usiłowała z największem przymileniem witać każdego. Za nimi postępował książe Jakób z ciotką swoją, księżną wojewodziną wileńską, tudzież ojciec, brat królowej, i inni panowie francuscy odznaczający się od reszty dworu cudzoziemskim ubiorem. Następowało dalej grono dam dworskich i znakomitszych dworzan. Królowa była bardzo bogato lecz krojem francuskim ubrana. Włosy jej, rozgarnione nad czołem, i w liczne pierścienie trefione, spadały na ramiona według mody przez P. de Vallière danej, dyamentowy naczólnik wznosił się na wierzchu głowy i raził blaskiem swoim patrzących; wysoka kryza sztywna otaczała szyję kilkoma sznurami drogich pereł ozdobioną. Miała białą atłasową długą suknię w stanie sznurówką mocno ściśnioną, bogato złotem haftowaną, której długi ogon niósł paź królowej w hiszpańskim bogatym stroju. Przy boku miała sztuczny bukiet z drogich kamieni, u rąk wielkie angażanty z najcieńszych brabanckich koronek, a w ręku wachlarz misternej nader roboty ze słoniowej kości kamieniami wysadzany.

Uderzało to wszystkich, że w dniu tym narodowej uroczystości poświęconym, nie tylko królowa lecz i książe Jakób we francuskim stroju wystąpił.

— Patrzajno mówił nie jeden — jak nam to młody królewicz Walezyusza czasy chce przypominać.

— Nie za ojcem on, lecz za matką — dodawał inny — w cudzoziemczyźnie upodobanie znajduje.

— Lepiejby się podobno wydała, — rzekł jeszcze inny, — burka, którą nosił w boju, jak te różnobarwne wstęgi, któremi sobie ramiona obwiesił.

Daleko już był dwór cały od tak mówiących, lecz gdziekolwiek przechodził, zwracały się oczy uniesienia pełne na szlachetną i prawdziwie polską postawę króla a z wyrazem żalu i niechęci na syna. Po chwili ciekawością i uszanowaniem zajętej, nim dwór podług wszelkich przepisów etykiety między goszczącymi do przeznaczonego sobie miejsca doszedł, rozpoczęły się tany, do których z początku i sam monarcha z małżonką należał.

Książe Jakób nie dzielił z razu wesołości i zabawy powszechnej; stanąwszy między kilkoma dworzanami naprzeciw koła tańczących, przypatrywał im się ciekawie i różne nad nimi czynił uwagi. Właśnie mijała przed nim Marya, którą w polskim tańcu nieodstępny od niej Mondor prowadził. Z niechęcią słuchała jego słodkiej mowy i widać było, iż się wstydziła poniekąd, że z kuso ubranym francuzem polskiego tańcuje.

— To jednak najpiękniejsza z pomiędzy wszystkich tancerek, — rzekł książe do Jordana, koniuszego dworskiego, którego był wśród obozowego życia polubił.

— Bez wątpienia, Mości książe, — odparł tenże, — i francuz jej nie bardzo do smaku przypada, jak widać.

— A jednak jej się bardzo przymila — mówił dalej książe — i teraz nawet kiedy się taniec skończył, nie odstępuje jej wcale; jaki słodki, jaki nadskakujący!

— Zwyczajnie Francuz chce Polaka odsadzić, naszego poczciwego Ruszczyca pozbawić narzeczonej. A przy tem taki jest zazdrośny, że i na chwilę nie chce odstąpić od tej, na którą ma oko.

— Doprawdy? — rzekł książe, — szkoda że mi królowa dzisiaj strój taki przywdziać kazała, byłbym z nią poszedł do tańca, żeby Mondora zmartwić.

— Waszej książęcej Mości w każdym ubiorze do twarzy — odpowiedział Jordan — czemubyś nie miał się rozweselić; racz Wasza książęca Mość zbliżyć się tylko do niej, a zobaczysz co się z Mondorem będzie działo.

Usłuchał namowy książe Jakób, poszedł do Maryi, która dla uwolnienia się od uprzykrzonych zalotów Mondora, po skończonym tańcu usiadła obok księżnej Radziwiłłowej.

Mondor rozmyślał właśnie nad tem, jakby się do niej zbliżyć, gdy spostrzegł zamiar księcia Jakóba, a nie śmiejąc przeszkadzać mu później w rozpoczętej rozmowie, ze smutkiem i niechęcią pobiegł da Clotomonta i rzekł;

— Widzisz, jak się sprawdzają moje przeczucia: porzuciła mnie aby się zbliżyć do siostry królewskiej, bo przewidziała że tam znajdzie sposobność mówienia z księciem.

— Cóż w tem złego? — odpowiedział Clotomont —

tak dawno już służysz u dworu i jeszcześ się tego nie nauczył, że dworzanin powinien z upodobaniem na to patrzeć, kiedy panujący lub książe krwi z jego kochanką albo żoną uprzejmie rozmawia.

— Może to być obojętnem gdzieindziej — rzekł Mondor ale nie tutaj, gdzie każda szlachcianka poczytuje się za godną królewicza. W cóż się moje projekta obrócą, jeżeli ona sobie nim głowę nabije?

— Książe nie tak niebezpieczny — mówił Clotomont — jak ów rotmistrz, narzeczony Maryi, któremu, ilem słyszał, król bardzo sprzyja.

— Tego ja się nie boję — odparł Mondor — ona go nie zna jeszcze, ledwo go raz czy dwa widziała.

— A czy to nie wiesz — rzekł dalej Clotomont, że narzeczeni w Polsce dopiero się po ślubie poznają.

— Patrzajno, patrzaj — zawołał Mondor — książe ją bierze za rękę, wprowadza do koła, będzie z nią tańczył; patrzaj jaki grzeczny i uprzedzający dla niej, a ona jak się wdzięcznie uśmiecha, jak pełne słodyczy wejrzenie na niego zwraca. Ciągle rozmawiają z sobą. Ten polski taniec jest zdradzieckim, niebezpiecznym dla młodych dziewcząt: ciągle mogą mówić z tancerzem, nikt nie dosłyszy ich mowy; odgłos przyjemnej muzyki, czas i miejsce zabawie poświęcone, wszystko to łudzi wyobraźnią młodej panny. Gdybym był ojcem, tobym mej córce poloneza z młodym tancerzem tańcować nie pozwolił.

— Gdybyś był ojcem, tobyś już nie był kochankiem — odpowiedział z szyderskim uśmiechem Clotomont, — a patrząc okiem spokojnego rozsądku na skromną pannę,

nie widziałbyś nic złego w tem, co zazdrość twoja tak niebezpiecznem być mieni.

W tem ozwały się trąby i kotły po skończonym tańcu, goszczący za wezwaniem gospodarzy na stronę rozstępować się zaczynali; zrobiono wielki przestwór we środku sali; król, królowa i familia dworska zajęli miejsce dla siebie w końcu sali oznaczone, otoczeni z obudwóch stron dworem i znakomitszymi panami, uszykowanymi w porządku etykietą dworską przepisanym. Dwanaście panien miejskich biało przybranych, z różanemi wieńcami na głowach, szło środkiem pomiędzy goszczącymi, za przewodem gospodyni festynu, i niosło na złotych misach czary z chłodnikami wszelkiego rodzaju, i potrawy dla królestwa przeznaczone.

Gdy je familii królewskiej podawać zaczęto, stanął w przestworze naprzeciw stołu królewskiego wójt krakowski z puharem pełnym wina i wniósł zdrowie królewskie; tysiączne okrzyki obiły się o sklepienia i zagłuszyły odgłos muzyki, która się na wszystkich punktach w czasie spełnienia tego zdrowia odezwała.

Wkrótce potem, na znak przez wielkiego marszałka koronnego dany, uciszyli się wszyscy, powstał król, odebrał od wielkiego podczaszego puhar pełen wina, i zawołał donośnym głosem:

— Niech żyje waleczny i wierny naród polski!

Z zapałem powtórzono wszędzie okrzyk radości, który się długo po wszystkich częściach ogromnego gmachu rozlegał, i powoli się w szmer powszechny zamienił, zwłaszcza gdy dano znak, iż wszyscy goszczący do posilenia się przystąpić mieli.

Damy zajęły miejsce u stołów pomiędzy sklepami zastawionych, mężczyźni gromadzili się przed bufetami w sklepach i koło stołów przez damy zajętych. Wszędzie słyszano wnoszone zdrowia, i w kupach przed sklepami zgromadzonych widziano puhary i czapki w górę wznoszone. Odgłosy muzyki, wesołe rozmowy tysiąca goszczących, nieustannie wnaszane zdrowia, wszystko to sprawiło głuszący hałas, w którym ani wyrazów mowy ani tonów muzyki rozeznać nie można było. Po skończonej biesiadzie, gdy wyniesiono stoły, wystąpił król na środek sali, i prowadząc królową, polskiego rozpoczął tańca.

Wszystko z zapałem ruszyło się za monarchą, nieprzejrzany okiem szereg tańcujących wił się po całym gmachu; na każdej twarzy widać było wyraz zapału i szczerej wesołości; przy każdym zawrocie koła widziano tysiące rąk wyloty od kontuszów na plecy zarzucających, i czapki z pod jednej pachy pod drugą przekładających.

Sam Jan III, postawą i ruszeniem między wszystkimi obecnymi jako piękny Polak celujący, wesołością swoją wszystkim dodawał ochoty. Odprowadziwszy królową po pierwszym tańcu, wziął gospodynię festynu do drugiego i potem kolejno ze znakomitszemi damami tańcował. Po skończonych tych tańcach, gdy się młodzież do innych zabierała, oddalił się król z królową i z księciem Jakóbem, niespostrzeżony od goszczących, zostawując większą część dworu swego na zabawie.

Odetchnął Mondor, gdy oddalającego się księcia Jakóba spostrzegł, i zbliżył się natychmiast do Maryi, która w gronie innych dam dworskich po tańcu odpo-

czywała. Najżywsza wesołość malowała się na jej twarzy, uprzejmie żartując z siedzącemi obok siebie damami.

Mondor stał się przedmiotem przyjemnego jej prześladowania; to dobierała z pomiędzy obecnych panien przedmiot miłośnych zapałów dla niego, to zręcznie odwracała od siebie wszelkie słodkie wyrażenia, które Mondor do niej stosować usiłował, i lubo istotnie żadnej pocieszającej nie dawała mu nadziei, był on wszelakoż uszczęśliwiony samą sposobnością dłuższego z nią rozmawiania, i cieszył się tą wątłą otuchą, że szczęśliwsza dla niego chwila zabłyśnie.

Właśnie zbierali się panowie i dworzanie francuscy do swego narodowego tańca; prowadząc damy dworskie tańczyć go mające, stawali już w kilku kołach, i Mondor wyprowadził Maryą, szczęśliwy iż przedłuży chwilę wesołej z nią zabawy; już zwykłe przed rozpoczęciem tych tańców poczyniono ukłony, muzyka zaczynała przygrywać zagraniczne melodye;... gdy okrzyki radośne od drzwi gmachu pochodzące zagłuszyły wszystko i rozpocząć się mające kadryle przerwały.

Zgiełk powstał, wszyscy obecni przez ciekawość tańczyć mających otaczający, do miejsca zkąd odgłosy pochodziły cisnąć się zaczęli i rozstawione szyki tancerzy pomieszali.

Mondor na rozkaz Maryi chciał biedz za drugimi, gdy spostrzeżono zbliżającą się ciżbę a nad głowami wszystkich młodzieńca w polskim stroju, którego kilkunastu z młodzieży na rękach z okrzykami radości niosło i stanąwszy przed bufetem blisko Maryi będącym, żądało wina, aby spełnić jego zdrowie. Żywy rumieniec

okrył lica Maryi i serce mocno bić zaczęło, gdy na niego spojrzała; był to bowiem książe Jakób, który odprowadziwszy rodziców do zamku, wracał jeszcze dzielić powszechną zabawę i zamienił strój francuski na biały atłasowy żupan dyamentową spinką spięty i po huzarsku bogato złotem szamerowany i na aksamitny karmazynowy kontusz sobolami podbity.

Gdy go w tym stroju wchodzącego spostrzeżono, powstał natychmiast okrzyk radosny, który przerwał tańce francuskie. Zapał przejął wszystkich na ten dowód poważania znakom narodowym przez królewicza dany, dlatego wniesiono go na rękach i wśród powszechnego zgiełku pokilkakroć jego zdrowie spełniono.

Długo nie śmiała poglądać na niego Marya, ażeby nie dostrzeżono co się w jej sercu działo: to spuszczała oczy na ziemię, to obojętną rozmową z towarzyszkami swemi pokrywała pomieszanie własne.

Lecz gdy książe oswobodził się z rąk zapałem uniesionych goszczących, gdy się do niej zbliżył i rzekł:

— Wypełniłem rozkazy Pani i nie żałuję tego; — natenczas nie zdołała już ukryć pomieszania swego, podziękowała lekkim uśmiechem księciu, i jak gdyby sumienie jej winą obarczone było, spojrzała truchlejąca po osobach bliżej niej stojących, czy kto z obecnych śledczego oka na nią nie zwraca.

Chcieli rozpocząć na nowo przerwany taniec francuzi, Mondor zbliżył się nieśmiało do Maryi i ponowił dawne zaproszenie; lecz książe spojrzał na niego groźno, zapytał się co to miało znaczyć? a dowiedziawszy się o jego zamiarze, nic nie odpowiedział, lecz podał uprzej-

mie rękę Maryi; poskoczył z nią na środek sali i zawołał donośnym głosem: *Krakowiaka.* Ustąpili powtórnie gniewem przejęci francuzi, długi szereg nadobnych par polskich zastąpił ich miejsce, i w równie wabnych jak wesołych pląsach żywo całą między widzami otwartą przestrzeń tam i napowrót przebiegł.

Gdy miano mijać tron królewski, zatrzymał się w drugiej parze tańcujący przystojny młodzieniec, zaprosił, królewicza aby także chwilkę wstrzymać się raczył, a obróciwszy się do tronu, odśpiewał następującą zwrotkę którą mu chwila uniesienia natchnęła:

Hola grajki! niech się w koła
Skoczny taniec wiąże,
Niechaj serce z ust zawoła:
Wiwat Polski książę!

Milczał śpiew śród szczęku broni,
W zbroi ustał taniec,
Gdy nad światem pęta w dłoni
Potrząsał pohaniec.

Lecz pozbywszy z serc obawy
Bądźmy znów weseli,
Wódz co dzielił trud nasz krwawy,
Radość naszą dzieli.

Teraz pora, niech mu za to
Wdzięczność się wypłaci!
Bo najmilszą dlań zapłatą
Widok szczęścia braci.

Po odśpiewaniu tej pieśni ruszył jeszcze żwawiej naprzód liczny orszak tańcujących, a wszyscy powtarzali

ostatnie słowa śpiewaka, który gdy wrócił przed tron zatrzymał się znowu i śpiewał:

Lecz gdy pięknie z obcych krajów
Mieczem zrzucać pęta,
Strzedz swojego praw zwyczajów
Jest powinność święta.

Niechaj chrześciaństwa wrogi
W lekkim chodzą stroju,
By wolniejsze mieli nogi
Do ucieczki z boju.

Lecz Polacy niech żelazem
Piersi w bojach kryją
Nieugięte jest obrazem
Serc co pod niem biją

A gdy stępi wrogów strzały
Wróćmy do kontusza;
Niech strój tak będzie wspaniały
Jak jest polska dusza.

Radośny szmer na pochwałę spiewaka rozległ się po sali, wszyscy tańczący z uniesieniem ostatnie powtarzali wyrazy, a otaczający ich z obu stron Polacy tupali nogami za taktem muzyki, pokręcali wąsów, zarzucali wyloty, a bardziej podochoceni wznosili czapki w górę i głośne wydawali okrzyki.

Gdy się skończył ten narodowy taniec, w którym królewicz oddał się z uniesieniem wesołości i roskoszy, przez powszechny zapał i wdzięki Maryi wzbudzonej; przystąpiła ochmistrzyni dworu i żądała niezwłocznego oddalenia się wszystkich panien dworskich, bądźto podmówiona przez rozpaczającego Mondora, bądź też urażona

sama o mniemaną zniewagę wszystkim jej ziomkom wyrządzoną, która ich do wczesnego opuszczenia balu zmusiła.

Królewicz nie dozwolił wszelakoż na to, aby Marya natychmiast odjeżdżała, zdołał odwlec jej oddalenie się pod pozorem potrzeby należytego wypoczęcia po tańcu; nie odstępował jej i ciągle z nią rozmawiał, póki niecierpliwa ochmistrzyni z całym swoim orszakiem z miejsca nie ruszyła.

Łatwo pojąć, jak wielkie wrażenie ten wieczór na żywej wyobraźni Maryi uczynił. Próżno szukała spoczynku wróciwszy do swego samotnego mieszkania; sen stronił od powiek, bo pamięć zbyt była jeszcze pełna obrazów i uczuć, które ją w tym dniu pamiętnym zajmowały.

Widziała ubóstwionego monarchę w całej świetności majestatu, odbierającego dowody przywiązania od narodu swego, a syn jego, przyszły może król polski, łaskawym na nią poglądał okiem, zajęty jej wdziękami usłuchał jej rady, przybrał strój polski i składał jej dzięki za dowody przychylności powszechnej, które za to odbierał.

Królewicz dał jej pierwszeństwo przed wszystkiemi innemi damami, z nią ciągle tańcował, z nią uprzejmie rozmawiał; a ten królewicz był pierwiastkowo równego z nią urodzenia, był to syn hetmański, szlachcic polski, który mógł był bez poniżenia powziąść miłość dla Modrzejowskiej, a raz przejęty tem żywem uczuciem przezwyciężyć z czasem wszelkie przeszkody, któreby duma matki jego lub widoki polityczne stawiać mogły.

On mógł zostać królem, mógł potrzebować wówczas rady przyjacielskiej małżonki, w której sercu miłość ojczyzny najpierwsze miejsce miała; za jej wpływem,

za natchnieniem jej miłości, mógł on uzyskać przychylność narodu, do której osobista waleczność prawo mu dawała. Jakby to piękne, jak wzniosłe było powołanie niewiasty, któraby niosąc ulgę jego trudom, nad tem tylko pracowała, aby mu miłość poddanych zachować. Tak wysokie przeznaczenie mogło czekać Maryą; wszakże nie pierwszaby była na tron wyniesioną Polką! a gdyby nawet wzbudzić miała zawiść; uprzejmością, cnotami można było przemódz nad nią i zjednać sobie wdzięczność i miłość narodu.

Takie słodkie marzenia przez noc całą zajmowały żywą wyobraźnią Maryi; późno już było na dzień, gdy sny zwodnicze najpiękniejszemi obrazami uspioną łudzić zaczynały; lecz wtedy właśnie wpadła z oznakami radości jej pokojówka i oznajmiła ledwo co ocuconej Maryi, że jej narzeczony, Pan Ruszczyc, przybył do dworu.

IX.

Drzwi się z nagła otwarły. Aż tysiąc ukłonów.
Wchodzi pan, już umilkła świergotliwa zgraja,
Każdy się inszym kształtem łasi i przyczaja,
Każdy patrzy na pana a z wzroku docieka,
Czego albo się chroni, albo na co czeka.
Wszystkie się usta śmieją, ciągną wszystkie szyje,
Ten się pcha, ten potrąca, ten się jak wąż wije,
Wszyscy na to, kogoby pan giestem oznaczył.
Spojrzał pan na Szymona, dniem dobrym uraczył.
Aż ci Szymon w promieniach, śmieje się i mruga,
Jan go kocha serdecznie, Piotr najniższy sługa.
Krasicki Sat.

Już blisko było południa, kiedy przed bramą zamkową stojący na warcie żołnierz piechoty łanowej, za-

trzymał wchodzącego szlachcica temi wyrazy: — niewolno. — Na to odwinął ferezyą szlachcic, spojrzał gniewnie na żołnierza, który przypatrzywszy mu się odstąpił na bok, dał mu pokłon żołnierski i rzekł:

— Pan rotmistrz, to co innego.

Z powagą oddał Ruszczyc ukłon żołnierzowi, i z dobrą miną wszedł do zamku. Nie miał on żadnych znaków wojskowych, bo zwykł mawiać: że wśród pokoju wraca Polak do pługa i na poselską ławę, a tam mu zbroi ani tarczy nie potrzeba. Lecz po minie i po całem ruszeniu poznać można było doświadczonego wojaka, który z niezwykłą sobie wykwintnością uroczysty strój przywdział, aby się u dworu pokazać.

Gdy stanął u drzwi głównego wchodu do pokojów królewskich, zatrzymał go hajduk z oświadczeniem, iż nie może iść dalej bez uzyskania na to pozwolenia od wielkiego marszałka dworu, do którego się udać wypadało za pośrednictwem dworzanina na służbie będącego, z prośbą, aby raczył zapisać nazwisko jego na wykazie osób w dniu dzisiejszym królowi przedstawić się mających. Nie chciał na to zważać Ruszczyc, i gdy nadbiegł dopiero wspomniony dworzanin dla ułatwienia tej sprzeczki, rzekł do niego odpowiadając na powtórzone sobie oświadczenie hajduka:

— Mój paniczu! nie dla mnie zrobione te wszystkie zachody, jam nawykł po prostu iść do króla, kiedy tego mam potrzebę i mnie się w obozie przed jego namiotem nikt o nazwisko nie pytał, nim mnie do niego dopuszczono.

To mówiąc, nie czekał dalszej odpowiedzi i wszedł do przedpokoju królewskiego.

Tam zastał dość liczne zgromadzenie; dwóch hajduków węgierskich z halabardami stało u drzwi do pokojów królewskich prowadzących. Kilka osób różnego stanu otaczało w oknie stojącą osobę, przysłuchując się jej powieści: na ławie przy ścianie siedział przystojnie przybrany żyd, który nie zważał na to co się koło niego działo i zatopiony był w rozmyślaniu, a poruszenia głowy i palców okazywały, iż rachunkami jakiemiś był zajęty.

Wszedłszy stanął Ruszczyc na środku, nie wiedząc do kogo się ma udać, ażeby sobie wstęp do pokojów królewskich ułatwić; dworzanin bowiem obstawał przy tem, ażeby się marszałkowi dworu zalecił. Obejrzawszy się na wszystkie strony, a nie chcąc zająć miejsca na ławie obok żyda, obrócił się do osób w oknie stojących i spostrzegł między niemi średniego wieku mężczyznę, którego ubiór księdza a mowa cudzoziemca wydawały, i który bardzo szybko i płynnie opowiadał jakieś zdarzenie otaczającym go ciekawym. Był to człowiek wysoki, chudy, którego żywe oczy, wysokie czoło, usta pochlebnego wyrazu pełne, i włos na głowie rzadki i płasko przyczesany, na pierwszy rzut oka dworaka biegłego w sztuce tajenia własnych, a odgadywania obcych myśli, okazywały. Spostrzegł on Ruszczyca i nie przerywając sobie bynajmniej mowy, śledcze oko na niego zwrócił; uderzyło go bowiem wejrzenie śmiałe rotmistrza, sądził po niem że to musiał być człowiek łaski potrzebujący, domyślał się, iż to może jest jaki z mniej życzliwych dworowi, i ciekawość jego tak się zaostrzyła,

że ustawał coraz bardziej w żywości, z którą poprzednio rozmowę prowadził. Odstąpiwszy innej osobie prawo zabrania głosu, potakiwał czas niejaki obojętnie, a z boku spoglądał na Ruszczyca, ciągle się z dworzaninem sprzeczającego, aż nakoniec wymknąwszy się zręcznie z pomiędzy otaczających go i zbliżywszy się ku niemu, uprzejmym i na pół pokornym powitał go ukłonem. Ujęty tą grzecznością oddał Ruszczyc pokłon uprzejmie lecz obojętnie.

Po krótkiej chwili milczenia przemówił do niego nieznajomy w języku łacińskim, i zapytał w jakim zamiarze przybył do dworu?

— Chcę widzieć króla — odpowiedział Ruszczyc, — tęskno mi już bez niego, lubom się niedawno z nim rozstał.

Spojrzał nieznajomy na rotmistrza, i od stóp do głowy okiem go przemierzył, chcąc się domyśleć co by to mógł być za człowiek, co tak poufale o królu rozmawia. Ten zaś nie zważając na to mówił dalej:

— Nie znam ja zabiegów dworskich, bom tylko w obozach naszego Pana hetmanem i królem zaznał, i dziwno mi się zdaje, że mię tu wszędzie zatrzymują, jak gdyby każdy szlachcic i wierny sługa królewski nie był godzien wolnego przystępu do jego osoby.

— Illustrissime — odpowiedział cudzoziemiec — nie jestem ja prawda świadom zwyczajów tego kraju, do którego nie zbyt dawno przybyłem, nie wiem jakie są prerogatywy tutejszych panów, ale ilem mógł dosłyszeć o zwyczajach innych dworów, to cierpliwość i uniżo-

ność najlepszymi są przewodnikami do przysionków królewskich.

— A skądże jesteście rodem — rzekł Ruszczyc — że was moja otwartość tak zadziwia?

— Nazywam się Wota — odpowiedział z miłym ukłonem cudzoziemiec — Sardynja moją ojczyzną, a dwór cesarski jest dla mnie tem dobroczynnem słońcem, pod którem wszelkie szczęście moje powstaje i wzrasta.

— My Polacy — rzekł na to Ruszczyc z przyciskiem, — żyjemy na północy; u nas promienie słońca dworskiego tak wielkiego skutku nie wydają; dlatego nawykliśmy prostą drogą męztwa i zasługi zmierzać do celu życzeń naszych.

Uśmiechnął się ironicznie Wota, i kłaniając się rotmistrzowi rzekł:

— *Egregie dixisti*... Ale w jakimże interesie przybywacie do króla? bo wszelako jeżeli macie prosić o jaką łaskę, to powolność i upatrzenie dogodnej pory, w którejby z królem mówić można, najprędzej do pożądanego celu doprowadzą.

— Nie gardzę nigdy łaską królewską — rzekł Ruszczyc, ale dzisiaj sprawiedliwości dopraszać się będę, i dlatego...

W tem otworzyły się drzwi od pokojów królewskich; wszyscy ruszyli się i odskoczyli na bok, a Wota nie czekając dokończenia peryodu Ruszczyca, odbiegł szybko od niego, aby najbliższe miejsce przy drzwiach zająć. Wyszedł żyd Jonasz, lekarz królewski, a za nim dworzanin, który drzwi przymknął i przy nich został. Jonasz poszedł do drugiego żyda spokojnie na ławie siędzącego;

pomówił z nim cicho, i oddalając się od niego wskazał na drzwi pokojów królewskich, do których żyd pokornie się tłocząc pomiędzy wszystkimi doszedł, i przez dworzanina do dalszych pokojów wpuszczony został.

Wota pobiegł za oddalającym się Jonaszem, przywitał go uprzejmie, zatrzymał przy drzwiach i różne mu pytania o stanie zdrowia i o humorze króla czynił.

Po długiem oczekiwaniu wyszedł nakoniec dworzanin i oświadczył obecnym, iż król Jegomość nikomu posłuchania w dniu dzisiejszym dla wielkich zatrudnień dawać nie będzie; jeżeliby wszelakoż kto z obecnych życzył sobie widzieć monarchę, może pozostać, gdyż Jego Królewska Mość wkrótce tędy do pokojów królolowej przechodzić będzie.

Zasępił się nasz rotmistrz i chciał się już oddalić, nie rad temu, że takiej zwłoki doznaje; lecz gdy wspomniał na ukochanego Pana swego i na to, iż samo-chcący pozbawi się szczęścia oglądania go dzisiaj; zatrzymał się nagle przy końcu izby, i spostrzegłszy, że się drzwi z pokojów królewskich otwierają, stanął sobie przy boku. Uśmiech radości osiadł na jego ustach, a oczy wyrazem życzliwej ciekawości przejęte zwróciły się ku stronie, od której monarcha miał przybyć. Nie widział on paziów, szambelanów, i marszałka dworu, którzy go mijali poprzedzając króla; lecz gdy go samego spostrzegł z daleka, wysunął się nieco naprzód, podniósł głowę do góry, pokręcił wąsa, zarzucił oba wyloty od kontusza na ramiona, sparł prawą rękę na karabeli, lewą za pas włożył i z wyrazem uniesienia na każde ruszenie króla, poglądał.

Przeszedł monarcha między kłaniającymi się, tym pokorniej i tym niżej, im który więcej łaski potrzebował, a uśmiechnął do Woty i po włosku dnia dobrego mu życzył; lecz gdy oko jego spotkało śmiałe i radością przejęte wejrzenie Ruszczyca, zatrzymał się i rzekł:

— A! i ty tutaj rotmistrzu; bądź pozdrowion, czy żądasz czego odemnie?

— Miłościwy Panie — rzekł Ruszczyc, wysuwając się naprzód śmiało, przed tych, którzy mu miejsce zabrali — Wasza Królewska Mość kazałeś mi się stawić przed sobą, w razie gdybym Jego wysokiej łaski potrzebował; dlatego uciekam się dzisiaj do niej śmiało i otwarcie, lubo mnie dworzanie Waszej Królewskiej Mości przed Jego oblicze puścić nie chcieli.

— Domyślam się czego żądasz — rzekł król, — również widzę skory do boju jak do miłości. Wolniejszym czasem pomówimy o tem z sobą.

Na to sięgnął Ruszczyc żywo za kontusz, dobył papier i rzekł, podając go królowi:

— Najjaśniejszy Panie! oto jest pokorny list od wuja i opiekuna Jejmość Panny podskarbianki Modrzejowskiej, który aby łaskawe przyjęcie u waszej królewskiej Mości znalazł, oto ja wierny sługa W. K. M. proszę.

Przyjął łaskawie monarcha list podany i dodał:

— Rotmistrzu! możesz być pewnym moich względów; jutro o tej samej godzinie stawisz się tutaj, a odbierzesz pożądaną odpowiedź.

Skoro się król oddalił, otoczyli wszyscy Ruszczyca, dziwując się temu, że pomimo zapowiedzenia, król

jemu samemu tylko dał posłuchanie; spoglądano na niego z pewnym wyrazem poważania i dawano mu dowody względności, której go wprzódy jako nieznajomego, godnym być nie sądzono. Z wypogodzoną twarzą zbliżył się Wota ku niemu, winszował mu szczególnie uprzejmego przyjęcia od monarchy, i szczycił się tem, że w części przynajmniej mógł z nim dzielić w dniu dzisiejszym łaskę króla, który i do niego słów parę przemówić raczył.

Lecz pomiędzy dworzanami na pokojach obecnemi był także i Clotomont, który pośpieszył natychmiast do Mondora z niepomyślną nowiną. Jeszcze go zastał w łóżku, jako wolnego w dniu tym od służby dworskiej, a potrzebującego wczasu po wczorajszej zabawie.

— Ty spisz Mondorze? — zawołał wchodząc — nieprzyjaciel zwycięzko na twoim gruncie postępuje.

— Co? zapytał, zrywając się Mondor — czy książe...

— To nie książe, to prosty szlachcic — odpowiedział Clotomont — ale tak niebezpieczny, jak tylko być można.

— Któż taki? — rzekł nieco spokojniej Mondor.

— A ja nie wiem jak się nazywa, ale się domyślam, że to musi być ten jakiś narzeczony twojej kochanki, o którym mi dawniej mówiłeś, wystawiając mi go jako starego wojaka, żadnych nie mającego powabów i jako osobę mało znaczącą, a którego ja wcale innym znalazłem jak ty mniemałeś.

— Mniejsza o to — odpowiedział ziewając Mondor — dla tego nie warto było przerywać mego spoczynku, czy to on przybył! czy się widział z królem?

— Byłem właśnie wtedy w przedpokoju królewskim

kiedy przybył człowiek dorodny, pięknej postawy, nie młokos pieszczony i gładki, ale przystojny mężczyzna, którego postać śmiała i szlachetna pewne poważanie wzbudza i kobietom podobać się może. Poznałem go po tem, że wspomniał nazwisko Modrzejowskiej, gdy król do niego przemówił. A co najgorsza, że wielkie ma widać łaski u monarchy, bo z nim samym tylko mówił, i jutro mu pomyślną odpowiedź dać obiecał.

Na to dopiero zerwał się z posłania Mondor i wypytywał się z niespokojnością o wszystkie szczegóły przyjęcia Ruszczyca, a poznawszy niebezpieczeństwo prosił Clotomonta o dobrą radę. Trudna była to rada, bo czas krótki do działania pozostawał; nie można było wprost użyć pośrednictwa ojca królowej, bo ten nie był tak łatwo przystępny, a trzeba było koniecznie znaleźć kogoś, ktoby mógł nakłonić królowę do zniweczenia przychylnych chęci króla dla Ruszczyca.

Zamyślił się nieco Clotomont, nie tak dalece nad tem co czynić wypadało, jako raczej nad tem jak to Mondorowi oświadczyć. Nakoniec rzekł:

— Jest jeszcze jeden środek, ale niebezpieczny.

— A to jaki? — zapytał Mondor

— Hrabia de Maligny, brat królowej — odpowiedział Clotomont, — należy do liczby tych, którym się twoja kochanka podobała.

— I ten także! — przerwał Mondor — to prawdziwe nieszczęście na mnie. Niechże się dzieje co chce, niech sobie panna odjeżdża do domu; czy ten, czy ów, to mi wszystko jedno, skoro się ma zawsze na tem skończyć,

że ja dla innego zabiegi czynić będę, i że sobie powiem, *sic vos non vobis.*

— Otoż masz — rzekł Clotomont — znowu się zapalasz, niewiedzieć czego. I cóżto szkodzi, że się hrabiemu de Maligny Modrzejowska podobała, on przecież z tobą o jej rękę ubiegać się nie będzie; znajduje zwyczajnie upodobanie w jej towarzystwie, lubi patrzeć na jej piękną twarz, i markotnymby był, gdyby Marya dwór opuścić miała. Można korzystać z tych dobrych chęci jego i prosić go, aby nakłonił królowę do przeszkodzenia oddaleniu się Maryi.

— Rób co chcesz — odpowiedział Mondor, który mało miał nadziei pomyślnych skutków swego starania. — Pamiętaj przynajmniej na to, że zobowiążesz nieszczęśliwego, jeżeli mu szczerze dobrze życzyć będziesz.

— Czyż możesz wątpić o tem? — odpowiedział Clotomont, i pospieszył do hrabiego de Maligny, którego on pierwszy uwagę na wdzięki Maryi był zwrócił i ciągle niemi zajmował, ażeby sobie przychylność, tak wielkie wpływy mającego pana zjednać. Łatwo mu było nakłonić go, aby uprosił królowę o to, iżby przeciwko zamiarom naszego rotmistrza działała, wystawiając mu jak wieleby dwór stracił, gdyby Marya miała dopełnić śluby swoje, i jakaby to szkoda była, gdyby tak powabna dama miała się stać własnością prostego wojaka, któryby jej nawet cenić nie umiał. Hrabia zajął się niezwłocznie wykonaniem danej sobie rady przez Clotomonta, i dobrze umiał korzystać z tej zwłoki, którą król w wypełnieniu próźb Ruszczyca uczynił.

Nazajutrz rano, gdy stosownie do odebranego roz-

kazu Ruszczyc stawił się u dworu, doniósł mu monarcha; iż królowa ciekawą będąc poznania go osobiście, chcąc mu sama oświadczyć przychylność swoję ku niemu i ku Maryi, i podać zarazem sposobność widzenia się z narzeczoną, żądała, aby Ruszczyc był jej przedstawiony; w skutku czego wziąwszy go król z sobą poszedł z nim do pokojów królowej. Tam zastali Maryą, ochmistrzynię dworu i brata królowej, która na przedstawienie sobie Ruszczyca przez króla, rzekła do niego z pełnym słodyczy uśmiechem:

— Miło mi jest poznać walecznego i wiernego sługę królewskiego, o którym już tyle zaszczytnego słyszałam.

Skłonił się Ruszczyc głęboko, chciał odpowiedzieć na pochlebne wyrazy królowej, lecz gdy spojrzał na bok i spostrzegł Maryą, całym wdziękiem młodości i wykwintnym ubiorem dworskim ozdobioną, brakło mu wyrazów i mimowolnie ku swojej obracając się narzeczonej, dał jej ukłon uprzejmy, pierwej jeszcze jak innym obecnym osobom. Powiększyło to pomieszanie i tak już trudzącem się uczuciem przejętej Maryi, zwłaszcza gdy spostrzegła źle ukrywany szyderski uśmiech na ustach brata królowej i pani de Feud'herbe. Królowa potrafiła utaić wewnętrzne uczucie swoje, i zapobiegając pomieszaniu Ruszczyca, mówiła dalej do niego:

— Król oświadczył mi życzenie WPana względem przyspieszenia zawarcia ślubów małżeńskich z panną Modrzejowską. Nie dziwię się bynajmniej jego tęsknocie, bo umiem cenić przymioty narzeczonej jego; ale dla tego właśnie żałuję mocno, że przyjdzie mi się rozstać z osobą

którejbym chciała dać dowody prawdziwie macierzyńskiej troskliwości.

— Najjaśniejsza Pani! — odpowiedział Ruszczyc, nie mam ja tu nic do żądania, przychodzę tylko, jako posłannik opiekunów panny podskarbianki, wynurzyć ich życzenia, a przytem — obracając się uprzejmie ku Maryi — jeżeli na to Jejmość Panna podskarbianka łaskawie zezwoli, złożyć u stóp jej najżyczliwsze affekta i nadzieje moje.

— Niechże więc — rzekł król — Panna Modrzejowska otwarcie nam swoje życzenia oświadczy.

— Nim to nastąpi — przerwała królowa — pozwolisz, że ja moje życzenia wynurzę, nie kładąc żadnego obowiązku ani na Pana Ruszczyca, ani na Pannę Modrzejowską, i żadnego z ich strony nie żądając poświęcenia. Nie wątpię bynajmniej, że Panna Modrzejowska dotrzyma danych przyrzeczeń i że zechce uszczęśliwić swoją osobą tak godnego i zasłużonego człowieka, jakim jest Pan rotmistrz; lecz czyżby to koniecznie wypadało naglić te związki? czyżby nie można jeszcze odwlec do czasu niejakiego ich zawarcia? Wszakże jeszcze bardzo młodą jest narzeczona, wieleby jeszcze zyskać mogła przez dłuższy pobyt u dworu, i mnieby miło było dawać jej dłużej dowody mojej szczególnej przychylności i wywdzięczyć jej się poniekąd za usługi, przez jej ojca tak długo królowi świadczone. Zresztą jest to tylko moje życzenie, odwołuję się do chęci osób, które to obchodzi, a mianowicie zapytuję się naprzód ciebie, kochana Panno Modrzejowska, chciej mi otwarcie powiedzieć czego sobie życzysz, ja się niczemu sprzeciwiać nie będę.

Kto wie, coby była odpowiedziała Marya, gdyby jej to zapytanie kilkoma dniami wprzódy była uczyniła, lecz po wypadkach ostatniego festynu nie miała już tak silnych pobudek do rychłego opuszczenia dworu. Zapowiedziane widzenie się z Ruszczycem i wiadomość o przychylnych ku niemu chęciach, w niemałe wprawiły ją pomieszanie, i stały się powodem wewnętrznej walki wzmagać się zaczynającego uczucia z niedopełnieniem obowiązku. Przywołaną będąc do królowej i domyślając się co ją czeka, potrafiła, po nieco bolesnej dla siebie walce, uzbroić się w taką moc duszy, iż postanowiła poświęcić złudzenia, zbyt może żywej wyobraźni, dopełnieniu danych przyrzeczeń i woli ojcowskiej. Stanęła ona przed Ruszczycem z ciężkiem sumieniem; jego przybycie do dworu miało zniweczyć najsłodsze jej marzenia; nie dziw zatem, że smutek i pomieszanie malowały się z początku na jej twarzy i że promień nadziei rozjaśnił jej wejrzenie, gdy królowa obstając przy dłuższym jej pobycie na dworze, do zdania jej się w tej mierze powołała. Z żywym rumieńcem na twarzy, ze spuszczonemi skromnie oczami, odpowiedziała na zapytanie królowej: iż polegając zupełnie na jej łasce, wypełni wszelkie jej rozkazy.

— Nie dość na tem — rzekła królowa — większą tu wagę mają życzenia Pana rotmistrza, i lubo się dla mnie powolną być okazujesz, nie wezmę ci tego bynajmniej za złe, gdy po oświadczeniu zdania jego więcej się do jego życzeń skłonisz; dlatego udaję się z prożbą do Waszmości, Panie rotmistrzu, i zostawiam to zupełnie jego woli: czy zechcesz jeszcze na czas niejaki odwlec

spełnienie szczęścia twego. Lecz wyznaję szczerze, iżby mi bardzo przykro było rozstać się wkrótce z Panną Modrzejowską, która jest tak pilną w dokonywaniu obowiązków swoich, i której usługi wielceby mi były pożądane, zwłaszcza w podróżach jakie mam przed sobą.

Stał jak wryty Ruszczyc; poglądał na króla, jakby się od niego rady i pomocy w ciężkim razie spodziewał; spojrzał na Maryą, która pilnie unikała spotkać jego wejrzenia, ażeby w jej oczach radości nie wyczytał. Nakoniec, nie widząc znikąd pomocy, rzekł z największem pomieszaniem: — Ja nawykłem pełnić rozkazy monarsze; zdaję się zupełnie na łaskę W. K. M., zresztą zostawiam to wszystko do woli Jejmość Panny podskarbianki.

— Kiedy tak — rzekł król — rozkażę odpisać opiekunom Panny Modrzejowskiej, na list któryś mi, rotmistrzu, doręczył, z oświadczeniem waszej woli. Bardzo rad jestem iż rzecz ta taki obrot wzięła, gdyż wczesny odjazd Panny podskarbianki miałby pozór jakiejś niełaski z naszej strony, gdy przeciwnie ja i królowa dowody ciągłej przychylności wam obojgu dawać chcemy.

— Dziękuję ci, mój Panie rotmistrzu — dodała królowa — za powolność twoję, możesz być pewien zawsze względów moich. Z macierzyńską troskliwością pielęgnować będę przyszłą małżonkę twoję, i ponieważ król ma właśnie przedsięwziąść nową wyprawę wojenną, miło nam będzie, po jej skończeniu i tryumfy i wesela razem obchodzić.

To rzekłszy, powstała z miejsca i skłoniła lekko głowę Ruszczycowi, co miało znaczyć, że nie miał czego czekać dłużej. On też skłoniwszy się nisko królestwu,

obejrzawszy się raz jeszcze tęsknie za Maryą, wyszedł z pokoju. Na schodach spotkał dawnego przyjaciela swego koniuszego dworu, Jordana, który rzekł do niego:

— No i cóż? jakże ci się powiodło mój rotmistrzu?

— A dobrze — odpowiedział tenże — król łaskaw, jak zazwyczaj, królowa uprzejma nad wszelkie spodziewanie.

— Więc tedy, na kiedyż wesele?

— Tego jeszcze nie wiem; ale podskarbianka wyładniała i tyle ma powabów, jak rzadko która niewiasta.

— Długoż jeszcze u dworu zabawi?

— I tego nie wiem; alem się nigdy nie spodziewał, żeby królowa Pani miała być tak uprzedzającą i słodką. Wystaw sobie, że mnie prosiła o to, abym nie naglił zawarcia związków, bo by jej przykro było rozstać się z Maryą.

— Rozumiem; a ty co na to?

— Ha, jakże było się oprzeć jej życzeniu; raz że królowa, drugi raz że kobieta.

— Więc przystałeś na wszystko?

— Jakże nie było przystać?

— Czegoż mi więc mówisz że wszystko jak najlepiej poszło?

— Ale kiedy widzisz, mój kochany koniuszy, że królowa była tak nadzwyczajnie uprzejma...

— Poczciwy stary kolego, znać żeś nigdy nie przebywał na dworze królewskim. Nie masz tu jeszcze nic złego; lepiej nawet z pewnego względu, że się twój związek nieco odwlecze. Bądź zdrów, później pomówimy o tem z sobą obszerniej.

Zamyślił się nieco nasz rotmistrz, gdy sam pozostał; różne myśli przychodziły mu do głowy. Miłość własna cierpiała na tem: iż go Jordan za omamionego poczytał; zadumał się nad tem, lecz gdy wspomniał na uprzejmość królowej, rzekł sobie: — Nie, to jednak dobra jest Pani — i zaspokojony wrócił do domu.

Chciał on czas niejaki zabawić w Krakowie i znaleźć sposobność zbliżenia się więcej do Maryi, ażeby się przekonać, czyli przymioty jej duszy równie były zajmujące jak powierzchowne wdzięki; lecz taż sama intryga, która zniweczyła zamiary królewskie, potrafiła wymyśleć powód szlachetny nawet do oddalenia Ruszczyca ze stolicy. Król oddał mu dowództwo tej chorągwi hussarskiej, w której dotąd tylko starszeństwo liczył, i wyprawił go z nią razem do Lwowa, zleciwszy mu staranie o dopełnienie brakującego towarzystwa i szeregowych, i o postawienie jej w takim stanie, ażeby do nastąpić mającej wyprawy wołoskiej na wiosnę, do boju w zupełnym komplecie wystąpić mogła.

X.

. . . . . w zamku ognie zgasły,
Tylko po wałach i po basztach straże
Powtarzanemi płoszą senność hasły;
Wtem się coś z dala na polu ukaże,
Jakowiś ludzie biegą, tu po błoniach,
A gałęź cieniu za każdym się czerni,
A biegą prędko, muszą być na koniach;
A świecą mocno, muszą być pancerni.
. . . . . zagrzmiała podkowa.
Trzej to rycerze jadą wzdłuż parowa.

Mickiewicz.

Poza Dniestrem, niedaleko od Podolskiego Kamieńca, wznosi się warownia na górze, której stare mury i

baszty przezierają się w spokojnym strumieniu w około górę otaczającym. Za szerokim strumieniem stoją ze wszech stron góry wyższe od warowni, na które póty tylko spokojnie mieszkaniec i obrońca onejże pogląda, póki się działa nieprzyjacielskie na ich wierzchołkach nie okażą.

Już była zawitała wiosna po pamiętnej wyprawie wiedeńskiej następująca, a jeszcze znak księżyca na Jazłowieckim zamku panował. Spokojnie podpływały pod mury warowni statki żywnością ładowne, pasły się trzody po otaczających górach, bez obawy zbliżali się do zamku okoliczni mieszkańcy, i w nocy tylko słychać było odgłosy czat na wierzchołkach gór okolicznych dla bespieczeństwa zamku czuwających, a echo uciszonej okolicy roznosiło po skałach i murach zamku odgłos tych żołnierskich okrzyków.

Gdy się bujniejszą trawą doliny i wzgórza pokryły, pierzchnęli pasterze z trzodami ze wszystkich gór zamkowi przyległych; w nocy tylko przesuwał się po nurtach statek, zasiłek załodze zamkowej dostarczający; ognie trwogi widziano na wierzchołkach gór, gdzie dawniej bespiecznie czaty czuwały. Pościągano je wszystkie do zamku, zaparto bramy onegoż, podwojono straż na wałach i nikt już nie śmiał się zbliżać do warowni, bo zapowiedziana od Polski wyprawa wojenna trwogę i nadzieję do chat wieśniaczych roznosiła.

Od północnej strony ujrzano z warowni proporce polskie na wierzchołku góry, a krzyk trwogi i baczności zwołał całą załogę na wały. Niedługo i na drugiej górze nowych ujrzano nieprzyjaciół, a w miejscu, z którego

wszystkie obroty wojenne, przy zdobyciu zamku odbywać się mające, widzieć można było, spostrzeżono później rozpięte namioty, których okazałość miejsce pobytu króla oznaczała, a do których żaden wystrzał warowni dosięgnąć nie mógł.

Już wojska polskie zajęły wszystkie miejsca do zamku Jazłowieckiego dostępne; wznosiły się szańce na najbliższej górze, w miejscu panującem nad warownią, a wystrzały Turków próżnym tylko hałasem całą straszyły okolicę, bo robocie kopiących przeszkodzić nie zdołały. Wszędzie się snuli żołnierze polscy i odwykłe już do nich echo, powtarzało śpiewki i hasła polskie.

W kilka dni po pierwszem pokazaniu się wojsk oblegających, sto wystrzałów z szańców polskich oznajmiło przybycie królewskie i ostatnią trwogą oblężeńców przejęło. Odtąd widziano ruch nadzwyczajny w miejscu, gdzie namioty królewskie stały, i zamiast wrzawy wojennej, dochodziły do truchlejących oblężeńców odgłosy hucznej muzyki, więcej wesele i biesiady, jak śmierć i zniszczenie zapowiadającej. Niezwykłym bowiem obyczajem, zajmowały niewiasty obóz polski. Królowa towarzyszyła małżonkowi swemu w tej wyprawie i prowadząc z sobą dwór liczny, z damami dworskiemi kilka namiotów naprzeciw warowni zajęła. Posłowie od zagranicznych mocarstw przysłani, przybyli za królem do tego obozu. Hrabiowie, Montecuculli od dworu hiszpańskiego, Wallenstein od austryjackiego, i Angelo Morozoni od Rzeczypospolitej Weneckiej, posłanniki, uświetniali bytnością swoją ten wojenny pobyt monarchów i

zamieniali w miejsce rozrywek i biesiady tę osadę, śmiercią i zniszczeniem zamkowi grozić mającą.

Już trzy dni upływały na zabawach i wesołości; starzy wojownicy utyskiwali nad nieczynnością swoją i nad czasem marnie przy tak nieznacznej warowni traconym; a między tymi dał się słyszeć najgłośniej nasz Ruszczyc, który pałał chęcią dania dowodów swojej waleczności na czele chorągwi, nie dawno pod jego dowództwo oddanej.

W dolinie między dwoma ramionami gór, niezbyt daleko od namiotów królewskich położonej i zasłonionej od wystrzałów nieprzyjacielskich, dostało mu się stanowisko, z którego więcej się rozpustom dworskim jak działaniom nieprzyjacielskim mógł przypatrywać. Pod wystającą nieco skałą, obok wyniosłego buku, który skały dotykał i po niej rozłożyste gałęzie rozwodził, leżał na słomie nasz rotmistrz i poglądał na towarzyszów swojej chorągwi, wzdłuż parowu w szałasach i namiotach rozłożonych i na szeregowców, zajętych to pojeniem to karmieniem koni. Chełm jego wisiał na gałęzi, chorągiew roty stała oparta o skałę, szabla leżała przy nim na posłaniu, kulbaka z pistoletami w olstrach burką pokryta służyła mu za wezgłowie. Gniewały go właśnie odgłosy wesołej muzyki, które od namiotów królewskich do niego dochodziły i nieczynność obozu przypominały; kazał przystąpić trębaczom chorągwi, ażeby więcej wojennym dźwiękiem umysł rozweselić, gdy ujrzał z daleka jeźdźca, który z góry ku niemu spieszył. Dał znak trębaczom, ażeby się uciszyli i rzekł do przybyłego:

— Cóż mi za nowiny zwiastujesz, Jordanie?

— Przybywam nawiedzić cię pustelniku i dowiedzieć się, dlaczego od nas wszystkich tak stronisz? czy to nie słyszysz jak tam wesoło na górze? Król, książe i podskarbianka, wszyscy pytają się o ciebie.

— Jeżeli tylko po to przyjechałeś, to odpowiedz tym, których to dziwi, że ja samotnie pod tą skałą leżę, i żeś mię widział bolejącego na to, że nam czas drogi tak marnie upływa, i że się gorszę słysząc wesołe dźwięki tam, gdzieby tylko działa grać powinny.

— Na wszystko będzie czas, bracie; my wśród zabaw nie zapominamy o zamku, który prawdziwie śpiewająco zdobędziemy. Król pośle jutro do dowodzącego w nim Agi wezwanie poddania się, i do kilku godzin przypuszczenie szturmu odłoży; jutro więc będziesz mógł posłyszeć miłe tobie odgłosy, a natychmiast po poddaniu się zamku wojsko naprzód pójdzie.

— A czy dalej kobiety towarzyszyć nam będą?

— Nie, nie obawiaj się tego; królowa wróci ztąd z całym orszakiem swoim do Żółkwi lub Jaworowa, nie będziesz już więcej utyskiwał na jej bytność w obozie; ale gdybyś wiedział co się tam dzieje, tobyś bardziej jeszcze był niechętny całej tej kobiecej wyprawie.

— I cóż takiego się dzieje?

— Oto zaloty panów i dworzan do twojej podskarbianki. Ona wszystkich zajmuje pięknością i rozumem, a od chwili jak tutaj przybyła nabrała jakiejś nadzwyczajnej odwagi. Przysłuchuje się z radością wystrzałom armatnym, radaby się była przypatrzeć zdobyciu twierdzy, chciałaby widzieć walecznych ubiegających się o to, który z nich pierwszy na te wały wejdzie; zachęca

wszystkich do boju i wczoraj w zapale rzekła do księcia Jakóba w obec posłów zagranicznych: iżby to największem dla niej w życiu szczęściem było, gdyby wśród dobywania tej twierdzy mogła zerwać ten znak dwurożny, który z tamtej baszty grozi.

— Nie gadaj? — rzekł na to Ruszczyc, który się był uniosł nieco na posłaniu podczas tej powieści Jordana i z rozweseloną twarzą mówił dalej: — Otóż mi to dziewczyna, w niej to wre krew prawdziwie polska. Nie daleko pada jabłko od jabłoni; czemu to się nie syn temu poczciwemu Modrzejowskiemu urodził? jakiżby to wojak był z niego!

— Wszystko to dobrze, ale te jej piękne zalety, ten zapał szlachetny, którym ciągle jest przejęta, podoba się wszystkim, a to niekoniecznie dobrze dla twoich dalszych widoków; ty nie możesz przewidzieć jeszcze, bracie, jakie ci się trudności nawiną; miej się na baczności, tyle ci powiadam; więcej domysłów moich udzielić ci nie mogę. *Sapienti sat* — i dość na tem.

— Czy mi znowu będziesz groził owym gładkim Francuzem, który się Modrzejowskiej zaleca; niestraszny on dla mnie, a podskarbianka wie zawsze dobrze o tem, że ona lepszego warta. Zresztą jak tylko będę miał czas wolniejszy, to się z nim rozmówię i potrafię mu wybić te zaloty z głowy; ale teraz nie mam czasu myśleć o tem, bo nie chcę zaplątać się miłosnemi sprawami, gdy mnie wojenne rozprawy całkiem zajmują.

— Jeżeli chcesz, możesz dziś jeszcze odsadzić twego współzalotnika; poczyniono tam bowiem zakłady i odkazywano się nawzajem odwagą. Na owym wzgórku wzmo-

cnionym stoi oddział turecki od reszty warowni odcięty; stanął zakład między bliższymi króla wojakami a kobietami, że go pierwsi dzisiaj w ich oczach zdobędą, i postanowiono iż ten, kto przyniesie turban którego z Turków tam postawionych, otrzyma wstęgę na niezabód od Maryi. Mondor cieszy się niezmiernie na tę wyprawę, dobrzeby może było, ażebyś rotmistrzu między walczącymi stanął.

— Nie dla mnie taka wyprawa, moja krew na co lepszego przyda się królowi, jak na to, abym ją miał dla przypodobania się niewieście przelewać. Ale przybędę zawsze, przypatrzę się też, jak się wymuskany Francuz z Turkiem potykać będzie.

— Więc się zabieraj co żywo, bo zaraz po zachodzie słońca mają ruszyć na tę wycieczkę.

Powstał Ruszczyc, wziął chełm i zbroję, kazał sobie podać kopią, przypiął pałasz i siadłszy na dzielnego rumaka, rzekł odjeżdżając z Jordanem:

— Nie jako rotmistrz lecz jako prosty towarzysz stanę tam zdaleka, ażebym w gwałtownej potrzebie mógł kopią o łeb turecki skruszyć.

Kłusem pośpieszyli obadwa przed namioty królewskie; Jordan wrócił do nich dawszy wprzódy słowo przyjacielowi swemu, iż nikomu bytności jego nie oznajmi. On zaś stanął opodal nad pochyłością, którą się ku wzmiankowanym czatom tureckim spuścić miano, w zamiarze objechania stanowiska i uczynienia niespodziewanego napadu.

Słońce zachodziło właśnie za warownią, ostatni blask jego sięgał przez szczyty basztów do namiotów króle-

wskich, na najwyższym punkcie okolicy umieszczonych, i oświecał gromadę ludzi, w której rozpoznawano niewiasty, dosyć nieprzezornie jakby na jakie widowisko przed namiotami zgromadzone. Cień zupełny padał na wąwóz, przez który ochotnicy przebyć musieli, tak iż nie widać było w oddaleniu murów warowni, obok których tym wąwozem przejechać wypadało, ażeby dojść do posterunku, który znieść chciano.

Niedługo minęło Ruszczyca trzech strojnie przybranych jeźdźców, a między nimi w przodku Mondor, za nimi tyluż szeregowców, którzy mieli odebrać konie od panów swoich wtedy, gdy ci pieszo na wzgórze wchodzić i posterunek napadać mieli. Sporym kłusem jechali, lecz milczeli wszyscy. Niedługo zdaleka już tylko słychać było tentent koni, a wnet znikli w pomroku, który okrywał okolicę. Niewzruszony stał Ruszczyc, ciekawy końca wyprawy i zwrócił oczy na słabo jeszcze oświecone namioty królewskie, w których zgiełk i białe szaty niewiast uwagę ściągały.

Wtem rozległ się huk kilku wystrzałów z ręcznej broni i echa powtórzyły go głucho między skałami. Krzyk przeraźliwy dał się słyszeć pod murami warowni. Chrapnął koń Ruszczyca, nadstawił uszy, jakby czekał rychło go ostroga jeźdźca do poskoku wzbudzi. Następnie minęło Ruszczyca dwóch jeźdźców jeden za drugim, w największym pędzie wracając do polskiego obozu; za nimi pędził z rżeniem koń bez jeźdźca.

— Myślałem ja zaraz, że to się źle skończy — rzekł sobie nasz rotmistrz, schwycił kopią, dał ostrogę koniowi

i ruszył czwałem ku miejscu skąd okrzyki trwogi pochodziły.

Nadbiegł pod mury warowni, a spostrzegłszy kilku Turków z niej wypadłych, uprowadzających z konia zsadzonego Mondora, którego szeregowcy napróżno bronić usiłowali, natarł śmiało na nich, powalił kopią na ziemię tego, który go prowadził, zerwał się do szabli i dodawszy odwagi walczącym Polakom, zmusił do ucieczki bisurmanów i z ocalonym a rannym Mondorem do namiotów królewskich pośpieszył.

Wyprzedzili go byli znacznie dwaj towarzysze Mondora, którzy w ucieczce ocalenie znaleźli i największym strachem przejęci, wpadli do obozu z okrzykiem trwogi, jak gdyby wszystkim jakie niebezpieczeństwo groziło. Już byli minęli obozowe czaty, a jeszcze uciekali i wtedy dopiero wstrzymali konie, gdy się przed namioty królewskie zbliżyli. Na hałas przez nich zrobiony wybiegli wszyscy naprzeciw nim; hajducy z pochodniami oświecili to zebranie, gdzie z jednej strony największy przestrach, a z drugiej szyderstwo i śmiech panowały. Dwaj ocaleni dworzanie pierwszy raz dopiero z nieprzyjacielem się mierzyli, a smutne wrażenie niepomyślnej wyprawy tak było mocne, że zsiedli już z koni i stali przed królem, a jeszcze przez chwilę mówić nie mogli.

— Cóż się to znaczy? — zapytał król z uśmiechem — mówcież panowie junacy, gdzież wasz dowódzca? — gdzie wasze chełmy? gdzie turban zapowiedziany?

— Najjaśniejszy Panie! — rzekł jeden z nich — nie mogliśmy przewidzieć zasadzki, która nasze zamiary zniweczyła.

— Dobry żołnierz — odparł król — wszystko przewidzieć powinien, i jam się tego spodziewał, że jak się tą drogą nieostrożnie pod bramy warowni podsuniecie, to na was zrobią wycieczkę Turcy, którzy mogą widzieć co się u nas dzieje. A cóż się stało z Mondorem?

— Poszedł w niewolę turecką — rzekł smutno jeden z dworzan.

— Gdybym była przewidziała, że się ta nieroztropna wyprawa tak skończyć może — rzekła królowa — tobym jej nie była dozwoliła.

— Nie lękaj się najdroższa — odpowiedział król — o los twego dworzanina, jutro go razem z warownią odbierzemy.

W tem dał się słyszeć hałas; z daleka spostrzeżono zbliżających się kilku jeźdźców; rozstąpiło się koło tych, którzy dawniej przybyłych dworzan otaczali; wjechał w nie Ruszczyc spokojnie, a za nim dwóch szeregowych prowadzących między sobą konia, na którym siedział wybladły, krwią zbroczony Mondor, chwiejąc się na obie strony. Nie poznano z razu Ruszczyca, dla tego że kopią dzierżył w ręku i prostego tylko wydawał towarzysza. Lecz tenże zsiadł z konia, śmiało do króla się zbliżył i uniósł przyłbicy.

— A, co widzę? — zawołał monarcha — nasz rotmistrz? jakimże cudem odbiłeś Mondora?

— Miłościwy Panie — rzekł Ruszczyc — niesławąby to było dla wojsk Waszej Królewskiej Mości, gdybyśmy choć jednego człowieka pod tak nędznym zamkiem stracić albo poganom w niewolę oddać mieli. Przypadek zdarzył,

żem wiedział z daleka niedoświadczonych młokosów osoby swoje i W. K. M. sławę narażających; jakżem miał nie wybawić ich od zguby?

— Dobrześ zrobił Ruszczycu — rzekł król podając mu rękę. — W tym razie nie tylko odważnym, ale i wspaniałomyślnym byłeś.

Królowa dodała także podziękowania za wybawienie swego dworzanina, lubo widać było niechęć na jej twarzy. Skłonił się Ruszczyc i gdy z uszanowaniem ściśnienie ręki od króla odbierał, wysunęła się naprzód z pomiędzy niewiast Marya i rzekła:

— Najjaśniejszy Panie! w obec W. K. M. zawarty był zakład, mocą którego ja zwycięzcy dnia dzisiejszego skromną nagrodę dać miałam; racz W. K. M. rozstrzygnąć, komu ją teraz złożyć?

— A Mościa Panno — odpowiedział król — niechaj serce WPanny w tym razie sędzią będzie.

— Kiedy W. K. M. tak rozkazujesz — rzekła skłaniając się skromnie Marya; zbliżyła się do Ruszczyca i z uniesieniem podając mu przepaskę niebieską mówiła do niego: — Panie rotmistrzu, racz przyjąć z mej ręki ten upominek walecznemu przeznaczony, i lubo niewiele może znaczy w twoich oczach poklask niewieści, pamiętaj na to, że mam serce, które piękne czyny wysoko cenić umie.

Nieustraszony rotmistrz drżącą jednak ręką sięgnął po ofiarowaną sobie wstęgę. Pierwszy raz w życiu łączyła się w sercu jego pociecha sumienia ze słodką radością zyskania przychylnych względów tej, która kiedyś losy jego dzielić miała. Pomieszany nie wiedział

jak ma dziękować Maryi; lecz gdy uczuł serdeczne ściśnienie tej ręki, która mu wstęgę oddawała, wzbudziło się w nim żywsze czucie, które przemogło nad wrodzoną nieśmiałością tak, iż z zachwyceniem rękę Maryi ucałował.

Szczerze dzieliła Marya wzruszenie rotmistrza, i zapomniała na chwilę o wszystkich innych uczuciach, które często jej sercem miotały. Królowa widząc jej tryumf i chcąc ukończyć tę scenę powszechnego uniesienia, którą przesadzoną mianowała, rzekła do Maryi:

— Mościa Panno, godziłoby się podobno mieć staranie o nieszczęśliwym rannym, który z twojej przyczyny cierpi. Każ przywołać lekarza mego i mieć o chorym staranie. Mogłabyś sama nie odmawiać mu swojej pomocy; w obozie najpiękniejszem powołaniem niewiasty jest zajęcie się pielęgnowaniem rannych.

Uczuła całą niesprawiedliwość tego zarzutu Marya i z żywym rumieńcem na twarzy, ze łzami w oczach, poszła wypełnić odebrane rozkazy. Ruszczyc stał chwilę jeszcze w zadumieniu, patrzał ponuro za oddalającą się Maryą; nakoniec ocucił się z głębokiego zamyślenia, obrócił się raptownie do króla i rzekł:

— Czy W. K. M. nie masz co do rozkazania?

— Nie — odparł król. — Idź na spoczynek poczciwy wojaku; jutro zdobędziemy warownię i pójdziemy dalej.

Słońce wschodziło z za góry, gdy huk kilkunastu armat przebudził Ruszczyca, nie należącego do tych, którzy przy zdobyciu Jazłowieckiego zamku czynnymi być mieli. Porwał się zrazu na ten znany odgłos, który go silnie wzruszył i mimowolnie poniekąd żądzą chwały i walki przejął. Lecz gdy sobie przypomniał, iż ten od-

głos nie był dla niego hasłem do boju, zwrócił naprzód oczy ku namiotom królewskim; słodka tęsknota zajęła umysł jego, zamyślił się nieco, a potem schwyciwszy pałasz do ręki, rzekł z gniewnym wyrazem:

— Jordanie! Jordanie! na jakąś ty mnie niepotrzebną walkę wystawił.

XI.

Zwykle z pokojem płoche rozwodzą nadzieje
Tu ci kłosy hołdują, tu się łąka śmieje;
Tu lipa opiekuńczem okrywa ramieniem,
Strumień wita z napojem, a jaskółka z pieniem;
Szanuj mierność i pokój, niech ci będzie miła
Niezwodna w darach rola, co ojca żywiła.
Brodziński.

Wystrzały armat, które Ruszczyca czujność wzbudziły, były zapowiednią poddania się zamku Jazłowieckiego. Dowodzący w nim Aga, wezwany przez króla do poddania się odpowiedział: iż wtedy dopiero stanowczą da odpowiedź, gdy odgłos dział polskich usłyszy; a gdy stosownie do tego wezwania dano ognia z bateryi naprzeciw samego zamku założonej, a nad całą warownią panującej, wywiesił natychmiast znak poddania się i zdał się na łaskę królewską. Widząc zaś jaki go los czeka w własnym kraju, oddał się dobrowolnie w niewolę polską; a wprowadzony do namiotów królewskich zdumiał się, że w nich tyle niewiast zastał, i zapłakał nad tem, że przez niewieście poniekąd wojsko pobity został. Królowa ulitowała się nad jego losem i wzięła go z sobą

do Polski, gdzie mu w jednym z zamków królewskich przystojne umieszczenie i swobodne życie obmyśliła.

Nazajutrz po zdobyciu Jazłowieckiej twierdzy zwinięto obóz, wojsko ruszyło naprzód, a królowa po czułem pożegnaniu z dostojnym małżonkiem swoim, wróciła z całym dworem do Żółkwi.

Skoro się tylko wiadomość jej powrotu po okolicy rozeszła, zjechała do Żółkwi tęskniąca za wychowanicą swoją ciotka Maryi, i za dozwoleniem królowej wzięła ją z sobą na czas niejaki do swego domu.

Z wewnętrzną serca pociechą wracała Marya do ulubionego siedliska; lecz niespokojność umysłu truła pociechy, jakie w domowem ustroniu, przy kochającej ją ciotce znaleźć mogła. Jakże odmienne były teraz jej uczucia od tych, z jakiemi niegdyś to spokojne ustronie opuszczała! W ów czas nieświadoma jeszcze mocy wdzięków swoich, występując po raz pierwszy na świat z cichości życia, na pełnieniu skromnych cnót domowych spędzonego, lękała się pierwszego wstępu między nieznajomych, nie ufała sobie samej, czy potrafi zasłużyć przynajmniej na pobłażanie swej nieudolności; teraz wracała upojona powodzeniem swojem u dworu i pochwałami zewsząd odbieranymi, przyzwyczajona oraz do poklasku osób, od których niegdyś pobłażanie tylko spodziewać się mogła. Dawniej odjeżdżała z domu z tem przykrem przeczuciem, że niczyjej przyjaźni nie pozyska; teraz wracała z przekonaniem, że tęsknących za sobą u dworu zostawiła, i z łudzącem mniemaniem, że w synu królewskim najtkliwsze wzbudziła uczucia. Wówczas była wioska rodzinna światem dla niej, myśli jej i ży-

czenia nie sięgały za jej granice; teraz dla złudzonej kraj cały nie był zanadto obszerny, a śmiałemi myślami dosięgała do najwyższego szczytu niewieściego znaczenia. Lecz za to, jakże była wówczas spokojną, jak wolną od wszelkich wyrzutów sumienia, a dzisiaj w ustawicznej walce z sobą samą, ciągle pomieszana i lękająca się o to, aby każdy tajemnicy jej serca nie odgadnął.

Gdy weszła do domu, opuściły ją na chwilę te przykre uczucia, bo serdeczne powitanie podkomorzego i radość dworskich nie dozwoliły im przystępu. Ze łzami w oczach przyjmowała wszystkie powitania i słodziej brzmiały w jej uszach pochwały prostych ludzi jej wdziękom dawane, niż owe wyszukane grzeczności i pochlebstwa, które tylekroć u dworu słyszała. Skoro tylko oswobodzić się mogła od powitań wszystkich domowników, wybiegła nawiedzić ulubione dawniej miejsca i szukać w nich wspomnień dawnej swobody i uciechy. Najpiękniejszy wieczór sierpniowy roznosił chłód po całej okolicy. Słońce już zaszło; nastała chwila dzieląca jasność dnia i pomrok wieczora, w której się całe przyrodzenie do nocnego spoczynku zabiera. Ptastwo gromadziło się między gałęzie obfitem liściem pokryte i ostatniem szczebiotaniem żegnało ostatnie dnia światło. Znużone upałem latorośle rzeźwiły się pod kroplami rosy, a świeżość powietrza, podobnie jak tchnienie ubóstwianej kochanki, lubością oddychającego niem przejmowała.

Gdy się Marya od dworu nieco oddaliła, gdy po przebieżeniu znacznej przestrzeni ogrodu znalazła się w miejscu, gdzie jej żaden odgłos ludzki nie dochodził, zatrzymała się chwilę jakby zadziwiona wrażeniem, które

nowem było dla niej z powodu, że od tak dawna sama roskoszy spokojnej natury nie używała. Występny winnem obarczony sumieniem lęka się samotności nocy, bo mu popełniona zbrodnia, jako przykry obraz przed umysłem staje i wszelki spoczynek odbiera; żadne wrażenie tkliwe nie znajduje przystępu do jego umysłu, ani go widok spokojności i szczęścia wzruszy, ani do skruchy wzbudzi. Ale wolna od występnych zarzutów dusza, która sobie tylko niedopełnienie danych przyrzeczeń lub nieoddanie sprawiedliwości zasłudze wyrzucać może, dusza wystawiona na wewnętrzną walkę uczuć, a lękająca się przewagi namiętności nad rozsądkiem; taka czysta i tkliwa dusza za najsłabszą pobudką wchodzi w siebie samę i cierpi wyrzuty obrażonego sumienia. Dla niej wszelka samotność, wszelkie oddalenie się od światowego zgiełku, widok cichej i spokojnej natury, silnemi są pobudkami do ocucenia sumienia i owych wyrzutów drażliwego czucia, które najlżejszemu przewinieniu znamie winy nadają.

Takie było położenie Maryi: zachwyciły ją piękność wieczora i świeżość woniejącego powietrza, rada była oddać się całej przyjemności swych wrażeń, atoli wewnętrzne jakieś uczucie truło jej spokojność i nie dozwalało używać całej słodyczy chwili, którą i powrót do rodzinnego domu i piękność przyrodzenia tylą powabami otaczały. Smutnie spojrzała na około siebie, wszędzie napotykała wspomnienia lat minionych: tutaj był ogródek, który niegdyś własną ręką chodowała, tam zwiędłym już liściem pokrywał się krzak róży jej ręką zasadzony; w oddaleniu wiła się pomiędzy bujną trawą

ścieżka, którą zwykła była chodzić do wsi, gdy cierpienia lub nędza jej pomocy wzywały.

Bliżej domu osiadał promień gasnącej zorzy na wierzchołku starego dębu, pod którym się z nią po raz ostatni pieścił ojciec, nim na Wiedeńską wyszedł wyprawę. Tam jej oznajmił wolę swoję, tam czułe dawał jej przestrogi; a ona tych przestróg nie miała w pamięci, ona poważyła się niedopełnić tej woli ojcowskiej! Nie śmiała wejść w głębsze rozpoznanie drażliwych uczuć, które się w niej odzywać zaczynały; usiłowała roztargnąć się jakim zajmującym przedmiotem, lecz poznawszy wkrótce próżność tego usiłowania, rzekła sobie z ciężkiem westchnieniem: — Ach! czemuż mi tutaj nie tak dobrze jak dawniej!

To jej smutne dumanie przerwała biegnąca ode dworu wiekiem już schylona niewiasta, która zbliżywszy się do niej padła jej do nóg i z najżywszą ściskając je radością, rzekła: — Ah! moja Pani kochana! moja Pani droga! przecieżeś jeszcze o nas nie zapomniała, a ja myślałam, że moje oczy już nigdy nie zobaczą tej którą wykarmiłam i wypiastowałam. Dziękiż tobie Boże, żeś mi pozwolił doczekać chwili, w której najdroższą Maryneczkę moję tak wielką Panią widzieć mogę. Niechajże ci Pan Bóg błogosławi, moja najdroższa Panienko, niechaj ci wszystkie zsyła pomyślności.

Czule podziękowała Marya dawnej piastunce swojej za dowody przywiązania, a ta powstawszy i przypatrując się swojej pani, unosiła się nad jej pięknością i rzekła w końcu:

— Że też to tego który książe nie weźmie za żonę!

Przeraziła myśl ta Maryą, obejrzała się z obawą na wszystkie strony, czy jej kto nie słyszał, jak gdyby ta prosta niewiasta powiernicą jej uczuć była i nierozmyślnie tajemnicę jej serca wyjawiła. Pożegnawszy i obdarzywszy piastunkę, wróciła do dworu i usiłowała pozorną wesołością ukryć to, co się w jej sercu działo. Lecz zbyt jeszcze mało była wprawną we wszystkie wybiegi obłudy, aby jej się to udać mogło. Starała się uśmiechać za każdym razem, gdy na czynione sobie zapytania odpowiadała, ale mimowolnie zamyślała się, gdy do niej wprost nie mówiono. Twarz była pełna wyrazu słodyczy i przymilenia; lecz oko zachodziło często mgłą zasmucenia i spuszczała je obojętnie ku ziemi, lub na ręce czemkolwiek zajęte. Podkomorzy chodził żywo po pokoju, przyglądał się jej oczom, zbliżał się do żony i mówił, raz:

— Marynka nasza smutna — drugi raz: — ona ma coś na sercu — to jeszcze po długiem jej zamyśleniu: Musieli jej tam dokuczyć, ja to widzę. — Troskliwa ciotka nie zwracała z niej oka i raz po raz pytała, czy nie jest słaba? dla czego tak smutna? czego się tak często zamyśla? Słodki uśmiech, pospolite wymówki i przybieranie weselszej twarzy, były zwykłą odpowiedzią Maryi; a widząc że niemi troskliwych przyjaciół nie zaspokoi, wzięła za powód znużenie podróżą i ból głowy, aby pod tym pozorem wcześnie do swego pokoju na spoczynek udać się mogła.

Nazajutrz rano pospieszyła niespokojna podkomorzyna do niej, i gdy zwolna drzwi otworzyła, mniemając że Maryą jeszcze spiącą zastanie, spostrzegła ją klę-

czącą przed portretem ojcowskim. Czarne jej włosy spadały w pierścieniach na biały ranny ubiór, śnieżne ciało nabierało jeszcze blasku od jagód żywym rumieńcem pokrytych; oczy były spokojne, lecz z wyrazem błagalnej ufności w martwe spojrzenie ojca wlepione; na ustach był uśmiech żałości, a w całej postawie jakby oczekiwanie stanowczego wyroku.

Przeraziła się w pierwszej chwili podkomorzyna spojrzawszy na Maryą: ona zaś przejęta mocą uczucia swego, nie spostrzegła zrazu wchodzącej, i z pewnem bolesnem wrażeniem z przerwanego zamyślenia wtedy dopiero powstała, gdy ciotka bliżej do niej przystąpiła.

— Maryniu! — rzekła tuląc ją do łona — ty widzę mocno jesteś wzruszona, ty taisz coś przedemną.

Ścisnęła jej rzewnie rękę Marya i z wyrazem wewnętrznej boleści rzekła: — Tak jest, chciałam taić; lecz — dodała wskazując ręką na portret ojca — wspomnienie tego sędziego, który z przybytku wieczności na postępki swej córki patrzy, wzbudziło we mnie przekonanie, że dłuższe zachowanie tajemnicy przed tą, która jego miejsce na ziemi zastępuje, byłoby występkiem.

Tu opowiedziała Marya wiadome szczegóły owego festynu w Sukiennicach dawanego, który wzniecił w niej przychylne ku księciu Jakóbowi uczucie. — Odtąd — rzekła dalej — poważyłam się podnieść oko na królewskiego syna i poświęcić mu uczucie, którem mój ojciec dla uczciwego i znakomitego męża już był rozporządził. Odtąd spokojne szczęście w domowem zaciszu było dla mnie zbyt pospolitem, zbyt poziomem, ażebym o niem tylko myśleć miała, poważyłam się, w nierozmyślnem

uniesieniu mojem, sięgnąć nadzieją do tronu, a szczęście króla i narodu za cel mego życia położyć. Mój umysł złudzony pochlebnemi obrazami, któremi się ustawicznie pieścił, we wszystkiem powodzenie i pomyślność spostrzegał. Jeżeli książe, przez zwykłą sobie uprzejmość, pochlebną do mnie obracał mowę, jeżelim niekiedy jego pełne czucia wejrzenie na siebie zwrócone spotkała, jeżeli dla mnie więcej jak dla innych był grzeczny; przypisywałam to wszystko widocznej jego ku mnie przychylności, we wszystkiem widziałam znamiona tych uczuć, które dla mnie były cierpienia przyczyną. Do tego dodać trzeba pochlebne wyrazy księcia, które przez dworzan, wszystko co król lub jego rodzina mówi powtarzać nawykłych, aż do mnie dochodziły; tudzież upodobanie, z jakiem królewicz przeszkadzał zawsze natrętnemu dla mnie Mondorowi i wszystkie jego zamiary niweczył. W obozie jeszcze, przy owem zdobyciu Jazłowieckiego zamku, o którem wam wczoraj powiadałam, naigrawał się najmocniej z francuza i był przyczyną narażenia się jego na niebezpieczeństwo, z którego zacny Ruszczyc go wybawił.

— Wyszłyśmy były trzy towarzyszące królowej panny dworskie na nieco odległe od namiotu wzgórze, skąd widok sięgał na rozległą dolinę, w której z daleka chorągiew naszego rotmistrza stanowisko miała; towarzyszył nam Mondor z kilkoma innymi dworzanami i naigrawać się począł z Ruszczyca, o którym właśnie mowa była, dlatego żeśmy na jego stanowisko spoglądały. Gdy z szyderstwem malował go jako zimnego i obojętnego kochanka, który tak blisko będąc swojej narzeczonej i

razu jej nawet nie odwiedził; zbliżył się ku nam, niespostrzeżony z razu, książe Jakób i zastawszy mnie w żywej sprzeczce z Mondorem, stanął wraz ze mną w obronie Ruszczyca i rzekł w końcu:

— U nas niewiasty mało dbają o pieszczone słowa, na jakie ty się silisz, a wysoko cenią bohaterskie czyny, jakich już Ruszczyc wiele wykonał.

Mondor odpowiedział mu na to: iż on zdolnymby był do takich czynów, gdyby się tylko sposobność do tego nadarzyła. Zatem poszedł zakład i wyzwanie Mondora przez księcia na wyprawę, która się dla francuza tak smutno skończyła.

— Tego wieczora był królewicz dla mnie szczególniej uprzejmy, prześladował mię tem: że nienawykłych do wojennego znoju w rycerzy zamieniać umiem, że wznawiam rycerskie czasy, w których krew za wstęgę lub przepaskę przelewano. Lecz gdy Ruszczyc ocalonogo przywiódł Mondora, gdy ozdobiony całą świetnością wspaniałomyślnego czynu, okazał się przedemną i wyższe we mnie uniesienie wzbudził; odstąpił wówczas odemnie królewicz i znikł z pomiędzy obecnych. Nazajutrz odeszły wojska, a jam go już więcej nie widziała!

Zamilkła Marya; żywy rumieniec pokrył jej lica i spuściła oczy z wyrazem zawstydzenia. Nie chciała jej strofować ciotka, bądźto dlatego iż się bała powiększać jej smutku, bądź też że wrodzona jej dobroć czyniły ją niezdolną do tego, i rzekła:

— Dziękuję ci za otwartość twoję Maryniu, wywdzięczę ci się za nię, niosąc ci pocieszenie w strapieniu. Jeżeli bowiem takie tylko wyrzuty czynić sobie możesz

łatwo się wróci spokojność twego sumienia, równie łatwo jak minie to chwilowe upodobanie, które w tobie królewicz wzbudził.

— Ach! kochana ciotko — odpowiedziała Marya — ja mojej winy tak lekce nie ważę; wrażenie moje zbyt mię mocno zajmuje, ażebym się nie miała lękać tego, iż mnie kiedyś albo zmusi do niedochowania przyrzeczeń narzeczonemu danych, albo przynajmniej zatruje moje z nim pożycie. Dlatego umyśliłam nie wracać więcej do dworu.

— Nie wracać do dworu? — odpowiedziała z zadziwieniem podkomorzyna — do tego niema żadnych słusznych powodów. Myśmy jako opiekunowie zezwolili samej królowej na dłuższy twój pobyt; Ruszczyc przyrzekł, że końca wyprawy do zawarcia ślubów z tobą czekać będzie; nie wypada przeto zmieniać postanowienia raz już w obec monarchów powziętego.

— Więc kochana ciotko — rzekła Marya — chcesz mnie narażać dłużej na niebespieczną walkę przemagającego uczucia i obowiązków moich?

— Nie masz teraz — odpowiedziała z uśmiechem podkomorzyna — żadnego niebezpieczeństwa dla ciebie u dworu; królewicz jest na Wołoszczyznie, a gdy ztamtąd powróci, wróci też z nim razem Ruszczyc, aby dozgonny z tobą zawrzeć związek. Z resztą ilekroć wspomnisz sobie na księcia Jakóba, miej i to na pamięci, że on jest synem królowej Maryi Kazimiry, która dla niego między panującemi księżniczkami żony szuka, i która go właśnie teraz z córką cesarza niemieckiego zaślubić pragnie.

Przykro zabrzmiały w uszach Maryi te tak otwarte wyrazy ciotki i działały na jej umyśle, jak owo gorzkie lecz skuteczne lekarstwo, które odrazę wzbudza lecz bóle nagle uśmierza.

Podkomorzyna pośpieszyła po tej rozmowie na naradę do męża, a wymógłszy naprzód na nim przyrzeczenie zachowania tajemnicy, doniosła mu to, o czem się właśnie dowiedziała, i dodała w końcu: że nie chcąc bardziej smucić Maryi lekce z razu rzecz tę ważyła, lecz że ta okoliczność wymagała głębokiego namysłu, ażeby rozstrzygnąć, czy wypada ją odwozić do dworu?

— Zapewne — rzekł podkomorzy z przyciskiem. — Tutaj potrzeba działać z wielkim namysłem. Nic łatwiejszego, jak pannę w domu zatrzymać, ale czy to będzie i politycznie i stosownie do rzeczy? to kwestya wielkiej wagi.

— Ja się boję — odpowiedziała podkomorzyna — ażeby nasza Marynia przez dłuższy pobyt u dworu, nie była wystawiona na najsroższe cierpienia, zwłaszcza gdyby miłość jej wzrastać miała, żadnej nie doznając wzajemności.

— A ja się obawiam, — rzekł podkomorzy — ażeby królestwo Ichmość nie wzięli za złe samowolnego jej zatrzymania w naszym domu. A potem, między nami mówiąc, jakiż ja już będę miał wstęp do dworu, skoro ona tu zostanie? W cóż się obróci moja expektatywa kasztelanii? która przy częstej bytności mojej u dworu, przez różne konneksye i konsyderacye kiedyś pomyślnym skutkiem uwieńczonąby być mogła.

— Ale widzisz kochanku — odpowiedziała łagodnie

podkomorzyna — dla naszych osobistych widoków niepodobna poświęcać Maryi.

— Broń mię Boże od takiej myśli — mówił dalej podkomorzy — aleć ja, do pewnego czasu przynajmniej, żadnego nie widzę niebezpieczeństwa, królewicz na Wołoszczyznie, a gdy powróci, to razem z Ruszczycem. Do tego czasu minąć może chwilowe upodobanie Maryi, a potem przyśpieszą się związki małżeńskie i wszystko się jak najlepiej skończy.

— A gdyby królewicz za powrotem — zapytała podkomorzyna — miał powziąść prawdziwą miłość dla Maryi?

— Ha — odparł podkomorzy — w boskim ręku wszystko; trudnoby szczęścia dziewczynie zagradzać, gdyby ją niem Opatrzność obdarzyć chciała.

Długo jeszcze trwała ta narada, a ostatecznym jej skutkiem było to, że nie wypadało zatrzymywać Maryi w domu, lecz ufając zupełnie jej szlachetnemu sposobowi myślenia, czekać powrotu królewicza i rotmistrza, bo wtedy i rzecz się cała wyjaśni i spełnienie związku małżeńskiego będzie mogło nastąpić, a przez to wszystkiemu się zagrodzi.

Marya bawiła jeszcze przez czas niejaki u podkomorstwa, musiała odbywać odwiedziny po sąsiedztwie i zbierać wszędzie pochwały i różnego rodzaju prośby, jedne jak drugie równie dla niej uprzykrzone. Nic dawnej jej wesołości przywrócić nie zdołało i domownicy wszyscy ubolewali nad tem, mówiąc jedni: że ich Pani wyładniała, ale spyszniała, a drudzy: że jej jakiś frasunek dolega.

Powrót do dworu przywiódł na pamięć owe przy-

kre chwile pierwszego okazania się na nim. Żółkiew była dla niej nieznośnem miejscem; nie znajdowała w niem żadnych wspomnień świetnych lub przyjemnych. Nigdy w tym zamku nie widziała ani króla, ani królewicza; otaczały ją tam też same osoby, które ją przy pierwszym wstępie przyjmowały, to jest: zupełnie oziębła dla niej królowa, prześladująca ją skrycie pani Feud'herbe i nudny dla zalotności swojej Mondor. Wszystko, cokolwiek unosiło jej duszę, co serce słodkiem przejmowało uczuciem, było zawarte w wspomnieniach na pobyt w Krakowie i pod Jazłowieckim zamkiem; lecz wszystko snuło się po myśli, jak sen miły, którego obudzony żałuje, tym dotkliwsze jeszcze, że nieustanną w sercu żywiło tęsknotę.

XII.

Wy zaś Faunowie i satyry leśni,
Nućcie pochwalne dla myśliwych pieśni:
Powiedzcie Sidrze, czem się kto dziś wsławił,
Kto ubił łosia lub żubra zadławił.

. . . . . .

Kto w strachu zmarły od harapa ożył,
I swą niemęzką zmywając sromotę
Twierdził z odyńcem mieć ciężką robotę.

Łowy w Sidrzańskiej puszczy.

Po równie długiej jak niekorzystnej wyprawie Zwanieckiej wrócił król ze znużonem wojskiem do ojczyzny; lecz go ani sława odniesionych zwycięztw nie poprzedzała, ani go radość i uniesienie narodu, równie jak niegdyś po wyprawie Wiedeńskiej, nie powitały,

Zimę przepędził dwór w Żółkwi, a w miesiącu Lutym udał się do Wilanowa z powodu sejmu na wiosnę do Warszawy zwołanego.

Ruszczyc wróciwszy z wyprawy i uprzedzony o nastąpić mającym sejmie, udał się do swego ziemstwa aby w właściwym sobie powiecie urząd posła uzyskać. Król wyniósł go był na stopień brygadyera w ciągu wyprawy; nowa ta dostojność jednała mu przychylne głosy wielu współobywateli, lecz wielu także upatrywało w niej powód do odmawiania mu kreski, utrzymując, że zbyt dworowi przychylny. Na tem szczególniej opierało opozycyą swoję stronnictwo możnego dygnitarza, który chciał utrzymać posłem osobę widokom swoim odpowiadającą, dlatego że był osobistym nieprzyjacielem Ogińskiego, wojewody trockiego, którego król bez pośrednictwa sejmu kanclerzem koronnym mianował. Lecz znana waleczność i uczciwość Ruszczyca, przemogły nad wpływem magnata, i ci, którzy najzuchwalej przeciw niemu się odkazywali, nie dotrzymawszy placu odstąpili bronionej przez siebie sprawy, gdy Ruszczyca, na czele licznych przyjaciół z nieustraszoną postawą, do miejsca obrad wchodzącego spostrzegli.

Zaszczycony ufnością współobywateli przybył Ruszczyc wcześnie do stolicy z wystąpieniem, jakiego z jednej strony sprawowanie poselstwa na sejm, a z drugiej spodziewane zawarcie ślubów małżeńskich z Maryą wymagały. Stolica i nowy zamek, w którym król przebywał, świetne były naówczas; rozmaitego rodzaju zabawy zajmowały chwile pozostałe od narad, odbyć się mający sejm poprzedzających. Gdy się Ruszczyc na dwo-

rze pokazał oznajmiono mu, iż wszystko gotowało się do wielkich łowów, które w puszczy, o pięć mil od stolicy, na lewym brzegu Wisły ku miastu Sochaczewu położonej, odbyć się miały. Jordan namówił swojego dawnego przyjaciela, aby niebawnie wybrał się na te łowy, gdyż tam będzie miał sposobność widzenia razem króla i narzeczonej swojej, która wraz z innemi damami w tej zabawie królowej towarzyszyć miała.

Na wielkiej płaszczyznie pomiędzy bagnami starożytną olszyną pokrytemi, jest wzgórze piaszczyste, dosyć rozległe, sośniną zarosłe, zkąd oko tylko kręte dwie drogi do nędznych osad budników prowadzące spostrzega i przez otaczające gąszcze nigdzie dalej sięgać nie może. Dwieście chłopów ze stołowych dóbr królewskich od trzech dni uprzątało na owem wzgórzu miejsce, na którem szopy, namioty i szałasy dla kuchni i hałastry dworskiej stanąć miały. Od trzech dni słychać było same uderzenia siekier i łoskot ścinanych sosen druzgotających w powale swoim otaczające je młode drzewiny, tudzież okrzyki łowczych i dozorców robotami kierujących, a w przyległych kniejach rozlegały się odgłosy, które echo, to jako huk wystrzałów, to jako gwar ludu, wracało. Trzeciego dnia na kilka staj wzdłuż i wszerz zmieniła się postać całej przestrzeni; runął las odwieczny, a gdzie lat kilkadziesiąt nieprzerwany cień panował, sięgnęły odrazu promienie słoneczne, aż się śnieg od nich połyskał. Cała przestrzeń zawalona pniami i gałęziami, pomiędzy któremi widać było ludzi, konie i woły, uprzątaniem ściętego drzewa, równaniem miejca i wydobywaniem pni zajęte. Kilkadziesiąt ogniów pochłaniało chrusty

i ściągane kupami gałęzie. Kłęby dymu wznosiły się pod obłoki, a huczenie płomieni i trzaskanie palącej się kory i drobniejszych gałęzi powiększało zgiełk powszechny i zdawało się grozić zniszczeniem okolicznym lasom. Piątego dnia już było spokojniej na tem miejscu, na zrównanej i piaskiem grubo wysypanej powierzchni wznosiły się znikome budowy, które na czas krótki dwór królewski przyjąć miały. Kilkudziesięciu robotników zajętych było dokończeniem wielkiej szopy, słomą pokrytej i deskami obitej, a wewnątrz żelaznemi piecami ogrzanej, gdzie królestwo mieścić się i zaproszonym gościom ucztę wyprawiać mieli. Około niej wystawiono kilka szałasów, rozbito tyleż namiotów i przyległą chatę leśniczego w kuchnię królewską zamieniono.

W wigilią dnia na łowy przeznaczonego zjechał monarcha z królową, z dworem i ze wszystkimi uczestnikami ulubionej zabawy, i to miejsce, przed kilką jeszcze dniami tak odludne i dzikie, przybrało postać równie ludnej jak świetnej osady. Przeszło sto sani zaległo miejsce w dolinie wzgórze otaczającej, i zdaleka słychać było rżenie koni i krzyki służalców powozowych ich oprzątaniem zajętych. Między namiotami i szopami na samem wzgórzu, snuli się ustawicznie to panowie szukający schronienia dla siebie, to ich służący przysposobieniem dla nich noclegu zajęci. Gdzieniegdzie słyszano wystrzały tych, którzy muszkiety swoje do jutrzejszej posługi gotowali, a później odgłosy trąb myśliwskich z wyciem psów mieszane, które oznajmiały chwilę karmienia niezliczonych sfór gończych w osobnych psiarniach nagromadzonych. Wieczór przepędziło całe wyższe

towarzystwo w szopie królewskiej, odkąd do pozostałych w namiotach myśliwców tylko odgłosy wesołej muzyki dochodziły. Przy końcu wieczerzy oznajmił wielki łowczy koronny, w jakim czasie król z celniejszymi panami miał nazajutrz wyruszyć na łowy; namienił o stanowiskach, które sam monarcha i inni panowie zająć mieli, wspomniał o miejscu bezpiecznem i łatwo dostępnem, z którego królowa z damami łowom przypatrywać się miała, i zaręczył, że pora i obfitość już wyszlakowanej zwierzyny najpomyślniejszą rozrywkę Najjaśniejszemu królestwu Ichmość na dzień jutrzejszy zwiastują.

Księżyc rozwodził jeszcze blade promienie po wierzchołkach starożytnych olszy i sosen, gdy gromady wieśniaków ze wszystkich okolicznych wiosek pod przewodem swych sołtysów i łowczych królewskich, na milę w koło miejsca gdzie dwór obrał stanowisko, knieje i znajdującą się w nich zwierzynę w postaci obławy otaczały. Pomimo surowego zakazu milczenia, zbliżały się do swoich stanowisk te długie pasma wieśniaczego ludu zatrważającym szmerem poprzedzone; jak owe wały z koryta wyszłej rzeki, które łąki i pola plonami pokryte zalać mają. Gdy cała przestrzeń kniei wkoło ludźmi obsadzoną była, ozwały się trąbki łowczych, krótko lecz kolejno na wszystkich punktach powtarzane, które dały znać że obława już w miejscu stanęła. Wtedy już było weszło słońce, i przy łagodnem powietrzu zimowem roznosiło blask rażący po całej okolicy świeżym śniegiem przyprószonej. Pędem przybył łowczy nadworny do wielkiego łowczego koronnego z doniesieniem o nastałej już chwili do rozpoczęcia łowów, i odebrał rozkaz wypra-

wienia strzelców i psiarków w miejsca, skąd psy puszczać i niemi na zwierzynę zakładać mieli. Sam zaś łowczy koronny udał się do króla i oznajmił mu, że nadszedł czas ruszenia na stanowiska wcześnie oznaczone, które gdy przez królestwo i obecnych panów zajęte zostały, rozbiegli się drożynami podłowczowie do strzelców, z rozkazem puszczenia psów i rozpoczynania pogoni.

Rozległy się po kniei odgłosy kilkudziesiąt trąb myśliwych i nawoływania z różnych punktów na zwierzynę zakładających myśliwych. Usłyszano naprzód zławianie ogarów wietrzących dzikiego zwierza, a później grały w całej kniei goniących psów głosy, które coraz częstsze wystrzały, nawoływania chybiających i potrębywania trafiających przerywały. Naostatku padł wystrzał, zatrąbiono pojezdnego i ze wszystkich stanowisk zbiegali się na odgłos myśliwi, aż przybyli na miejsce gdzie król miał stanowisko. Stał on wsparty prawą ręką na muszkiecie, dwóch przybocznych łowczych uderzało co siły w trąbki, każdy w inną stronę obrócony, ogromny łoś leżał u nóg króla, który, zwykłą umysłu ludzkiego słabością, tak był uradowany pokonaniem pierzchliwego zwierza, że się podobny wyraz zwycięzcy na jego poważnej twarzy malował, jak wówczas gdy nieprzyjaciela ojczyzny pokonał. Ze wszystkich stron zbiegali się uczestnicy łowów, niektórzy niosąc drobniejszą zwierzynę, inni napróżno wystrzelone rusznice. Drogą pędziły dwa pojazdy, zajęte: pierwszy przez królowę, księżnę wojewodzinę wileńską i córkę królowej; drugi przez Maryą i inne dwie polskie damy dworskie.

Wszyscy otoczyli króla i sadzili się na pochlebstwa

wszelkiego rodzaju, ażeby bardziej jeszcze i tak już uradowanego monarchę ucieszyć.

— Patrzaj kochanko! — rzekł on obracając się do królowej — blisko sto kroków było, i jeszcze między gałęziami, ledwo mi się mignął, ale oko wprawne i ręka pewna! musiał poledz nieborak, najpiękniejsze zwierzę całej kniei, prosto w głowę kulą ugodzony.

— Szkoda! — odpowiedziała królowa przypatrując się ciekawie łosiowi — wolałabym go mieć żywego w Wilanowie.

— Będziesz miała i sto takich, najukochańsza Marysieńko, abyś tylko sama chciała. Panie łowczy nadworny, trzeba sprawić zwierzę i dać psom odprawę, bo jeszcze gdzieindziej założymy; szkodaby było przy tak pięknym dniu na tak małem poprzestać.

Zabrał się łowczy nadworny do wypełnienia odebranego zlecenia; wzięto psy wszystkie na sfory i psiarkowie trzymali je silnie, aby się do ubitego zwierza nie cisnęły; starsi strzelcy przytrzymali łosia, i gdy się zabierano do otworzenia onegoż, rzekł wielki łowczy koronny do króla: — Najjaśniejszy Panie! myśliwskim zwyczajem wypadałoby naprzód pogrzeb sprawić temu tak zręcznie ubitemu łosiowi, a W. K. M. wypada nam się wywiązać myśliwym, nim do dalszych czynności przystąpimy.

— Dobrze mówisz — rzekł król — trzeba się posilić i wypić in perpetuam memoriam tego szczęśliwego trafu. — To mówiąc, dał znak dworzanom, którzy dobyli z sani myśliwskie śniadanie, zastawili na podróżnym stole, a zaproszeni uprzejmie od króla panowie za zdrowie

jego spełnili puhary i dany posiłek w krótkiej chwili spożyli. Opodal zgromadzili się strzelcy i kolejno kielich wódki przy opowiadaniu zdarzeń łowieckich wypróżniali.

Po tym spoczynku oznajmił łowczy nadworny, iż się całe myśliwstwo do innej kniei przeniesie, w której jest obsaczone duże stado dzików; a przewodnicząc królowi do właściwych stanowisk, kazał gończe psy odprowadzić do szałasów, i z prowadzonemi dotychczas na obrożach kondlami w wiadomych miejscach na dziki zakładać. Królowa pomimo odradzania chciała się przypatrzyć tym niebezpiecznym łowom i przyrzekła, że z pojazdu wysiadać nie będzie, byleby tylko nie zbyt daleko od miejsca, gdzie się największej utarczki z dzikami spodziewać można było, stanąć mogła.

Książe Jakób, który dnia tego nie miał jeszcze sposobności spotkania się ze zwierzem dzikim, prosił łowczego, aby mu dał stanowisko takie, gdzieby go pędzona zwierzyna minąć nie mogła. Stosownie do tego życzenia postawił go, wraz z napierającym się o to Mondorem, w najlepszem stanowisku, w miejscu nie zbyt odległem od króla i królowej, tak że go z pojazdu widzieć można było.

Gdy wszyscy zajęli wskazane sobie miejsca, usłyszano niezadługo naszczekiwania psów, mniej częste wystrzały, kiedy niekiedy krzyk, który strach nienawykłego myśliwego oznaczał. Słysząc z daleka zbliżającą się pogoń, zerwał się żywo książe Jakób, stanął pod sosną, odwiódł muszkiet i z bijącem sercem, okiem chciwością myśliwską pałającem poglądał przed się, rychło się oczekiwany zwierz ukaże. W tem zadudniło zdaleka: tentent

jakby kilku jeźdźców rozległ się po lesie, druzgotanie gałęzi i szelest przy przedzieraniu się przez chrusty wydany oznajmił zbliżenie się czarnej trzody. Huk w bliskości słyszany dał znać, że król już wystrzelił i największą baczność księcia wzbudził. Wypada z gąszczu ogromna maciora i kilkanaście za nią warchlaków; chciwie mierzy do niej książe, lecz zmieszany wielką ilością zwierza, uniesiony chciwością, wydaje strzał chybny i w tym momencie spostrzega, iż największy pojedynek spieniony, kłaszczący kłami, a dla odebranego postrzału zdążyć za innemi nie mogący, z wściekłością na niego uderza. Nie zdążył książe schronić się na drzewo na którem Mondor już siedział, dobył kordelasa, lecz nie śmiał w pierwszej chwili nadstawić go odyńcowi; dwa razy już obiegał wkoło drzewa, i zwierz zajadły tuż za nim gonił, gdy się dał słyszeć naprzód okrzyk trwogi z pojazdów dworskich, a następnie bliski wystrzał który dzika trupem położył.

Ochłonął książe z wielkiego przestrachu i osłabiony oparł się o drzewo, w tem uczuł, że go ktoś mocno za rękę chwyta mówiąc: — cóżto jest W. X. Mości?

— Nic, wcale nic, poczciwy Ruszczycu! — rzekł książe poznając naszego bohatera — tyś to pewno przez strzał tak trafny mnie od kalectwa a może i śmierci ocalił.

— Ale czym tylko W. X. Mości nie postrzelił, bom się o to bał najwięcej, widząc dzika tak blisko za jego osobą.

W tem nadbiegła królowa i wszystkie damy dworskie z jednej, a król z drugiej strony. Największy prze-

strach malował się na twarzach wszyskich niewiast. Z macierzyńską niespokojnością zbliżyła się do syna królowa; wybladla i drżąca Marya badający wzrok na niego rzuciła i ochłonęła dopiero, gdy jej Ruszczyc zaręczył, że księciu nic się nie stało.

— To było śmiało ale gracko — rzekł król dowiedziawszy się o niebezpieczeństwie i sposobie ocalenia, trzeba mieć i rękę i serce pewne, żeby bez uszkodzenia królewicza dzika pod jego nogami zabić.

— Posiadam ja i jedno i drugie z łaski Boga — rzekł Ruszczyc spokojnie. — Ale to źle, że księcia tu samego postawiono.

— Wszakże zda mi się, Mondor był przy nim — rzekł król — a gdzież się teraz podział?

— Jeżeli się nie mylę — odparł łowczy koronny — musi być na drzewie, bo się tam gałęzie kołyszą.

Na te słowa podnieśli wszyscy oczy do góry i spostrzegli zmieszanego dworzanina, który się właśnie zabierał do złażenia i uwikławszy się ostrogą u butów między gałęziami trzymał się ze strachem prawą ręką, a lewą sięgał po perukę która na wyższej gałęzi została.

— A wleźcież tam po niego — rzekł król do nadbiegłych strzelców — bo i czuprynę i ostrogę na drzewie zostawi.

Rozśmieszyło wszystkich to przykre położenie biednego Mondora i królowa nawet od śmiechu wstrzymać się nie mogła, a gdy go z pomocą dwóch strzelców na dół sprowadzono, rzekł przyszedłszy do siebie: iż się bardzo cieszy, że mógł nastręczyć powód do śmiechu

dostojnemu państwu swemu, i zaręczył, że póki życia swego na dziki więcej polować nie będzie.

Ruszczyc zaś odbierał pochwały wszystkich, nawet najdoświadczeńszych strzelców. Królowa ze szczerą uprzejmością najżywsze składała mu dzięki, a król przyznał, że mu się prym w myśliwskiej sztuce należy.

Włożono na sanie ubitą zwierzynę, a na samym wierzchu łosia i dzika, jako najważniejsze w dniu tym myśliwskie zdobycze, i w pewnym tryumfalnym pochodzie wrócono do nowo założonej łowieckiej osady. Tam zastano już stoły zastawione, a król uchylając w tym dniu przepisy etykiety dworskiej, przypuścił do stołu swego całe łowieckie towarzystwo, i sam przewodniczył wszystkim wesołością i spełnianiem kielichów za zdrowie najzręczniejszych myśliwych, przy czem miał Ruszczyc tę wysoko przez siebie cenioną pociechę, że Najjaśniejszy Pan zdrowie jego spełnił.

Po skończonej uczcie rozweselony monarcha, chcąc nową wymyślić zabawę, podał myśl doświadczenia zręczności w strzelaniu z łuku, a będąc sam bardzo wprawnym w tego rodzaju ćwiczeniu, wyzwał wszystkich obecnych do wyrównania mu pod tym względem. Naprzód postawiono na wysokiej żerdzi ubitego na polowaniu sokoła, do którego wszyscy kolejno strzelali, po większej części próżne strzały puszczając w powietrze. Mało kto był taki, któryby królowi w trafności strzału do tego celu wyrównał; gdy jednak Ruszczyc jako niegdyś rotmistrz hussarski (w którychto znakach łuk był w używaniu) równie zręcznie sokoła trafił, kazał król puścić żywego gołębia i ugodziwszy go w locie strzałą

żądał, ażeby toż samo inni zrobili; a gdy pomimo usiłowania nikt królowi w tego rodzaju strzale wyrównać nie mógł, ucieszony tem monarcha rzekł:

— Spodziewam się, że mi nikt pierwszeństwa w strzelaniu z łuku nie odmówi; jestem tak pewny mojej ręki, iż gdyby był kto pomiędzy wami, któryby się nie bał trzymać w ręku jabłko o kilkadziesiąt kroków, idę o zakład, że je strzałą przeszyję, i zaręczam że się trzymającemu nic nie stanie.

Spojrzeli wszyscy po sobie i każdy zdawał się szukać tego śmiałka, któryby się na to chciał narazić. Panowało na chwilę milczenie, bo nikt nie ufał do tego stopnia zręczności królewskiej, ażeby się miał na wyraźne niebezpieczeństwo okaleczenia narazić. Wtem dał się słyszeć głos niewieści, wystąpiła naprzód Marya i rzekła wznosząc jabłko do góry:

— Najjaśniejszy Panie! gdzież mam stanąć, oto jest jabłko!

Wszystkich oczy podziwienia pełne zwróciły się na odważną dziewicę. Ruszczyc zbliżył się ku niej i rzekł sięgając po jabłko:

— Na to ja nie pozwolę; mnie wypada JPannę podskarbiankę wyręczyć.

— Czemu nie? — odparł król — czy nie ufasz mojej zręczności? Gdybym był młodszym, możebym nie był tak pewnym mego strzału, boby mnie wrażenie jej powabów oślepić mogło; ale teraz możesz bezpiecznie dozwolić, aby panna zawstydziła odwagą swoją tylu mężczyzn, którzy nie śmieli wypełnić mego wezwania.

Nie czekając dalszego skutku tej odpowiedzi, skoczyła lekko Marya naprzód w kierunku który jej król

wskazał, pobiegła kilkadziesiąt kroków i wzniosła wesoło prawą rękę z jabłkiem i od głowy je nieco oddaliła. Wtem wyskoczył z pomiędzy bliskich króla osób książe Jakób i pochwyciwszy lekko za ramie ojca natężaniem cięciwy zajętego, prosił go aby zaniechał próby, która dla Maryi tak niebezpieczną była.

— I ty także nie ufasz mojej zręczności? — zawołał król. — Dobrze to jest, że ciebie zajmuje los tak pięknej i dobrej osoby jak Panna Modrzejowska; ale ojcu własnemu więcej zaufać powinieneś. Usuń się na bok, czegóż mię trzymasz za rękę?

— Kochany ojcze — rzekł królewicz przyklękając przed nim — zaklinam cię na miłość ojcowską, racz zaniechać tej niebezpiecznej zabawy. Pomimo największej zręczności twojej traf nieszczęśliwy... to mówiąc schwycił króla za rękę i całował ją z pokorą.

— Bardzo cię widzę wdzięki Panny Modrzejowskiej zajmują — rzekł król uprzejmie. — Nie chcę cię trwożyć, niechże się stanie zadość twej prośbie. — To mówiąc oddał łuk dworzaninowi, przywołał znakiem Maryą i dodał: — Nie chcą tu dozwolić, abym dał dowód mojej zręczności, ale tobie się moja Panno pochwała za odwagę należy, masz prawdziwie męzkie serce, nieodrodna walecznego ojca córko!

Z żywym rumieńcem na twarzy wróciła Marya na miejsce swoje, a książe Jakób z wyrazem najżywszej radości zbliżył się ku niej i strofował ją uprzejmie za śmiałość, z jaką się na niebezpieczeństwo narażała.

Po ukończeniu tych rozrywek, gdy bardzo pogodna pora jasną noc zapowiadała, postanowił król wrócić

do stolicy, a gdy się zabierano do odjazdu, rzekł do łowczego koronnego: — Panie łowczy koronny! dziękuję Waszmości za wesołe łowy, któreś mi przysposobił. Bardzośmy się wszyscy tutaj dobrze zabawili, dlatego radbym zachować ślad miejsca, w którem kilka chwil przyjemnie przepędziliśmy i życzę sobie ażeby w miejscu, gdzie ta łowiecka osada nasza stała, założyć trwalsze wieśniacze budowy, któreby były pamiątką dnia tego. Niechże więc wydane zostanie pozwolenie budowania się w tej kniei chłopom ze starostwa, a mianowicie z pomiędzy tych, którzy przy dzisiejszych łowach użyci byli.

— Oznajmię tę wolę W. K. Mości gdzie należy — odparł łowczy koronny — lecz czy Najjaśniejszy Pan nie obierzesz nazwiska dla tej nowej osady?

— Ha — odparł król — ta osada powstanie z naszego myśliwskiego obozu; nazwijcież ją więc tak, żeby z tego jej powstanie poznać można było. Ot tak np. *Ubi campi nos fuimus.*

— Stanie się zadość woli Najjaśniejszego Pana — odparł wielki łowczy koronny — i nowa osada może się *Kampinos* nazywać.

XIII.

Mnie jakiekolwiek czekają losy,
Czy mi fortuna gotuje ciosy,
Czyli zamyśla cieszyć mą biedę;
Za przeznaczeniem spokojny idę.
Mienią się lata, noc za dniem żenie,
Ja się w miłości mej nie odmienię.
Karpiński.

— Jużto gadajcie co chcecie — rzekł Kulik do innych dworaków, którzy z nim razem komin w mieszkaniu

pana osiedli, i sięgnął po duży dzban piwa, który się grzał z daleka przy ogniu — jużto gadajcie co chcecie, ale ta wasza Warszawa, którąście mi tak wychwalali, niewarta nigdy tego co ja już widziałem po świecie. Do ciebie Mikołaju!

— Pij z Bogiem — odparł Mikołaj — i cóżeśto takiego widział coby lepszem było od Warszawy?

— Com widział — rzekł Kulik i spojrzał po wszystkich z wyrazem szyderskim — cóżto? czyto ty nie wiesz, żem ja już nie z jednego pieca chleb jadał? żem z moim panem wojował po świecie? żem był w Wiedniu? wiesz, w Wiedniu, pod którym Dunaj płynie; a wiesz ty co to Dunaj?

— No i cóż, zwyczajnie jakaś Wisła, a może nie tak szeroka jak nasza.

— Ba, Wisła; co Dunaj to Dunaj, co Wisła to Wisła.

— Aleć tam pewno — ozwał się inny z dworaków — tak jak i tu woda a nie piwo płynie, a nasze pewno lepsze od tamtejszego. No Mikołaju, przecięć nie nachylajcie tak dzbana do dna.

— Nie bój się — rzekł Kulik — wyjdzie ten, to będzie drugi, ja wam dostarczę bo mam z czego.

— A wiemy — odparł Mikołaj — od czasu jak was pan przybocznym hajdukiem zrobił, to wam i pieniędzy nie żałuje.

— Bo tak trzeba — rzekł Kulik — kiedy pan suto w zalotach występuje, kiedy się zabiera do wesela, to i słudzy jego szumieć powinni. Dalej bracia! wypijmy jego zdrowie, bo to dobry pan; dam wam czegoś lepszego. — Wstał i przyniósł z drugiej izby gąsiorek miodu,

odetknął go, wzniósł do góry i zawołał: — Niech żyje nasz pan kochany! — przyłożył do ust i ciągnął zwolna słodki napój szyjką, a wszyscy patrzeli z zazdrością rychło go odsadzi i innemu poda. Gdy kolejno gąsiorek wypróżniono, zasiadła gawiedź na dawne miejsca i Mikołaj rzekł dalej:

— Pan jak pan, ale pani jaka będzie to Bóg wie jeszcze.

— Zapewne — dodał inny — bo kiedy pani zła, to pańska dobroć nie nada.

— Cicho! — rzekł Kulik tupając nogą — z respektem mówić o państwie. A wam co do tego? jaka będzie taka będzie, dość że pani nasza i kwita.

— A kiedy tam będą gody weselne? — zapytał Mikołaj — wy to przecie musicie wiedzieć Kuliku, bo czegożby wam Pan nie powiedział! A jabym rad żeby to wnet było, bo się to człowiek przy weselu jako tako obłowi.

W tem usłyszano hałas w poprzedzającej izbie; niezadługo otworzyły się drzwi szeroko i Ruszczyc wszedł, a za nim strzelec niosąc strzelbę i inne porządki myśliwskie i kły ubitego odyńca, które na stole położył. Porwali się przelęknieni dworacy, runęły ławki do komina przystawione i wszyscy na groźne spojrzenie pana wymknęli się co żywo z izby, wyjąwszy Kulika, który schowawszy za kupę drzewa dzban i gąsiorek zbliżył się do pana, odebrał od strzelca przyniesione przez niego rzeczy i sam z panem pozostał.

Ruszczyc, nic nie mówiąc, wskazał Kulikowi na krzesło, które mu miał do komina przystawić, usiadł na po-

danem, pokręcał z wolna wąsa i ponuro na płomień patrzał. Kulik, który wiedział dobrze, że to były oznaki jakiegoś frasunku lub niechęci pańskiej, odstąpił na palcach i stanął przy drzwiach, opierając się o ścianę, której sąsiedztwo tem mu było potrzebniejsze, że miód i piwo jakieś pomieszanie w jego wyobrażeniach zdziałały. Po chwili milczenia czując niepohamowaną chęć gadania, zbliżył się Kulik na palcach do stołu, wziął kły do ręki i oglądając je rzekł:

— Czy go Wielmożny Pan sam zabił?

— A któż inny — odparł Ruszczyc — po cóżbym te kły chował!

— A gdzież on sam jest? dobrzeby było mieć choć skórę.

— Cóżeście tu wszyscy w mojej izbie robili? — rzekł gniewnie Ruszczyc.

— Nic — odpowiedział nieśmiało Kulik, prostował się jak mógł i otwierał oczy zmrużające się mimowolnie.

— Ale tobie się coś język plącze i oczy masz szklanne — rzekł, surowo na niego patrząc, Ruszczyc.

— To za zdrowie pańskie — odpowiedział Kulik, kłaniając mu się do nogi.

— Za moje zdrowie spiłeś się hultaju!

— A tak — rzekł Kulik kiwając głową — i prócz tego za zdrowie przyszłej pani naszej.

Na te słowa zerwał się raptownie Ruszczyc z krzesła, spojrzał na Kulika, który ze strachem aż do drzwi się cofnął, i nic mu nie odpowiedziawszy dużemi krokami po pokoju chodzić zaczął. Po chwili milczenia zatrzymał się raptownie we środku izby i rzekł do Kulika:

— Czy wiesz gdzie mieszka Pan koniuszy nadworny?

— Wiem, Wielmożny Panie — rzekł zbierając wszystkie siły swoje Kulik.

— Biegaj *ex nunc* do niego, proś aby mnie zaraz nawiedził jeżeli może, i powiedz że nagłą mam do niego potrzebę.

Szybko wytoczył się za drzwi Kulik, rad temu, że w tym stanie niepewności na nogach miał sposobność zejścia z oczu gniewnemu panu.

Przybył po niejakiem oczekiwaniu Jordan i rzekł wchodząc do Ruszczyca:

— Przybiegam skwapliwie na twoje powołanie, alem się przeląkł, bom rozumiał że cię w jakiem niebezpieczeństwie zastanę, tak mnie naglił twój posłaniec.

— W niebezpieczeństwie może, ale we frasunku pewno; a kiedy mnie co dolega, zwykłem szukać ulgi u przyjaciela i zasięgnąć jego rady.

— Cóż ci to? czy ci się na łowach nie powiodło? czy król niełaskaw na ciebie?

— Łaski mam aż nadto wiele ze dworu, a wiesz dobrze, że łowy były pomyślne; ale ja ledwom sam nie złowion.

— Jakto? nie rozumiem tego.

— Ot, siądźmy sobie przed kominem; słuchaj co ci powiem. Ale naprzód nim rozpocznę, mów otwarcie, czy nie dostrzegłeś kiedy jakiej preferencyi królewicza dla Modrzejowskiej, jakiej inklinacyi tejże dla królewicza.

— Hm, trudne to zagadnienie. U dworu wiele się widzi i słyszy, o czem się nie zawsze mówić godzi.

— Więc się wiele widziało i słyszało; rozumiem.

— Ja tego nie mówię, i broń mię Boże, ażebym miał jakie fałszywe suspicye wzniecać.

— Bez ogródek powiedz szczerze, tak jak przyjaciel przyjacielowi; mnie wiele na tem zależy.

— No, kiedy tego żądasz, to powiem, że mi się zdaje, iż jest jakieś wzajemne upodobanie między nimi i nic więcej. Ale ty, jakżeś się o tem dowiedział? bo cię ostrzegam, jeżeli przez plotki to nie wierz niczemu, bo są tacy którzyby ciebie od cnotliwej Maryi odstręczyć chcieli.

— Plotek ja nie słucham i nie daję im wiary, lecz co oczy widzą, temu wierzyć muszę.

Byłeś z nami na łowach, więc wiesz co się działo, ale tego widzieć nie mogłeś com ja dostrzegł. Traf szczęśliwy dał mi stanowisko blisko królewicza, przy samych pojazdach królowej. Wyznam, iż więcej patrzałem na Maryą jak na miejsce skąd zwierz pędzony mógł wypaść; ukryty za drzewem poglądałem ciągle na jej wdzięki coraz bardziej mnie zajmujące; ale jej oko nie spotkało mego wejrzenia, bo ciągle niemal na stanowisko królewicza zwrócone było. Wtem widzę wyraz przestrachu na jej twarzy, zrywa się w pojeździe, wydaje krzyk przeraźliwy, i z rozpaczą poniekąd, ku niemu ręce wyciąga. Patrzę w tę stronę gdzie i ona, spostrzegam i ubijam groźnego odyńca, spieszę do księcia i ona niedługo przybyła, ścisnęła mi z czuciem rękę, ale jej oko było na księcia zwrócone, pociecha jaśniała na jej twarzy, ale pociecha z ocalenia ulubionego przedmiotu, a nie z tego, że mnie się rzadki i szczęśliwy traf zdarzył.

— To niczego więcej nie dowodzi, jak tego com ci

już powiedział, że Modrzejowska, zwyczajnie jak młoda osoba, znajduje upodobanie w królewiczu; ale to wszystko minie, skoro tylko dwór opuści; a wtedy zapomni o tym księciu, który na nią niekiedy miłem okiem patrzał.

— Ale czy też książe zapomni o nas? to drugie pytanie. Słuchaj co ci dalej powiem. Kiedy, jak wiadomo, Marya wyskoczyła z owem jabłkiem, stawiając się na wezwanie królewskie (co między nami mówiąc, nie bardzo mi się ze strony króla podobało, zwłaszcza gdy przyjął oświadczenie się młodej dziewczyny, które za zuchwalstwo poczytać należało) gdy, mówię, wystąpiła na plac Marya, spojrzałem na naszego księcia, a ślepy chybaby był nie spostrzegł, jak mocno był zatrwożony niebezpieczeństwem, na które się Marya narażała. On, taki pokorny i uległy dla ojca, śmiał go pochwycić za ramie; a wiedząc dobrze, że król po kilku puharach wina miał dawać dowody zręczności, poważył się oprzeć jego zamiarom i narazić się nawet na jego niechęć, aby tylko Modrzejowską z niebezpieczeństwa wybawić. Wiesz ty, że on drżał cały, gdy król brał łuk do ręki; jego wejrzenie malowało taką niespokojność, jaką tylko najżywsza miłość wzbudzić może.

— Oh! oh! już też za daleko posuwasz swoje domysły: miłością ku niej książe nie pała. Nie tak on jest skory do tego; to nie ojciec, nie... Powtarzam ci, że znajduje w niej upodobanie, ale więcej nic.

— Ale to upodobanie popsuło w głowie niedoświadczonej i młodej dziewczynie, zajęło zupełnie jej serce, wzbudziło jakieś nadzieje, a z czasem może się w najzaciętszą miłość zamienić.

— Na to sposób łatwy; niech zostanie twoją a o wszystkiem zapomni.

— Nie, bracie! to nie jest sposób zaradzenia złemu, które się już stało. Jak ja to dobrze przewidział, że coś podobnego nastąpi, skorom się tylko dowiedział, że Marya do dworu wzięta; dlatego nie rad byłem temu.

— Cóż więc czynić zamyślasz?

— Odwlec moje wesele i czekać, aż się to wszystko na którą bądź stronę ostatecznie rozwiąże. I właśniem ciebie się miał poradzić, jakto począć i jaki znaleźć powód do nowej zwłoki.

— Zmiłuj się, nie czyń tego, bo dasz powód do gadania, wystawisz biedną Maryą na plotki, złe o niej wzbudzisz mienie, a ona prawdziwie nie zasługuje na niechęć twoję. Cóż ona temu winna?

— Któż o tem mówi, żebym ja miał niechęć ku niej lub szkaradną chęć pomszczenia się obojętności względem siebie? Inne są moje pobudki: słuchaj i sądź potem. Wiesz, jaka mnie przyjaźń z nieodżałowanym Modrzejowskim łączyła. Ta przyjaźń, a nie miłosne jakie zapały, skłoniła mnie do starania się o rękę jego córki. Przed zgonem swoim rzekł on do mnie, ściskając mi dłonie mdlejącą już ręką: — Spokojnie umieram, bo tobie kochany Damijanie, jedyne dziecko moje zostawiam w opiekę; bądź jej ojcem wtedy nawet, gdybyś jej mężem być nie mógł. — Wiesz, iż mówią, że konający wieszczym nieraz duchem przemawiają! być może bardzo, że się przeczucie ojca spełni i że ja córki jego mężem nie będę; ale ojcem dla niej nigdy być nie przestanę. Kto wie, jaki los czeka Modrzejowską, i czy ta prze-

powiednia ojca nie ściąga się do wysokiego przeznaczenia, jakie dla niej nieba gotują. Ja jej sumiennie drogi do szczęścia zagradzać nie mogę; czuwać tylko nad tem winienem, aby jej się żadna krzywda nie stała i abym od niej wszelkie niebezpieczeństwa oddalił. Jej wychowanie, cnoty po przodkach odziedziczone, piękny jej sposób myślenia, ręczą mi za tem, że nigdy żadnej nie popełni płochości; dlatego bez obawy zostawić ją mogę na dworze, gdzie się wysokie jej przeznaczenia jedynie ziścić mogą. Jeżeli Bóg dla niej królewicza przeznaczył, jeżeli z nim razem kiedyś polski tron osiądzie, wierny wówczas jej poddany cieszyć się będę z tego, żem obowiązek przyjaźni wypełnił i cnotliwą narodowi zjedna królowę. Takie jest moje nieodzowne postanowienie; doradź tylko przyjacielu jak je wykonać, aby żadnych względów nie obrazić i aby nadewszystko Maryą od wszelkiego prześladowania ochronić.

— Dziwić się muszę nad tobą i wielbić cię razem, bo niepospolitej mocy duszy dajesz dowody. Szlachetne są twoje pobudki, lecz nie wiem czy można mieć jaką nadzieję o ziszczeniu tego, co ty przeczuciem ojca Maryi zowiesz; bo, póki królowa całym dworem a zatem i synem rządzić będzie, póty on o takich tylko związkach myśleć będzie, jakie ona dla niego zgotuje. A tymczasem wystawioną zostanie Marya na liczne prześladowania i nieprzyjemności, nadewszystko na trudzące ją zaloty francuzów. I cóż się z nią stanie, wtedy kiedy ją te wysokie miną nadzieje? W kimże znajdzie pociechę w strapieniu swojem? Jakże się wróci z tej wysokości, do której zmierzała, do zaciszy domowego pożycia? Jakiż

szlachcie zechce ją pojąć za żonę, i któryż ją wtedy uszczęśliwić potrafi?

— Ten sam, który jej się wyrzekał, gdy większe dla niej szczęście widział, i który się wróci do niej, gdy jej to szczęście nie dojdzie; który poświęci osobistość swoję dla księcia, ale nie ścierpi tego aby lada gach układny sądził się być godnym tak dostojnej ręki i rozumiał że może się o nią zalecać bezkarnie! Dlatego zaklinam cię na obowiązki przyjaźni, abyś nikomu tego nie wyjawił, o czem dzisiaj z sobą mówiliśmy; a teraz, nie odwodząc mnie dłużej od mego przedsięwzięcia, doradź tylko, jak je najlepiej do skutku doprowadzić.

— Trudna rada... Czas twojego ożenienia przez samę królową oznaczony... jak się tu cofnąć i dlaczego? Zdaje się, iż nie należy naglić niczego, zostawić rzeczy in statu quo, jakiemikolwiek pospolitemi przyczynami usprawiedliwiać chwilową zwłokę, i czekać dalszych zdarzeń; może one albo rzecz całą wyjaśnią, albo też same sposób puszczenia jej w odwłokę nastręczą.

Na tem rzecz stanęła. Jordan ponowiwszy przyrzeczenie zachowania tajemnicy, rozszedł się z przyjacielem swoim.

Widząc wychodzącego gościa, wrócił Kulik do izby, w mniemaniu, że pan usług jego potrzebować może. Zastał go chodzącego po pokoju w wielkiem zamyśleniu i stanął przy drzwiach, czekając dalszych rozkazów pańskich. Długo nic do niego nie przemówił Ruszczyc, lecz nakoniec, znudzony jego obecnością i widząc, że w pewnem nieśmiałem oczekiwaniu to z nogi na nogę przestępował, to chrząkał niekiedy, rzekł do niego:

— Czegoż stoisz? i na co czekasz?

Ruszył się z miejsca Kulik nieco ośmielony, i rzekł:

— Czy Wielmożny Pan nie każe zaprzęgać?

— Zaprzęgać? — zawołał Ruszczyc — a to po co? Dokądże ty myślisz jechać?

— To nic, ja tak myślałem sobie zwyczajnie, że może Pan do Wilanowa pojedzie, bośmy się jeszcze z naszą dzielną furmanką nie popisywali, a tam przecie jest JW. Pani dla której ten pojazd, te konie sprawione.

— Idź spać, póki nie wytrzeźwiejesz — rzekł Ruszczyc patrząc surowo na niego i dał mu znak oddalenia się.

Nisko ukłonił się Kulik, odwrócił się i mruknął sobie odchodząc: — Nie wiem co mu się stało? nigdy taki zły nie był.

XIV.

. . . . . mądry baczy
Nim powie, czyli tak ma, czy mówić inaczej,
A roztropny szykując wszystkie sprawy torem
Często ma myśl zamkniona, choć usta otworem.
Naruszewicz Sat.

Już miesiąc blisko upływał, a sejm do Warszawy zwołany jeszcze nie był rozpoczął swoich czynności z przyczyny niechęci Stanów Litewskich, które, stosownie do dawnych konstytucyj, domagały się tego, ażeby ten sejm nie w Warszawie lecz w Grodnie się odbył, i tam się też zgromadziły, chcąc przemódz uporem swoim i zmusić króla do przeniesienia obrad do tegoż miasta. Po wielu próżnych krokach do tychże Stanów uczynionych, postanowił król wysłać do nich deputacyą od

Stanu rycerskiego Korony, do której wybrano osoby z litewskiemi familiami spokrewnione, ażeby przez przyjacielskie i familijne stosunki zwaśnione umysły do zgody nakłonić.

Ruszczyc, którego familia pierwiastkowo z Litwy pochodziła, bądźto z tego powodu, bądź też dla znanej przychylności ku królowi, powołany został do tego poselstwa i dwoiście się cieszył z tego powołania swojego, raz dlatego że mógł usłużyć królowi, drugi raz że znalazł słuszną przyczynę odwleczenia na czas niejaki przynajmniej wszelkich zabiegów, które ze stosunków między nim a Maryą zachodzących wypływały; zwłaszcza że rozumiał, iż przez to i przy dalszych zatrudnieniach sejmowych znajdzie słuszną wymówkę obojętności swojej w przyspieszaniu zapowiedzianych związków.

Szczęśliwie się powiodło poselstwo do Grodna; sejm rozpoczął działania, a z niemi powstały wrzawy o nieprawne oddanie wielkiej pieczęci koronnej wojewodzie trockiemu, Ogińskiemu, bez udziału sejmu. Ruszczyc przepomniał przy ważnych zatrudnieniach o swoim osobistym kłopocie; lecz ilekroć widział Maryą na publicznych zebraniach i festynach, unikał wszelkiej z nią rozmowy, tak dlatego, ażeby nie zachwiał się w przedsięwzięciu swojem, jako i dlatego, że nie mógł dotąd wynaleźć zmyślnej przyczyny odłożenia na czas dalszy zawarcia związków małżeńskich.

Gdy razu jednego przybył z innymi do Wilanowa na pokoje królewskie, spostrzegł go Wota bliższą już wówczas z nim znajomość mający, i rzekł do niego pocichu, iż mu ma coś bardzo ważnego do oznajmienia, i

że go prosi, ażeby zechciał z nim razem wyjść nieco na krużganek od pokojów królewskich na ogród wychodzący, zwłaszcza że piękny czas kwietniowy do używania świeżego powietrza zachęcał. Skłonił się do żądania Woty nasz bohater, ciekawością zdjęty coby mu miał do oświadczenia. Skoro wyszli na ganek, wziął Ruszczyca pod rękę i rzekł do niego stłumionym głosem:

— Szacunek i przyjaźń, którą mam dla osoby Waszej, zmuszają mnie do tego, ażebym Was przestrzegł o niebezpieczeństwie, jakiem jesteście zagrożeni. Radzę Wam, nie puszczajcie w odwłokę zawarcia związków małżeńskich z narzeczoną Waszą; są bowiem tacy, którzy serce jej podbić, a tem samem Was tego tak drogiego skarbu pozbawić pragną.

Odstąpił parę kroków od niego Ruszczyc i spojrzał nań z wyrazem obawy, że już zna tajemnicę Maryi i zarazem podziwienia, jakim sposobem ją odgadnął.

— Któż taki? — zawołał zdumiony, udając że się niczego nie domyśla.

— O, nie jeden — rzekł Wota — dwór królewski jest niebezpiecznem siedliskiem dla młodej i niewinnej dziewczyny.

Ochłonął nieco Ruszczyc i spokojnie rzekł dalej:

— Jeżeli tylko o ogólnych niebezpieczeństwach wspominacie, to ja ich się bynajmniej nie lękam; wiem jakie było wychowanie Panny Modrzejowskiej, i ręczę, że pomimo wszelkich zabiegów niechętnych mi ludzi, wiary mi dotrzyma.

— Hm — rzekł Wota przechylając nieco głowę, przymrużając lewe oko a prawem dwóznacznie spoglądając

na Ruszczyca — ja na waszem miejscu nagliłbym jednak zawarcie związków małżeńskich.

— A któż Wam powiedział — odparł żywo Ruszczyc — że ja nie chcę w tych czasach pojąć Modrzejowskiej za żonę?

— Nie wątpię, że macie jak najżywszą chęć wypełnienia tego postanowienia — rzekł Wota, i wznosząc nieco ramion i brwi do góry a otwierając obie dłonie, dodał z przyciskiem, niedokończając umyślnie mowy—ale...

— I cóż to *ale* znaczy? — rzekł Ruszczyc — nie umiem zgadywać; mówcie otwarcie i wszystko co wiecie, bo się niczego nie domyślę.

Tu obejrzał się Wota raz jeszcze i rzekł tajemnie:

— Wierzajcie mi, że tylko szacunek, którym dla Was jestem przejęty, i to poważanie, jakie mam dla osób tak znamienitych i uczciwych jak Wy jesteście, mogą mnie skłonić do wyjawienia tego, co, gdyby miało być powtórzonem, niezawodnieby niechęć Najjaśniejszych Królestwa na mnie ściągnęło. Oto — przy tem obejrzał się raz jeszcze i do ucha mówił dalej Ruszczycowi — Mondor, dworzanin królowej, ma widoki na Pannę Modrzejowską.

Roześmiał się głośno Ruszczyc i rzekł: — Stare dzieje, wiem o tem oddawna i nie dbam o to wcale.

Wota spojrzał na niego z zadziwieniem, i mówił dalej z równą jak zawsze tajemnicą:

— Ale Hrabia de Maligny sprzyja widokom Mondora, qo w tem ma własne rachuby, a łatwo pojąć że eo ipso... — Przy tem obejrzał się znowu.

— Quidnam eo ipso? — zawołał zniecierpliwiony Ruszczyc.

— Eo ipso — rzekł dalej Wota stłumionym głosem — królowa Pani obstaje przy tem, aby Wasza narzeczona przy dworze została, a to w tym widoku, iżby pod Waszą niebytność zamiary Francuza z czasem do skutku dojść mogły.

— To fałsz — rzekł Ruszczyc — mnie sama królowa swoję łaskawą opiekę i pomoc przyobiecała; a zresztą, chociażby i tak być miało, to trzeba aby i Panna Modrzejowska tego Mondora nademnie przekładała. Może mi także powiecie, że ona go kocha?

— Nie, nie, broń Boże — rzekł z miną ironiczną Wota — ja tego nie utrzymuję bynajmniej, bom żadnej jeszcze w tej mierze nie zasięgnął wiadomości; ale wiemy to bardzo dobrze, że u dworu to, czego chce król lub królowa, prędzej czy później ziścić się musi. Dlatego wnoszę, że dłuższa zwłoka w zawarciu waszych ślubów małżeńskich może przywieść zupełne ich zerwanie.

— Ha, cóż robić? — odparł Ruszczyc z pewną ironią — kiedy taka będzie wola boska i królewska, to się trzeba będzie poddać nieszczęśliwemu losowi.

— Ale nie — rzekł Wota, odstępując od niego parę kroków, otwierając ręce i odwracając na bok nieco głowę — kto zaś słyszał rozpaczać tak łatwo i poddawać się bez walki?

— Poddawać się! tegom ja nigdy nie uczynił — zawołał Ruszczyc, i dodał wskazując na rękojeść szabli:— tutaj jest sprawiedliwość na Francuza i sposób rozstrzy-

gnienia rzeczy w ostatecznym razie, a kiedy go poślemy *ad inferos*...

— O nie, nie wspominajmy o tak krwawych środkach — rzekł Wota z pewnym wyrazem zgrozy — zwłaszcza, kiedy mamy inne łagodne i nieszkodzące nikomu. Ja np. wiem sposób łatwiuteńki nakłonienia królowej do jak największej przychylności ku Wam.

— Doprawdy? jakiż tedy? radbym wiedzieć — zapytał Ruszczyc.

— Oto — rzekł Wota, oglądając się znowu na wszystkie strony — ale mię na miłość boską nie wydajcie, bo to są tajemnice stanu.

— Nie, nie, mówcie śmiało — rzekł Ruszczyc ciekawością zdjęty.

— Oto, dowiedziałem się wczoraj, — mówił dalej misternie Wota — będąc najłaskawiej przypuszczonym do familijnego towarzystwa królestwa Ichmość, dowiedziałem się, mówię, iż Najjaśniejsza Pani jak najusilniej pragnie mieć pomiędzy posłami wierną, zupełnie sobie przychylną osobę, któraby dla niej w sejmie działała, i dochodząc zręcznie jakieby mogły być widoki i życzenia oponentów dworu, doradzać jej mogła, jakimby sposobem przychylne ich zdanie sobie zjednać lub przynajmniej do milczenia nakłonić ich można. A gdyby królowa Pani taką osobę znaleźć mogła, toby, jak sama wczoraj wyznała, wszystko dla niej uczyniła, coby ona sobie tylko życzyć mogła.

Tu nastąpiła chwila milczenia. Wota przechyliwszy głowę, z uśmiechem i z żywem wejrzeniem patrzał na Ruszczyca jakby chciał powiedzieć:

— Domyśl się reszty.

On zaś odstąpił w tył parę kroków, zmarszczył czoło, ściągnął brew, podparł się lewą ręką na szabli, prawą nogę naprzód wystawił i rzekł ponuro:

— Taką osobą miałbym ja być niby?

— Sic, sic, Illustrissime! rzekł kiwając głową Wota.

— A jakto nazywają takiego — rzekł w podobnym jak pierwej tonie Ruszczyc — co to podchodzi przyjaciół i kolegów swoich, a wyłudzając od nich otwarte zwierzanie się lub wynurzenie myśli, donosi gdzie potrzeba to co odkrył?

— Mniejsza o nazwisko — rzekł Wota, biorąc go za rękę — aleby mu się z tem jak najlepiej działo, i nikomuby w świecie z tem źle nie było; bo królowa Pani ma jak najlepsze widoki, a to, o co się sejmujące strony opierają, jest tylko czczą formalnością. Czy pieczęć wielka koronna w sejmie czy tylko w senacie doręczoną została, to nikomu nic nie szkodzi, że biskup warmiński, Radziejowski, będzie zarazem podkanclerzem? a tu o takie drobnostki tyle sprzeczek, tyle kłótni, które nic nie znaczą: verba, verba et praeterea nihil. Nie lepiejżeto położyć tamę temu wszystkiemu? Tego sobie królowa jak najusilniej życzy; lecz do tego potrzebuje osoby, którąby jej doradzała, jakim sposobem najzaciętszych przeciwników ująć można.

— I królowa na mnie oko w tym zamiarze rzuciła — rzekł Ruszczyc głęboko zamyślony.

— Wyraźnie niby Was królowa nie mianowała — rzekł Wota z namysłem — ale z jej mowy można było się domyśleć, że to się nie do kogo innego ściągało.

— Więc gdybym się poświęcił tym usługom — mówił Ruszczyc z podobnym jak wprzódy rozmysłem — królowa uwolniłaby wtedy Pannę Modrzejowską od dalszej usługi i przystałaby na niezwłoczne zawarcie naszych związków małżeńskich?

— O niezawodnie! za to Wam głową moją ręczę — rzekł Wota, pochwyciwszy jednę rękę Ruszczyca i uderzając w nią lekko dłonią. Przy tem był uśmiech wygranej na twarzy, a oczy żywą tęsknotą przejęte śledziły każde poruszenie twarzy Ruszczyca.

On zaś zapytał dalej:

— A gdybym ja odmówił tej usługi, czyby się królowa opierała moim zamiarom?

— O Dio! — zawołał niby z wielkim przestrachem Wota, odskakując na bok — anibyście byli w stanie przełamać trudności, jakieby Wam w tym razie nastręczano i pewniebyście musieli jeżeli nie zupełnie wyrzec się Waszych zamiarów, to przynajmniej odwlec ich uskutecznienie do nieskończenie długiego czasu.

— Poczciwy dobry przyjacielu! — zawołał Ruszczyc ściskając Wotę — z jakiegożeście mnie kłopotu wybawili? jakżeście mnie szczęśliwą myśl podali? dzięki niechaj Wam będą nieskończone, korzystać będę z tego coście mi powiedzieli.

To rzekłszy, oddalił się szybko; a Wota odetchnąwszy jak zwycięzca, który długą walkę z wątpliwem szczęściem toczyć musiał, wrócił z wypogodzoną twarzą do pokojów, w których się znaczna liczba królowi przedstawić się mających osób zgromadziła.

Ruszczyc zaś udał się niezwłocznie do Maryi. Oznaj-

mienie jego przybycia przypomniało jej, iż nadszedł czas, w którym stanowczy wybór między najsłodszem marzeniem łudzonej wyobraźni, a wypełnieniem obowiązku uczynić wypadało. Jakkolwiek przygotowana oddawna na to, iż ta trudna chwila prędzej czy później koniecznie nastąpić musi, uczuła wszelakoż Marya wewnętrzne mocne wzruszenie, gdy poznała iż jej dłużej odwlekać nie można było. Dlatego w największem pomieszaniu wyszła naprzeciw oznajmionemu Ruszczycowi i drżąca przed nim stanęła, nie śmiejąc pierwsza przerwać milczenia.

Przez całą drogę do jej mieszkania układał sobie nasz bohater przemowę, którą miał mieć do swojej narzeczonej; lecz gdy stanął przed nią, gdy ją ujrzał ozdobioną rumieńcem trwogi i pomieszania, przypomniała mu się owa chwila, w której miał szczęście odebrać z jej rąk wstęgę tak pięknie zasłużoną. Od tej chwili bowiem nieznane mu uczucie pierwszy raz jego umysł zajęło; nie miał był dotąd sposobności używania jego słodyczy, a teraz przychodził zerwać na zawsze może wątek szczęścia, którego dotąd nadzieją tylko mógł się cieszyć.

Po ukłonie pełnym uszanowania i po długiem milczeniu rzekł nakoniec Ruszczyc:

— Poczytuję to sobie za wielkie szczęście, żem znalazł przystęp łaskawy do Pani, dla której pełnym uszanowania affektem przejęty jestem, i z wielką nieśmiałością przychodzi mi wynurzyć powód stawienia się mojego przed jej godne oblicze.

— Powód ten — odpowiedziała drżącym głosem Marya — jest mi zanadto wiadomym, ażebyś Waszmość Pan potrzebował powtarzać go dzisiaj, i gotowa jestem

spełnić dane niegdyś przyrzeczenia i świętą wolę ojca mojego.

Tu spojrzał na nią Ruszczyc z wyrazem żalu, że musi poświęcić tak piękną przyszłego szczęścia nadzieję, a przytem uwielbiając Maryą, za to że z takiem męztwem poddawała się przeznaczeniu nie odpowiadającemu jej nadziejom, rzekł:

— Jakkolwiek pożądaną jest dla mnie ta chwila, w której się o dopełnienie tak drogiej dla mnie obietnicy dopraszać będę, nie po to wszelakoż teraz przyszedłem. Zawistne bowiem losy położyły tamę spełnieniu szczęścia mojego życia; mam powód nader słuszny odłożenia do dalszego czasu tyle pożądanego związku, i teraz przychodzę wynurzyć żal głęboki, który dlatego serce moje przejmuje.

Zdziwiona Marya nie śmiała badać przyczyny tego postępku Ruszczyca, lecz w milczeniu czekała objaśnienia. On zaś mówił dalej:

— Nie może ci być tajnem, Pani, jak wysoko sobie cenię zaszczyt połączenia się z familią niewygasłej pamięci jej ojca; lecz im wyższą do tego przywiązuję cenę, tym się godniejszym zaszczytu tego okazać winienem. Wszelki czyn tedy, któryby na mnie jaką niesławę w życiu obywatelskiem mógł ściągnąć, uczyniłby mnie tem samem niegodnym posiadania tego skarbu, który mi ojciec Pani przekazał.

Tu opowiedział Ruszczyc, pod jakim warunkiem chciano zezwolić u dworu na przyspieszenie jego związków z Maryą, i dodał w końcu:

— Córka Modrzejowskiego nie mogłaby być małżonką

tego, któryby w swojem życiu obywatelskiem cośkolwiek miał sobie do wyrzucenia; dlatego sądzę, iż uznać raczysz za słuszne powody, dla których cię o odwleczenie łask twoich upraszać muszę, i spodziewam się, że nie zechcesz przypisać obojętności tego, co tylko nieszczęśliwego mojego losu jest skutkiem. Zbyt jestem do króla mego przywiązany, zbyt mocno znam obowiązki wierności, ażebym miał cokolwiek przedsięwziąć wbrew woli i życzeniu jego. Dlatego, lubo wiem, iż nikt właściwie nie ma prawa zagradzania mi szczęścia, którebym z rąk Pani odebrał, nie chciałbym wszelakoż, ażebym miał to szczęście z poświęceniem przychylności królewskiej okupić. Nie będę ja przeto upraszał pani o opuszczenie pobytu dworskiego, lecz wolę oczekiwać spokojnie szczęśliwszej chwili, w której zgodnie z jej serca życzeniem i z wolą mego króla będę ją mógł otrzymać. Do tej chwili racz Pani mieć w pamięci tego, który wszystko, bo własne nawet szczęście, twojej szczęśliwości poświęcić jest gotów, i który między główne obowiązki życia swojego kładzie to, ażeby się zawsze godnym twojej przyjaźni i ufności ojca twego okazał.

To rzekłszy uczuł Ruszczyc mocne rozrzewnienie, a nie chcąc się z niem wydać, skłonił się i żywo się oddalił.

Marya zdziwiona tym obrotem rzeczy, zaczęła rozmyślać nad postępkiem jego i porównywać uczynione przez niego poświęcenie z powodem, który go do niego skłonił. Lubo nie sądziła Ruszczyca być zdolnym owych uniesień miłośnych, któremi się wiek młodociany odznacza, widziała wszelakoż, iż wielką przywiązywał cenę

do zyskania jej ręki, i że pragnął jak najusilniej zawarcia z nią związków małżeńskich. Nagła zaś zmiana życzeń jego nie miała znacznych powodów; przytoczona jakkolwiek szlachetna przyczyna, była niedostateczną przeszkodą, gdyż jedno jej słowo, to jest objawienie nieodmiennej chęci opuszczenia dworu, wszelkie znosiło trudności. Marya nie śmiała się zastanawiać nad dociekaniem prawdziwej przyczyny postępku Ruszczyca, ażeby w niej potępienia własnego nie znaleźć. Pobłażanie własnej słabości pozwalało jej wierzyć temu, iż on dla przytoczonej tylko przyczyny związki małżeńskie odkładał; lecz sumienie odkrywało mimowolnie tę tajemnicę, znosiło wątpliwości, kazało się domyślać że Ruszczyc dostrzegł jej skłonność dla księcia, lecz że szlachetny jego sposób myślenia nie pozwalał mu czynić jej wyrzutów i wyjawić od razu chęci zerwania wszelkich związków.

Ruszczyc zaś znalazł jak najłaskawsze przyjęcie u dworu, a zwłaszcza u królowej w pierwszych dniach po jego rozmowie z Wotą. Lecz później, gdy pomimo zręcznego badania nic wcale nie wyjawiał o sposobie myślenia swoich kolegów w sejmie, zmienił się zupełnie dla niego horyzont łask dworskich. Odtąd doznał wielkiej różnicy w przyjęciu siebie u dworu. Wota unikał go, i ledwo, przechodząc koło niego, lekkim raczył go ukłonem. Następnie doświadczał trudności we wszystkiem, co chciał dokonać, lecz zachowując w sercu żal swój, nie zwierzył nikomu przyczyny chwilowej utraty względów, i uśmiechnął się tylko na to, gdy mu mniemani przyjaciele donieśli, iż królowa otwarcie widokom Mondora sprzyja.

XV.

Chcemy sobie być radzi,
Rozkaż Panie czeladzi,
Niechaj na stół dobrego wina przynaszają...
Kto tak mądry że zgadnie,
Co nam jutro przypadnie?
Jan Kochanowski.

Korzystając z piękności wieczora pierwszych dni czerwca, siedzieli oboje podkomorstwo pod obszerną wystawą domu swego i używali przyjemności chłodu i świeżego powietrza. Podkomorzy czynił właśnie wraz z kapelanem wnioski nad spodziewanym stanem powietrza i zasięgał jego zdania, czy jutro lub najdalej ze zmianą kwadry, upragniony deszcz świeżej siejby jarej nie pokrzepi? W tem ujrzano konnego posłańca na dziedziniec wjeżdżającego, który uwiązawszy konia u słupa z żelaznemi kółkami we środku dziedzińca umieszczonego i li do tego użytku przeznaczonego, zdjął zdaleka czapkę i z uszanowaniem skłoniwszy się państwu, do nich się zbliżył.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — rzekł on i prawą ręką czapkę do nóg podkomorzego zniżył, a lewą list przywieziony mu oddał.

— Na wieki wieków — odparł podkomorzy — a od kogóżto przybywacie?

— Od pana brygadyera Ruszczyca, który Jaśnie Wielmożnemu Jchmość Państwu respekt swój wraz z tym karteluszem przesyła.

— A, to pan brygadyer wrócił już tedy na wieś — rzekła Podkomorzyna i zbliżyła się do męża ciekawością zdjęta, co przywieziony list w sobie zawiera.

— A wrócił-ci — odpowiedział Kulik, bo on był tym posłańcem, i przy tem podrapał się w głowę, co miało znaczyć, że ten powrót nic pomyślnego nie zwiastował.

— A tyżeś co za jeden, mój bracie — rzekł Podkomorzy.

— Ja — odparł Kulik, jakby się dziwił temu że jego godności nie znano — byłem i jestem szeregowcem w chorągwi hussarskiej i prócz tego byłem a już nie jestem pierwszym hajdukiem JP. brygadyera.

— A za cóżeś stracił tę godność? — rzekł z uśmiechem podkomorzy.

— Ha, Bóg to wie — odparł Kulik ruszając ramionami — pókiśmy zajeżdżali w zaloty, póty byłem ja hajdukiem, a kiedy się to wszystko urwało, niewiem jak, powiedział mi mój pan: Odprawisz mi niepotrzebną gawiedź, bo ja jej w moim domu nie potrzebuję, jest jej tam i tak dosyć, zostaniesz przy mnie, ale się więcej nie zwij hajdukiem; i ja też mego pana usłuchałem.

Tu spojrzał podkomorzy na żonę i rzekł:

— Domyślam się co ten list w sobie zawiera! będzie to powtórzenie tego, co nam już Marynka doniosła. — Mówiąc otworzył list, przejrzał go czytając pocichu i rzekł: — Tak jest w samej istocie, same prawie usprawiedliwienia i pochwały Maryi; widać, że nieborak bardzo jest zafrasowany i że ta odwłoka szczęścia jego, wiele go kosztować musiała.

— Byłoby to dla nas i dla niego wielką pociechą — rzekła Podkomorzyna — gdyby nas chciał nawiedzić. Wiesz co, kochanku, trzeba go prosić o to odpisując na ten list.

— Zapewne — odparł Podkomorzy, i dodał obracając się do Kulika: — Czy Pan nie wyjechał z domu?

— Nie — odpowiedział Kulik, a potem rozmyśliwszy się nieco, dodał: — za pozwoleniem JW. Pana, o co się Pan pyta?

— Czy Pan jest w domu? — rzekł powtórnie podkomorzy.

— Nie — odparł żywo i krótko Kulik. Widać było na jego twarzy, że rad był ze swojej odpowiedzi.

— Cóż ty gadasz, mój bracie — rzekł podkomorzy — raz że Pan nie wyjechał z domu, drugi raz że go w domu niemasz.

— Drugi raz powiedziałem lepiej — rzekł Kulik — bo tak jak mi Pan kazał.

— Aha, domyślam się — mówił podkomorzy, obracając się do żony — zapewne Pan jest w domu, ale ma jakieś przyczyny, dla których nie chce nas odwiedzić i każe powiedzieć, że go niema. — Wtem powstał, dał znak podkomorzynie żeby z nim wróciła do pokoju i rzekł do jednego z dworzan swoich: — Niech temu człowiekowi dadzą wszelkie wygody. Jutro rano dostanie odpis, z którym będzie mógł odjechać.

Wróciwszy do pokoju zasiadł z żoną przy oknie, ażeby z uwagą list Ruszczyca odczytać. Pomiędzy tysiącami wyrazów pełnych oświadczeń i przeprosin za niedopełnienie zamiarów, przebijała się w nim jakaś usilność ukrycia tajemnych pobudek, które mógł mieć Ruszczyc do postępku swego. Wznieciła ona troskliwość podkomorstwa tym bardziej, że niezręczność posłańca kazała się domyślać, iż Ruszczyc chciał uniknąć widzenia

się z niemi. Dlatego postanowili jak najmocniej nalegać na to, ażeby ich nasz brygadyer odwiedził, i w odpowiedzi swojej oświadczyli mu, iż ponieważ listowne doniesienie nie może im dać zaspokajającej wiadomości o powodzeniu ukochanej Maryi, tak mocną czują potrzebę widzenia się z nim i pomówienia w tym przedmiocie, iż gdyby on we trzy dni po odebraniu tej odpowiedzi do nich nie miał przybyć, to oni sami natychmiast do niego zjadą.

Ucieszony z dobrego przyjęcia i z wygód, których mu w domu podkomorstwa nie szczędzono, wracał Kulik nazajutrz z tą odpowiedzią do swego pana, i z wypogodzoną twarzą, w której przekonanie o dobrem sprawieniu poselstwa wyczytać można było, stanął przed nim i wiezione pismo mu doręczył. Ruszczyc był właśnie w swojej małej zbrojowni i oglądał broń i zbroję, którąby mógł użyć w nastąpić mającej wyprawie na Bukowinę; właśnie przymierzał hełmu, który się dziwnie obok kontusza na jego głowie wydawał, gdy ciekawością zdjęty, porwał list podkomorzego, przeczytał go szybko, obrócił się do Kulika i rzekł z gniewem:

— Cóżeś tam przecie naplótł, chociażem ci przykazał milczenie.

— Ja? — odparł Kulik zdziwiony — ja nic złego nie powiedziałem i wszystkie rozkazy pańskie wypełniłem; — a spoglądając na hełm na głowie Ruszczyca będący, dodał: — Ale ten hełm się na nic nie zda, bo dwa razy przestrzelony; ja dawno Panu już mówiłem, że go trzeba dać do naprawy.

— Co ci do tego hełmu? — rzekł Ruszczyc, zdej-

mując go z głowy i rzucając na stół tak silnie, że z niego aż spadł na ziemię. — Ale powiedz niezdaro, pocóżeś się wygadał z tem, że ja w domu jestem?

— Broń Boże! — odpowiedział Kulik, podnosząc hełm z ziemi i prostując pióro które się było złamało. — Oto się nowy guz na nim zrobił i pióro to na nic się nie zda; a ja nic nie mówiłem tylko tak jak mi Pan kazał.

— A czym ci nie mówił — rzekł dalej Ruszczyc z gniewem — żebyś powiedział *nie*, kiedy się ciebie spytają, czy ja jestem w domu?

— A bodajbym się z tego miejsca nie ruszył — odparł Kulik — jeżelim inaczej powiedział; ja zawsze mówiłem *nie*. Co ja temu winien, że mi się raz spytali, czy Pan nie wyjechał z domu?

— Idź precz — zawołał Ruszczyc, a wstrzymując się od dalszego łajania przez wzgląd na starego sługę, odszedł, zostawując go samego zagniewanego o złe przyjęcie przez Pana, do tego stopnia, iż sam będąc długo mruczał i wymyślał, lecz wieszał przytem na swojem miejscu i hełmy i zbroje, i ocierał te na których kurz spostrzegał.

Ruszczyc zaś dlatego się gniewał i dlatego chciał uniknąć widzenia się z podkomorstwem, iż się obawiał wyjawić przed nimi prawdziwej przyczyny swego postępku, lub wygadać się z całą tajemnicą przy zwykłej otwartości serca swego, i że prócz tego trudną było rzeczą wymyślać słuszne przyczyny, któremiby swój sposób postępowania mógł usprawiedliwić. Nie mogąc wszelakoż uniknąć tego wszystkiego, postanowił uzbroić

się przeciwko wszelkim ponętom gadatliwości i wyjechał do domu podkomorstwa.

Po przyjacielskiem powitaniu i po wymawianiu się zatrudnieniem domowem przed wyjazdem na wojnę, które go od rychlejszego nawiedzenia wstrzymywało, musiał Ruszczyc odpowiadać na rozliczne zapytania względem Maryi, przyczem podkomorzyna rzekła do niego:

— W jakiej my tu niespokojności byliśmy, codziennie wyglądaliśmy doniesienia od Waszmości Pana, któreby nas wcześnie uwiadomiło o dniu zawarcia waszych ślubów małżeńskich, ażebyśmy na ten dzień, dla nas tak pożądany, do stolicy zjechać mogli; gdyśmy odebrali od najukochańszej Marynki wcale przeciwne uwiadomienie o postanowieniu Waszmości Pana.

— Spodziewam się — odparł Ruszczyc — że Jejmość Panna Podskarbianka raczyła wyłuszczyć powody, które mnie do tego tak przykrego dla mnie postanowienia skłoniły.

— Uskuteczniła to — rzekł podkomorzy — i umiemy cenić ważność tych powodów; ale...

— Tak — przerwała podkomorzyna — ale jeżeli mam otwarcie powiedzieć co myślę, troskliwość nasza skłania nas do tego, ażebyśmy Waszmość Pana upraszali o otwarte zwierzenie nam, czyli go prócz tego inne jeszcze jakie powody do tego kroku nie skłoniły?

— Inne jakie powody? broń Boże! — odparł Ruszczyc, lecz zaczerwienił się przy tem mocno i nie mógł nic więcej powiedzieć. Tak dalece nawyknienie otwartości niezdatnym go do wszelkiego kłamstwa i utajenia myśli swoich czyniło. Podkomorstwo spojrzeli po sobie z wy-

razem niedowierzania, a podkomorzy na co innego zwrócił rozmowę, odkładając do sposobniejszej pory wybadanie Ruszczyca; zostawał bowiem w obawie, czy się Ruszczyc nie dowiedział o skłonnościach Maryi, i czy ta wiadomość do odwleczenia związków małżeńskich go nie nakłoniła. Lecz gdy później w dalszych z nim rozmowach przekonał się, iż Ruszczyc z uwielbieniem zawsze o Maryi wspomina, że zawsze największe szczęście swoje w późniejszem zawarciu związków upatruje; zmienił sam zdanie swoje o tajemnych jakichciś powodach działania Ruszczyca, i przekonał żonę swoję, że nie masz żadnej obawy i że rzeczy jak najlepiej stoją.

I nasz bohater z swojej strony wkrótce powrócił do dawnej otwartości i zażyłości z podkomorstwem, i przez kilka dni bawiąc u nich wszystko im opowiadał co tylko wiedział o Maryi, wyjąwszy jednego wiadomego nam względu, który nie bez zająknienia i pomieszania w opowieściach swoich pomijał.

W wigilią dnia na odjazd Ruszczyca przeznaczonego, chciał podkomorzy rozweselić się z przyjacielem swoim i zasiadłszy z nim, w poobiedniej godzinie, pod cieniem dębu za dworem w ogrodzie stojącego, mrugnął z uśmiechem na żonę, szepnął jej coś do ucha i za oddalającą się w głos powtórzył:

— Pamiętaj kochanko, sześćset trzydziestego piątego. — Niezadługo przybył piwniczny niosąc w ręku ostrożnie, aby szanownej pleśni nie obetrzeć, butelkę z kartką na której rok 1635 był wypisany. Gdy ją na stół stawiano, spojrzał podkomorzy na Ruszczyca, jakby chciał

śledzić, jakie ten widok na nim wrażenie sprawi, i milczał, bo był pewnym, że miłe w nim zadziwienie wzbudzi.

— Trigesimo quinto! — rzekł Ruszczyc, nachylając nieco głowy i obracając butelkę ku sobie stroną, na której najmocniej zaświadczająca pleśń osiadła.

— Tu będzie myszka — rzekł podkomorzy, kazał sobie podać korkociąg i otworzywszy sam starannie butelkę, nalał zwolna w przyniesioną lampkę trochę wina, okazał jego tłustość pod słońce Ruszczycowi, i dawszy mu je wprzódy w milczeniu powąchać, nalał obie lampki po brzegi i rzekł: Takie się tylko z dobrym przyjacielem pija. Na powodzenie Waszmości mnie wielce miłościwego brata!

— Oby nam się dobrze działo! — odparł Ruszczyc, podnosząc do góry lampkę, i trąciwszy ją o kielich podkomorzego, zwolna i z pewnym namysłem wino pić zaczął.

— A co? wszak merum et approbationis dignum — rzekł podkomorzy po spełnieniu połowy kielicha.

Z uśmiechem kiwnął głową w odpowiedzi Ruszczyc, i rozpoczął znawcze badanie nad pochodzeniem, wiekiem i sposobem przechowania tego tak szacownego trunku. Gdy się dyssertacya przy wypróżnieniu drugiej lampki w najlepsze toczyła i rumieniec rozweselenia zwolna na licach obudwóch przyjaciół osiadał; przybiegła ku nim z radością podkomorzyna i oznajmiła, iż dworzanin z Warszawy wracający przywiózł jej list od Maryi.

— A daj go kochanku, daj, przeczytamy go razem — rzekł podkomorzy, wyciągając po niego rękę. Lecz podkomorzyna spojrzała na niego z wyrazem napomnienia, odsuwała rękę z listem i na migi usiłowała

przypomnieć podkomorzemu, iż w obecności Ruszczyca listu tego czytać nie wypadało.

Lecz nie była to właśnie dla niego chwila domyślności, utopił był przezorność w dobrem winie, a na jej miejscu nastała owa otwartość i to wylanie uczuć dla przyjaciela, które jest skutkiem pierwszego rozweselenia dobrym napojem.

— Czegóż się wzbraniasz kochanku? — rzekł do podkomorzyny, biorąc jej z ręki list — wszakże nas wszystkich los kochanej Marynki równo obchodzi; JP. brygadyer rad będzie posłyszeć co on w sobie zawiera.

— A Mościa Dobrodziejko; — dodał Ruszczyc — tuszę sobie nadzieję, że Waszmość Pani nie zechcesz mię pozbawić pociechy powzięcia raz jeszcze wiadomości o Jejmość Pannie podskarbiance, teraz właśnie, gdy wybierając się na krwawą wyprawę, kto wie czy już nie po raz ostatni o niej słyszeć będę.

Nie zdołała się oprzeć podkomorzyna tym naleganiom męża i Ruszczyca; lecz spostrzegłszy, że pierwszy mało dba o skutki jakie z odczytania listu wyniknąć mogą, usiadła blisko przy nim, ażeby w każdem niebezpieczeństwie wyjawienia mniemanej tajemnicy, dość wcześnie czytanie listu przerwać lub inny dać obrot rzeczom, które mógł w sobie zawierać. Podkomorzy zaś odchrząknąwszy sobie, przetarłszy starannie okulary i poprawiwszy się na ławce, zaczął czytać co następuje:

„Najukochańsza Ciotko! jedyna w życiu mojem opiekunko i pocieszycielko!“

„Jakżebym pragnęła być przy tobie, ażeby ci wynurzyć uczucia, które serce moje zajmują i zasięgnąć

rady twojej w trudnem położeniu, w jakiem się dzisiaj znajduję.“

— Nieboraczka! — przerwała podkomorzyna — opuszczona teraz, od nas zdaleka i pozbawiona zarazem pociechy oglądania JP. brygadyera, w ciężkim znać smutku jest pogrążona po jego odjeździe.

Na te słowa skłonił się Ruszczyc z powagą i milczał, a podkomorzy czytał tak dalej:

„Z ufnością jak córka do matki uciekam się pod twoję opiekę. Z otwartością przyjaciółki uczynię ci wyznanie wszystkiego, co się tutaj od czasu ostatniego mego listu działo. Nie pobłażaj słabości mojej, bądź surowym sędzią moich postępków, wesprzyj mię dobrą radą lub przywołaj napowrót do waszego cichego ustronia, ażebym się tutaj dłużej próżną otuchą tego wysokiego szczęścia nie łudziła; ażeby codzienne widzenie księcia...“

— I, co ty zaś czytasz kochanku — przerwała podkomorzyna wyrywając list mężowi i dodała natychmiast z uśmiechem — Bardzo cię znać dobre winko rozweseliło, kiedyś potrafił tyle podejrzliwych wyrażeń umieścić, ażeby prześladować naszego zacnego przyjaciela i aby żartami w nim zazdrość wzbudzić!

— A tak — dodał podkomorzy przypominając sobie przecie o co rzecz idzie — w samej istocie chciałem sobie krotochwilę sprawić.

— Nie dam ja ci więcej czytać listu — rzekła podkomorzyna — zostawię was tutaj przy waszej zabawie i pójdę go sobie odczytać na osobności, a potem wam doniosę co w sobie zawiera.

To mówiąc chciała się oddalić; lecz Ruszczyc powstawszy z miejsca, zatrzymał ją uprzejmie za rękę i rzekł z łagodnym uśmiechem:

— Racz Waszmość Pani zostać z nami i dozwolić na dalsze czytanie listu; on mnie niczego nowego nie nauczy, a tak mnie mocno zajmuje, iż jak o szczególną łaskę, upraszać muszę o udzielenie mi jego osnowy.

W największem pomieszaniu spojrzała podkomorzyna na męża, który spuścił oczy na stół i zdawał się spoglądać na szklankę którą w ręku trzymał. Potem obróciła wzrok nieśmiały na Ruszczyca, chcąc wyczytać z twarzy co się w jego sercu działo, i niemało się zdziwiła, że ją wypogodzoną i jednostajnie łagodnym uśmiechem ozdobioną widziała. Nakoniec obróciwszy się raz jeszcze ku podkomorzemu, jakby się od niego przerwania milczenia spodziewała i nie widząc pomocy z tej strony, chciała już rozpocząć przerwaną rozmowę, gdy Ruszczyc w ten sposób przemówił:

— Wszyscyśmy się widzę nawzajem oszukiwali, a wszyscyśmy równie niezdolni do ukrywania tajemnych myśli naszych. Jam zdołał odgadnąć tajemnicę, którą zacna Marya z dziecinną ufnością Waszej przyjaźni powierzyła; lecz nie lękajcie się ani niechęci, ani zmienności z mej strony. Nim przystąpimy do czytania listu tego, posłuchajcie mego wyznania. O jaki mi też ciężar z serca spadnie, kiedy będę mógł z otwartością o równie przez nas wszystkich ukochanym przedmiocie rozmawiać!

Tu opowiedział Ruszczyc ze wszystkiemi szczegółami to, czego był świadkiem u dworu, i objawił prawdziwe powody swoje do odłożenia na czas dalszy speł-

nienia zamierzonego związku. Z rozrzewnieniem słuchała jego powieści podkomorzyna, ścisnęła mu czule rękę na znak wdzięczności, a podkomorzy wynurzał najczulsze uczucia dla Maryi, wysokie poważanie dla Ruszczyca. Po ukojeniu tych żywych wrażeń przystąpiono z równym ze wszech stron udziałem do dalszego odczytania listu.

„Wiadomo ci zapewne najukochańsza Ciotko, iż od dawnego czasu życzeniem było królowej połączyć syna swojego z córką Cesarza Leopolda. Książe Jakób z niechęcią ulegał tej woli macierzyńskiej i nieraz słyszałam, nie bez wewnętrznej pociechy, jak utyskiwał przed księżną wojewodziną wileńską na konieczność zawarcia takich związków, za któremi serce nie przemawiało. Lecz rodzice jego, życząc sobie jak najusilniej tych związków, zwłaszcza że upatrywali w nich mocniejsze powody dla Cesarza Jegomości w popieraniu później elekcyi młodego księcia na króla polskiego, wyprawili w końcu ostatniego sejmu tajemne poselstwo do Wiednia, w celu otrzymania stanowczej odpowiedzi w tym ważnym przedmiocie“.

„Wszystko było w oczekiwaniu na powrót tego posłannika, i ja niestety! nie mogłam oddalić od siebie tęsknego uczucia, którem mnie to oczekiwanie przejmowało. Przybył nakoniec; o jakże wiele cierpiałam na tem, żem od razu skutku jego poselstwa wiedzieć nie mogła; jak mnie to powątpiewanie dręczyło; i dziś jeszcze odzywa się we mnie głos sumienia na samo wspomnienie wewnętrznej walki uczucia mego.“

„Niedługo pozostały tajemnicą nowiny z Wiednia przywiezione; niechęć królowej, smutek króla, tajemna

radość królewicza i odwołanie zabawy dworskiej, której dzień już był naznaczony, wyjawiły wszystkim niepomyślny skutek czynionych zabiegów. Królowa przez dni kilka przykrą nawet była dla otaczających ją osób, i mnie się dały uczuć skutki jej niechęci; lecz wyznaję, że mi żadnej nie sprawiły przykrości, bo je wątła jakaś nadzieja osładzała. Ach! jeżeli ta nadzieja jest zwodniczą, jeżeli się nigdy nie ma spełnić, jakże okrutnym jest dla mnie zbieg tych okoliczności, który ją żywi w mojem sercu, który mnie wiarołomną i niebaczną na wolę ojcowską czyni!“

„Kilka dni temu, było w Wilanowie wieczorem zgromadzenie panów i dam w bliższych stosunkach z królestwem Jchmość będących. Rozmawiano już głośno o odpowiedzi cesarza Leopolda; królowa najprzykrzejsze czyniła mu wyrzuty o niewdzięczność dla zbawcy swojego; jedni potakiwali jej zdaniu, inni starali się ukoić żal królewski i pocieszać go tem, iż łatwo mu będzie równie korzystne związki gdzieindziej dla syna znaleźć. Ach! jak trudne było położenie moje wówczas; musiałam starać się o to najusilniej, aby wyraz największej obojętności ukrył to, co się w sercu mojem działo. Słyszałam jak różne czyniono wnioski i wnoszono zdania o małżonce którąby księciu Jakóbowi przeznaczyć wypadało. Serce biło mocno, rumieniec osiadł na twarzy; lękałam się spoglądać na osoby, które mnie otaczały, jak gdybym się bała tego, ażeby się ktoś nie domyślił, iż między obecnymi jest taka, która śmie poczytać się godną serca i ręki królewicza. Nie mogąc dłużej znieść dręczącego mnie położenia, oddaliłam się z pokoju, gdzie

się powszechna rozmowa toczyła i wyszłam w zamiarze oddychania świeżem powietrzem w ogrodzie. Przechodzić musiałam przez pokój stykający się z pięknym gabinetem, z którego okna na ogród wychodzą. Nikogo nie było w tym pokoju, lecz słyszałam mówiących w gabinecie, i nieszczęśliwą może dla mnie ciekawością zdjęta, poważyłam się zbliżyć niepostrzeżona ku drzwiom, a poznawszy głos księżnej wojewodziny wileńskiej i księcia Jakóba, chciałam się cofnąć; w tem obiły się o moje uszy następujące wyrazy, które nowego udręczenia mego są przyczyną: — Spodziewam się, że przeciwko tej nic mieć nie będziesz; nie jest ona bez powierzchownych wdzięków, potrafi wzbudzić i dzielić żywe uczucie, a nadewszystko jest Polką. — Te słów kilka drżenie we mnie wzbudziły; w obawie aby mnie nie spostrzeżono, oddaliłam się szybko ode drzwi, wybiegłam do ogrodu, szukałam spokojnego miejsca gdziebym gwałtowność uczucia mego ukoić mogła. Niestety, nic jej dotąd uhamować nie zdołało".

„Ach, najukochańsza Ciotko! wróć mi utraconą spokojność, odejm mi wszelką nadzieję i powiedz, co te wyrazy mogły znaczyć .."

— Co mogły znaczyć! — rzekł wzruszony Ruszczyc — powiedz jej Waszmość Pani, że Ruszczyc powiedział, iż to ma znaczyć: że Marya Modrzejowska żoną księcia i królową naszą będzie.

XVI.

Trzeba jechać koniecznie — Gdzie? — Jechać do wody,
Służyła ona przedtem tylko do ochłody.
Teraz większa usługa. — Jaka? — Żyć nie można,
Jeśli pilność o zdrowie, czuła a ostrożna,
Nie zapędzi tam, gdzie jest saletra i siarka...
Krasicki Sat.

Po skończonym sejmie opuścił dwór Wilanów, i częścią w Żółkwi częścią we Lwowie zimę przepędził. Wojska wyszły na nieszczęśliwą wyprawę bukowińską; a król chorobą złożony zdał dowództwo hetmanowi Jabłonowskiemu, którego waleczność i wytrwałość, wsparta odwagą i zdolnością Kąckiego, jenerała artyleryi, zdołała ocalić wojsko w najniebezpieczniejszym razie.

W następnym 1686 roku, cesarz Leopold, chcąc się zbliżyć z dworem polskim, w którym słuszną niechęć przez odmówienie swej córki królewiczowi wzbudził, ofiarował królowi wojsko posiłkowe do podbicia Multan i Wołoszczyzny; a namowy królowej i zręczne poduszczenia Woty nakłoniły Jana do podjęcia wyprawy, pozorem odzyskania Kamieńca usprawiedliwionej. Książe Jakób, który usiłował zyskać ufność narodu przez dowody waleczności, towarzyszył królowi w tej wyprawie.

Przez cały czas trwania tej długiej wojny, był dwór jakby osierocony, bez króla i królewicza. Marya zawsze wątłą nadzieją łudzona, nie doznawszy nic takiego, coby ją z błędu wyprowadzić mogło, smutne u dworu prowadziła życie; dlatego często bardzo z Żółkwi odwiedzała swoję ciotkę, i nawet za uzyskanem pozwoleniem kilka miesięcy w jej domu przepędziła. Najmilsze jej zawsze były rozmowy z podkomorzyną o dalszym

losie swoim, w których zwierzała jej pod największą tajemnicą swoje uczucia i nadzieje, nie wiedząc o tem, iż prócz ciotki kto inny jeszcze jej myśli był powiernikiem. Często bardzo badała z trwogą: czyliby Ruszczyc nie miał jej w podejrzeniu o przychylność ku królewiczowi, lecz wierna danemu przyrzeczeniu podkomorzyna, starała się zawsze oddalić od niej wszelką obawę w tej mierze, i zaręczała: iż wiadoma pobudka była pierwszym powodem odłożenia związków małżeńskich, a wojny odtąd ciągle trwające nie dozwalały Ruszczycowi pomyśleć nawet o spełnieniu uczynionych ślubów. — On się póty nie zgłosi — mówiła zwykle podkomorzyna — póki trwały pokój nie nastanie, tak aby mógł raz na zawsze szablę na pług zamienić; tymczasem zaś zdarzyć się może sposobność przekonania się, jakie są zamysły królewicza.

Mondor z swojej strony próżno zawsze usiłował wszelkiemi sposobami zasłużyć sobie na przychylność Maryi, i byłby dawno odstąpił od swoich zamiarów, gdyby nim te tylko pobudki powodowały, dla których się z początku o powołanie jej do dworu starał. Widoki osiągnienia znacznego majątku i posiadania obok tego pięknej żony, dogadzały z razu chciwości i próżności jego; lecz bliższe poznanie Maryi, ciągłe przebywanie w jej towarzystwie, moc jej wdzięków i samo drażnienie przeciwieństwami, wzbudziły najżywszą namiętność w tym umyśle, który z razu samą tylko rachubą egoizmu był zajęty. Dawniej byłby się dał łatwo odstręczyć przeciwieństwami, teraz zaś wzmagała się jego wytrwałość, w miarę nawet że większe coraz przeszkody w osią-

gnieniu swego zamiaru spotykał. Znosił cierpliwie dowody niechęci i nawet wzgardy Maryi, byleby miał sposobność przebywania w jej towarzystwie; srożył się i gniewał gdy go kto od próżnych zabiegów odwieść usiłował, i zazdrościł zapamiętale każdemu, choćby najmniejszej grzeczności ze strony Maryi; uprzejme słowo z ust jej do kogo innego wyrzeczone, najsroższem było dla niego udręczeniem. Myśl jego ciągle tem tylko zajęta była, jakby wstręt Maryi przezwyciężyć, i jakich użyć środków, aby ją sobie zniewolić, a nawet do oddania sobie ręki zmusić.

Powrót króla i królewicza z bezskutecznej wyprawy ożywił nieco smutny pobyt u dworu; lecz i ta pociecha nie długo trwała, bo nowa wyprawa na wiosnę zapowiedziana, której dowództwo naczelne księciu Jakóbowi poruczone być miało, tak go bardzo zajmowała, iż mało mógł czasu zabawom poświęcić, gdyż go najwięcej na podróżach po różnych stanowiskach wojskowych i na ćwiczeniach wojennych trawił. Skwapliwość, z jaką się trudnił przygotowaniem do wojennego trudu, pocieszała Maryą, ilekroć ubolewała nad tem iż go rzadko kiedy widzieć może; bo była dla niej zapowiednią tego bohaterskiego ducha, który w niej zawsze szlachetny zapał wzbudzał, i którym rada była królewicza ożywić.

Inna jeszcze okoliczność stała się przyczyną dłuższego rozstania się Maryi z królewiczem. Królowa od niejakiego czasu podlegała słabości zdrowia; przywołani lekarze niewielką ulgę jej cierpieniom przynieść zdołali; udano się przeto po radę do sławnego włoskiego doktora, który zalecił, aby królowa pojechała w następu-

jącej wiośnie do wód ciepłych, niedawno odkrytych we wsi Warmbrunn w Czechach. Ta rada przemogła nad wszelkie inne; król był jej przeciwny, gdyż mu przykro było rozstawać się na kilka miesięcy z ukochaną małżonką, i to jeszcze tak wkrótce po swoim powrocie z wojennej wyprawy. Lecz królowa nie chciała odstąpić od swego postanowienia, i ruszyła w Maju 1687 roku z Jaworowa w tę podróż z licznym bardzo dworem. Mondor użył pośrednictwa panów francuskich, aby do tej podróży należał, z powodu że Marya była w orszaku towarzyszek królowej.

Król z księciem Jakóbem towarzyszyli królowej aż do Rzeszowa, i ciągle obstawali za zmianą zamysłu dalszej podróży. Królewicz był bardzo uprzejmym dla Maryi przed wyjazdem i w ciągu podróży aż do miejsca, w którem się z nią miał rozstać, tak dalece, iż Marya z usilnie tajonym żalem Rzeszów opuściła, w którym książe pozostał. Odtąd tęskne jej uczucie wracało się zawsze ku niemu i szukało go bądź to u dworu, bądź wśród niebezpieczeństw nowej wyprawy, w której tenże książe objął dowództwo nad wojskiem w zastępstwie ojca, gdy temuż osłabione zdrowie tylko aż do zamku Jazłowieckiego wojsko odprowadzić dozwoliło.

Ponieważ już były przywrócone stosunki przyjacielskie z dworem austryackim, Cesarz przeto, dowiedziawszy się o wyjeździe królowej, wysłał na granicę Szląska barona Żurowskiego, ze zleceniem przyjęcia jej tamże w jego imieniu i towarzystwie aż na miejsce, w celu uprzedzania wszelkich jej życzeń i potrzeb. Lecz królowa postanowiła uniknąć wszelkiego uroczystego

przyjęcia, objechała miejsce w którem posłannik cesarski na nią czekał i przybyła do Wrocławia incognito, gdy się jej dopiero na granicy spodziewano. Przybyła ona tamże w towarzystwie siostry swojej Margrabiny de Bethune i starej wojewodziny kijowskiej, damy honorowej, której nazwisko przybrała. Znajdując upodobanie w ukryciu swego znaczenia, zaleciła Żurowskiemu, który; przybywszy za nią do Wrocławia, list cesarski jej doręczył, aby zachował tajemnicę jej bytności. Bawiła tym sposobem dni kilka w Wrocławiu i pod nazwiskiem wojewodziny kijowskiej bywała u kupców i w kościołach, w towarzystwie kilku dam honorowych, pomiędzy któremi nie można jej było rozpoznać, dlatego że wszystkie przybrały między sobą powierzchowność zupełnej równości, i że żadnych względów pozornie przynajmniej dla niej nie okazywały. Dopiero gdy reszta dworu o milę od Wrocławia przybyła, wyjechała naprzeciw niemu królowa i w towarzystwie dworzan swoich, w obec licznie zgromadzonego pospólstwa, które naprzeciw niej z miasta wyszło, do onegoż wróciła. Udała się wprost do katedralnego kościoła, wysłuchała tamże mszy, obiadowała publicznie w pałacu biskupa wrocławskiego, i następnie w towarzystwie dworu swego przez całe miasto przejechała, udając iż o milę ztamtąd nocować zamyśla; sama zaś w towarzystwie dam kilku do miasta wróciła. Dnia następnego dopiero puściła się w dalszą podróż z ojcem swoim i przybyła do Warmbrunn, gdzie jej właściciel tameczny Hrabia Schafgotsch swojego pałacu na mieszkanie odstąpił.

Lubo poratowanie zdrowia było głównym celem

pobytu królowej w tem miejscu, nie wiele wszelakoż o polepszenie onegoż dbała, poświęcając czas cały zabawom. Z początku mało kto znajdował się w Warmbrunn; lecz gdy się wiadomość o przybyciu królowej rozeszła, zjechali się wkrótce najbogatsi panowie Szląska i dzieląc zabawy dworu polskiego, przesadzali się w uroczystościach i biesiadach, które dla królowej i innych dam polskich wyprawiali. Codziennie bywały koncerta w samem miejscu kąpieli, w czasie gdy ich królowa używała. Wieczory przepędzano zwykle na pokojach królewskich, trawiąc je późno w noc na tańcach i biesiadowaniu.

Marya, więcej strudzona jak uradowana temi ustawicznemi zabawami, korzystała z każdej chwili wolnej od usług lub rozrywek, aby się w samotności napawać pięknościami, któremi przyrodzenie tameczne okolice tak hojnie obdarzyło. Z okna mieszkania swego miała przed sobą owe sine pasmo gór, których nagie wierzchołki obłoki dźwigały. Nieraz, gdy jasny promień księżyca przebudził lekkim snem zdjętą, biegła do okna i oddychając świeżością pogodnej nocy, z uniesieniem patrzała na czarne szczyty, które zdawały się grozić spokojnej dolinie. To ją trwogą przejmował czarny obłok, który niebo z górami chciał zrównać, wszystko jedną ciemną pokrywając powłoką, to ją pocieszał łagodny promień księżyca, szczyty i rozpadliny gór gdzieniegdzie białą taśmą od przepaści odznaczający. Często w długiem zadumaniu stała w oknie i szukała w tych różnych widokach styczności z rozmaitemi kolejami życia ludzkiego; a przytem odnosząc wszystko do siebie samej, sięgała

myślą do lat dziecinnych, do tak skromnych wówczas życzeń i nadziei swoich, a potem ze drżeniem wspominała na wzniosłość marzeń o przyszłej szczęśliwości. Takie bowiem myśli i wspomnienia wzbudzić musiał w umyśle widok owych wzniosłych gór olbrzymich, w porównaniu z błogiemi równinami Polski, na których jej oko niegdyś przestawało.

Z pomiędzy wszystkich gór okolicznych, najwięcej ją zawsze zajmował wierzchołek Kopy śnieżnej,*) owe najwyższe stanowisko pasma gór szląskich. Zwiedziła już była wszystkie inne, tak wesołe pagórki w półkolu równinę otaczające, jako i pamiętny ze zwalisk zamku Kynast, na którym nieubłagana Kunegunda niezręcznych zalotników z murów swojej warowni w bezdenne spychała przepaści. Lecz ten kończasty wierzchołek długo jeszcze śniegiem uwieńczony, po którego nagich kamieniach reszty stopionych od upału śniegów spływały, tak się dla wszystkich towarzyszek Maryi zdawał niedostępny iż pomimo nalegania i próśb swoich nie mogła jeszcze znaleźć takiej, z którąby trudy tej zajmującej podróży dzielić mogła. Mondor, który się starał uprzedzać wszelkie życzenia Maryi, napróżno łączył swoje prośby i ofiarował usługi wszelkie w tej podróży damom, któreby ją podjąć chciały. Dnia pewnego nakoniec przybył uradowany do Maryi z doniesieniem, że dwie panny honorowe francuskie oświadczyły gotowość swoję do tej podróży. Przytem ubolewając iż sam nie może w tej wyprawie jej towarzyszyć, z powodu służby przy królowej, do-

*) Schneekoppe.

dał: iż przez dwóch dworzan znakomitych, znajomych Maryi, w tej usłudze zastąpionym będzie. Przewodnicy, ludzie służący i zapasy do tej podróży potrzebne, wszystko było przygotowane i zamówione przez niego, tak dalece iż nazajutrz podróż niezawodnie nastąpić miała.

Już wszystko tchnęło życiem i świeżością w dolinie; rozlegały się wesołe pienia ptastwa świeży poranek witającego; ryk i odgłos ligawek pasterskich rozlegał się po okolicy i samotne echa po skałach budził; snuli się wieśniacy po polach i łąkach, jedni pruli żyzną ziemię, i świeżą skibą zroszone jeszcze pokrywali odłogi, drudzy rozpościerali po zielonych niwach ze stron obudwóch szumiącego strumienia długie pasma bielącego się płótna. Lecz jeźliś odwrócił oko od tej życiem i pracą przepełnionej doliny i wzniósł je ku niebu, spostrzegłeś martwe głazy w niezmiennej postaci, jakby znamieniem wiecznej śmierci naznaczone, a na nich, zamiast pogodnego promienia, który dolinie przyświecał, mgłę ciężką i pasmo przebiegających obłoków, kryjące szczyt najwyższy, którego oko napróżno między niemi szukało. Taka była postać całej okolicy, gdy Marya z towarzyszkami swemi u stóp najwyższej z gór olbrzymich stanęła. Ten posępny widok miejsca, do którego podróż zmierzała, odstraszał nie tylko niewiasty, lecz i dworzan, którzy ją podjąć mieli; ale Marya najżywszą pałała chęcią dojścia tam, gdzie teraz jej oko przed obłokami dosięgnąć nie mogło. Wyprzedziwszy wszystkich biegła naprzód śmiało pod górę; i nie chciała pozwolić na to, ażeby ją miejscowi przewodnicy równie jak jej towarzyszki wnosili. Godziny upływały na tej

znojnej podróży, a jeszcze jej cel był daleki. Po kilku spoczynkach i posileniu się zapasami w drogę wziętemi, gdy już słońce połowę swojej dziennej mety przebyło, stanęli wszyscy dopiero u stóp właściwej Kopy śnieżnej, to jest w tem miejscu, gdzie przyrodzenie odmawia swojej pomocy nasionom z niżej położonych lasów przeniesionym, ażeby się we wzniosłe drzewa z czasem zamienić mogły.

Ogromny kopiec, jakby ręką ludzką z kamieni usypany, stał przed nimi ścieżką tylko z pasmem gór olbrzymich połączony. O szczyt jego kończaty roztrącały się lekkie chmury, jak dym z jesiennego ogniska, który w polocie na bliskie drzewo trafia. Wązka ścieżka po ruchomych kamieniach na samym grzbiecie góry ledwo co wyżej znaczna, przepaście z obojej strony, smutny widok osierociałego poniekąd przyrodzenia, nic nie zdołało odstręczyć Maryi od dokonania pielgrzymki, której z nią towarzyszące jej panny dworskie dzielić nie chciały. Jeżeli ciekawość podbudzała ją do tego, najżywsze uniesienia i nieznane jakieś wyższości uczucie przejęło jej duszę, gdy po znojnej drodze na najwyższym szczycie gór olbrzymich stanęła.

Jakże ogromna była ta przestrzeń, którą jednym rzutem oka objąć mogła! jak drobne i niedościgłe prawie owe wzniosłe na poziomie budowy, w których się duma ludzka rozpościera! Po przetrwaniu znojnej podróży stanęła na miejscu, gdzie ją już żaden przedział od najwyższej strefy nie oddzielał. Obłoki miała pod nogami, mijały one ją szybko cień na padoły rzucając, gdy oko jej czysty tylko błękit niebios widziało, i tę nieprzej-

rzaną przestrzeń, w której człowiek zawsze nadziei i pociechy szuka. Z jednego miejsca sięgała okiem poza granicę Polski, i całe niemal Czechy jednem ogarniała spojrzeniem; zdawało jej się widzieć hołdujące sobie ludy na tej rozległej przestrzeni osiadłe, mniemała że je obejmuje wzrokiem, podobnie jak dobrotliwy monarcha wejrzeniem ojcowskiej troskliwości na lud swój spogląda.

Nigdy jeszcze widok piękności przyrodzenia tak wzniosłych w sercu Maryi uczuć nie był wzniecił. W zachwyceniu upatrywała styczność ze swojem przeznaczeniem tego wszystkiego, cokolwiek ją otaczało. Po wytrwaniu w śmiałem przedsięwzięciu, po zniesieniu trudów znojnej podróży, stanęła teraz, gdzie inni wzrokiem ledwo sięgnąć się ważą; stanęła bez żadnego niebezpieczeństwa, dlatego tylko, że miała odwagę wytrwać w postanowieniu swojem i używała rozkoszy czystego nieba i zachwycających zewsząd widoków. Najpiękniejsze marzenia snuły się po umyśle wyobrażeniem wielkości upojonym; uniesienie malowało się na jej twarzy i przeczucie oczekiwanego szczęścia jasną łzą radości żywe jej oko zmoczyło. Długo zatopiona w głębokiem dumaniu nie mogła się oderwać od widoku, jaki miała przed sobą, aż ją towarzyszący jej ludzie ostrzegli, iż czas było wrócić do osób, które na nią u stóp góry czekały.

Gdy do nich wróciła, zastała przygotowanie do obiadu, który za staraniem nieobecnego Mondora w rozmaite, wykwintne nawet zasiłki był opatrzony. Wśród lasu, w miejscu nieco otwartem, bardzo wzniosłem nad poziom lecz niższem daleko od Kopy śnieżnej, rozbito

namiot, pod którym zastawiony był stół, tak, iż siedzący przy nim otworem namiotu na sam grzbiet pasma gór olbrzymich i na jezioro tuż przy szczycie tej góry będące patrzeć mogli. Marya zbyt mocno jeszcze była zajęta wrażeniem, które te nowe widoki na jej umyśle czyniły, ażeby lekkomyślną wesołość swych towarzyszek dzielić, lub na to, co wszyscy obecni mówili, zważać mogła.

Długo trwała ta podróżna uczta, a ponieważ już było kilka godzin z południa gdy Marya z wierzchołka Kopy wróciła, słońce przeto skryło się już było za góry, gdy od stołu wstano, ażeby się zabrać do powrotu. Od miejsca tego było jeszcze trzy godziny pochodu do wsi, w której pojazdy czekać miały, tak dalece że zmrok nastał, nim na dolinę zejść zdołano.

Droga szła ciągle przez las gęsty i gdzieniegdzie między sterczącemi skałami; a nastała ciemność przejmowała niewiasty trwogą, którą jeszcze powieści przewodników o zdarzonych rozbojach powiększały. Blisko już było doliny i droga wiła się ciasnym parowem z obu stron ciemnemi świerkami uwieńczonym, gdy go całe podróżujące towarzystwo przebywało; usłyszano mocne gwizdanie tak blisko, jakby który z towarzyszących ludzi był je wydał. Na to zatrważające hasło rozległ się pomiędzy skałami huk wystrzału i połysk jego odbity przez obie ściany parowu okazał struchlałym kilka zbrojnych i zamaskowanych osób, które im drogę zastąpiły. Krzyk i zgiełk powstał okropny, częstemi wystrzałami przerywany; Marya pomimo zwykłej odwagi straciła przytomność i bez zmysłów padła w ręce blisko niej

stojącej osoby, a gdy się po długiem omdleniu ocuciła, miała przed oczyma widok okropniejszy dla siebie od tego, który jej omdlenia był przyczyną.

Nie było nikogo z całego towarzystwa i cichość zupełna panowała. Marya leżała na miękkiej murawie; strumień snuł się z głuchym mrukiem po kamieniach; mała latarnia przy niej postawiona rzucała blask swój na dwóch ludzi w maskach za pasem pistolety mających, z których jeden stał z założonemi rękoma nad nią, a drugi przyklęknąwszy, czerpał ręką wodę, aby ją ocucić. Na ten widok omdlała powtórnie Marya, a gdy przyszła do siebie, uklękła przed napastnikami i litości ich błagać zaczęła. Lecz oni milczeli ciągle i wskazawszy jej na migi, iż ma iść z nimi, ruszyli naprzód, wspierając lub niosąc drżącą Maryą, gdy widzieli iż ją siły odstępowały.

Długi dość pochód przywrócił jej przytomność umysłu, wystawiła sobie los okropny, jaki ją czeka i postanowiła myśleć o swojem ocaleniu.

Już wychodzili z lasu, w oddaleniu widać było światło jakby wsi jakiej, do której napastnicy zmierzali. Marya sądząc się bliską miejsca, gdzie już wszelkie ocalenie niepodobnem było, powzięła pomysł śmiały i natychmiast go wykonać postanowiła. Ścieżka szła nad samym brzegiem spadzistego lecz niezbyt głębokiego parowu, i przytykała z lewej strony do gęstego lasu; była zaś tak wązka, iż nią dwóch ludzi obok siebie iść nie mogło, co przymusiło napastników do oddzielenia się tak, iż jeden poprzedzał Maryą, a drugi za nią postępował. Było właśnie miejsce nieco spadziste; w przedzie

idący kazał jej się zatrzymać, zszedł po spadzistości na dół i wzniósł latarnię do góry, ażeby oświecić niebezpieczne miejsce. Marya udała nagłą słabość i sparła się o skałę na lewej stronie; idący za nią przyskoczył, stanął nad spadzistym brzegiem parowu i szukał pewnego miejsca do postawienia nogi, aby wesprzeć Maryą, która go z całą siłą do parowu wepchnęła, a sama z największą szybkością nazad skoczyła i w ciemności gęstego lasu, przed jednym odurzonym a drugim pokaleczonym, napastnikami swymi, schronić się zdołała.

W pierwszej chwili ocalenia żadne uczucie, przy gwałtownem wzruszeniu, wyraźnie na umyśle działać się nie zdawało; biegła szybko aż jej dech ustawał. Następnie uczuła drżenie w całem ciele, zaczęła się trwożliwie na wszystkie strony oglądać, to w lewo to w prawo, przed bielącym się pniem lub sterczącą skałą uciekać, tak iż się lękała, gdy gałązka pod nogą pękła lub liść suchy zaszeleścial; czuła że jej włosy powstały na głowie, chciała krzyczeć, lecz przezorność cichość nakazywała. Traf szczęśliwy naprowadził ją na ścieżkę, uczuła pod nogą wygodniejszy pochód, poznała że była na jakiejś drodze. Stanęła na chwilkę, zatrzymała dech, aby słyszeć czy kto jej nie goni. Ta droga może prowadzić do mieszkań litościwych ludzi, albo do pieczar zbrodniarzy; te dwa sprzeczne z sobą pomysły razem stanęły w jej umyśle. Czy iść drogą? czy w las zboczyć? ta wątpliwość drżące jej kroki wstrzymywała.

— Boże! prowadź nieszczęśliwą! — pomyślała sobie z westchnieniem do Stwórcy, i szybko naprzód biedz zaczęła drogą, która ciągle wijąc się po lesie, spuszczała

się coraz bardziej ku dolinie i u samych stóp góry od razu na otwartą wychodziła niwę.

W największym biegu stanęła Marya na widok, który się jej oczom okazał. W obszernej dolinie rozsiane były, jak gwiazdy, pojedyńcze światełka na wszystkie strony z chat wieśniaczych pochodzące. Na kilka staj przed nią widać było rzęsiste światło w oknach zamku, w których królowa mieszkała, ogród cały za zamkiem gorzał od licznych kagańców i czerwona łona rozpościerała się ponad tem siedliskiem rozkoszy.

Ledwo że Marya rzuciła okiem na ten niespodziany widok, z którego sobie w pierwszej chwili sprawy zdać nie mogła, gdy się odezwał wesoły odgłos hucznej muzyki, w ogrodzie zamkowym, biesiadującym przygrywającej.

— To tam! — krzyknęła z najżywszą radością Marya i naprzód szybko pobiegła; przebrnęła mały strumień i bez tchu naprzód spieszyła, wszystkie zwyciężając przeszkody.

Już coraz mocniej słychać było odgłosy weselne; coraz silniej połyskało światło kagańców. Już wpada do wsi; skupieni przed zamkiem ludzie ustępują jej z drogi, nie śmieją jej wstrzymać; lecz zdumieni, spoglądają na bieżącą. Przebywa oświecone przysionki, wpada pomiędzy wesołe koło tańczących, wydaje okrzyk przeraźliwy, ostatniem wysileniem i trwogi i radości będący, i pada zemdlona przed królową, a całe goszczące grono strachem przejęte w wybladłej i wyrazem rozpaczy przejętej dziewicy ledwo Maryą poznaje.

XVII.

Często tu, prawda, czynią jakby mię kochali,
Nieraz łagodnem słówkiem serce obłąkali,
Ale to nie jest miłość.....
Inaczej oni mówią; inaczej cię cenią;
Słówka pochlebne łatwo w potwarze zamienią.
Brodziński.

Gdy Marya tak szczęśliwie z niebezpieczeństwa już ocalała; wróćmy się do jej napastników, którycheśmy pomieszanych i potłuczonych w lesie zostawili.

— Co to było? — zawołał ten, który przyświecał schodzącej Maryi, gdy usłyszał krzyk zepchniętego towarzysza swego i łoskot który on upadając zrobił.

— Ratuj! krzyczał tamten z całej siły, a pierwszy nie mogąc pojąć co się stało, dlatego że nic w ciemności nie widział, pobiegł ścieżką do góry i ujrzał dopiero drugiego leżącego na dnie parowu, ale tak, iż grzbietem i głową sięgał do strumyka, który na dnie płynął, a pomiędzy gałęziami krzaków na ścianie parowu rosnących miał uwikłane. Widząc to zbiegł na dół, i ratując swego towarzysza spostrzegł, iż miał głowę lekko skaleczoną, a wydobywszy go z nader przykrego położenia, pytał się o przyczynę wydarzonego przypadku. Odurzenie rannego tak było mocne, że nie mógł zrazu ani odpowiedzieć, ani nawet podnieść się; a gdy go towarzysz posadził, oparł głowę o ścianę parowu, zdarł szybko maskę z twarzy ażeby wolniej oddychać, schwycił się obiema rękami za głowę i wskazał na migi miejsce bólu. Towarzysz jego zdjął chustkę z szyi, obwiązał mu głowę, otrzeźwił go wodą w rękę naczerpniętą i czekał aż zaczął mówić, ażeby pytanie swoje powtórzyć.

Pierwsze słowa rannego były:

— A ona gdzie?

— Nie wiem, może tu gdzie leży w parowie, jeżeliście się państwo oboje pośliznęli.

— Gdzie tam pośliznęli! ona mnie zepchnęła i sama uciekła.

— Więc trzeba za nią spieszyć: pójdę w pogoń.

— Cóż zrobisz sam jeden, ciemno wszędzie, bo ja z tobą iść nie mogę, ani też tutaj bez opatrzenia nie pozostanę. Wróćmy do naszych, naradzimy się co czynić wypadnie, wszakże ona żadnym sposobem daleko uciec nie może.

To rzekłszy powstał, i opierając się na swoim towarzyszu, powoli naprzód iść zaczął. Niedługo doszli do miejsca, z którego oddawna światło do nich dochodziło. Był to dom nieco ode wsi odległy, przed którym stał pojazd czterema końmi zaprzężony i do dalekiej podróży gotowy. Przy nim było kilku ludzi, którzy dostrzegłszy zbliżających dwóch napastników Maryi, jedni dali znak woźnicom siadania na koń, drudzy otworzyli drzwi od pojazdu, w którym dwie niewiasty siedziały.

— Nie potrzeba! — zawołał z wyrazem niechęci ranny — wejdźmy do izby naradzić się co czynić, bo nam się nie powiodło.

Wysiadły niewiasty z pojazdu i wraz z innemi weszły do domu.

Było to właśnie towarzystwo podróżne Maryi, a mniemami zbójcy, Mondor wraz ze służącym swoim, który upatrzywszy chwilę dogodną do wykonania zamy-

słów oddawna knowanych, zuchwałość swoję zranieniem głowy i wielkim strachem opłacił. Przerazili się wszyscy gdy zakrwawionego i wybladłego Mondora spostrzegli, i pomieszanie było powszechne, skoro się dowiedzieli o całym przypadku. —

Trudno było dać dobrą radę Mondorowi który jej zasięgał. Ciemność nocy czyniła niepodobnem ściganie, a zarazem wzbudzało obawę, ażeby Marya jakiemu nieszczęściu nie podpadła, błąkając się po lesie w miejscach niebezpiecznych, gdzie jedno usunięcie nogi życie kosztować mogło. Jakże wracać do dworu bez Maryi? bo lubo królowa przyzwoliła na jej porwanie, uczyniła to jednak pod tym warunkiem, ażeby jej nazwiska nie wspominano, i tak wszystko urządzono, iżby jej nikt o wspólnictwo posądzać nie mógł. Czemże usprawiedliwić to, że Marya nie powróciła, albo też jak się wytłómaczyć, jeżeli przypadkiem inną drogą do dworu wróci? W każdym razie wzbudzało się podejrzenie we wszystkich nieświadomych istoty rzeczy, dlatego że choćby przypadek cały na zbójców złożono, dziwną było rzeczą, iż sama tylko Marya ich przemocy uległa. Mondor najmocniej obawiał się gniewu królowej o niezręczne wykonanie zamiarów, dlatego, że przez to mógł wzbudzić podejrzenie, którego królowa jak najusilniej unikać kazała.

Długo nie zdołano powziąść stanowczej myśli względem tego co czynić wypadało. Nakoniec uradzono: iż miano powrócić do zamku, oznajmić o napaści zbójców i o porwaniu przez nich Maryi, przypisać zranienie Mondora uderzeniu w jej obronie otrzymanemu. Powrócić zaś nie mieli wszyscy razem, tylko każdy z osobna,

jakby rozpierzchnieni w ucieczce. Mondor nakoniec miał pierwszy ukazać się u dworu i żądać pomocy dla poszukania i odbicia porwanej Maryi.

Przywodząc do skutku to postanowienie, wyprzedził Mondor wszystkich w powrocie: kazawszy sobie wprzódy opatrzyć lekko ranę swoję, wsiadł do pojazdu, który go szybko aż pod sam zamek podwiózł, a potem po pozostałe niewiasty powrócił. Jego zła gwiazda zrządziła, iż w tej samej chwili wchodził do pokojów zamkowych, kiedy z nich wybladłą i przerażoną Maryą wyprowadzano. To spotkanie zmieszało wszelkie jego plany, wprawiło go w największe pomieszanie, które powiększyło jeszcze bystre na niego spojrzenie Maryi i okrzyk trwożliwy na jego widok.

Nie mogąc iść dalej dla braku dostatecznej przytomności umysłu, i dla tego że się nie wypadało okazać goszczącym w tym stanie, w jakim się znajdował, polecił Mondor jednemu z dworzan, ażeby oznajmił królowej: że on przypadkiem wtedy właśnie zbliżał się ku wracającym z pieszej podróży damom, gdy wystrzały napadających na nie zbójców usłyszał; że pospieszył na ich ratunek, lecz otrzymawszy ranę, która go odurzonego na ziemi zostawiła, nie wiedział jak dalece inne ocalały; lecz tem przynajmniej był uszczęśliwiony, że Marya już powróciła.

Okazanie się Maryi w tym stanie pomieszania i trwogi przerwało całą zabawę; wystąpili tancerze z koła, wszyscy skupili się około niej i zgiełk powszechny zagłuszył muzykę. Wielu było ciekawych, którzy nie mogli pojąć przyczyny jej rozpaczającej postaci; kilka o-

sób bliższych królowej okazywało zadziwienie i pomieszanie. Sama królowa zrazu się mocno przeraziła, lecz wkrótce przyszła do siebie i zaczęła sama troskliwie zajmować się cuceniem i uspokajaniem Maryi, którą po przywróceniu do przytomności naprzód mocne drżenie przejęło, a następnie łzy z powiek obficie padać zaczęły. W tym stanie słabości nie zdołała odpowiedzieć na liczne zapytania, które jej zewsząd zadawano. Królowa miała przyczyny unikania jej wyznania, dlatego nakazała milczenie ciekawym i wydała rozkaz, aby odprowadzić Maryą do jej mieszkania i przywołać nadwornego lekarza, sama zaś rzekła do obecnych:

— Nie próżna była troskliwość moja, którą przed godziną ledwie okazywałam, nie widząc powracającej panny Modrzejowskiej; przewidywałam bowiem, że o tak późnej porze, między temi skałami i lasami jacy źli ludzie bezbronnych napadać mogą. Taki zapewne przypadek musiał spotkać Maryą; szczęściem że ocalała, będzie to dla niej nauką, ażeby się tak lekkomyślnie na niebezpieczeństwo nie narażała. — Gdy to mówiła, wszedł dworzanin z owem oświadczeniem od Mondora sobie zleconem. Królowa słuchała go niecierpliwie i z wyrazem gniewu, a gdy skończył, obróciła się żywo do marszałka dworu i rzekła:

— Mości Panie marszałku! wolą jest moją, ażeby JP. Mondor pociągniony był do odpowiedzialności za to, że się ważył oddalić ze dworu w dniu służby swojej. Rozkażesz mu Wać Pan, ażeby przez tydzień nie wychodził z mieszkania i prócz chirurga nikogo nie widział; będzie to pomocnem jego zdrowiu!

To rzekłszy, obróciła się z uprzejmym uśmiechem do gospodarza hrabiego Schafgotscha, który w tym dniu ucztę dla niej wyprawiał, przeprosiła go za przerwę zabawy przez lekkomyślność jej dworzan sprawioną, i zachęcając wszystkich do wesołości, zdołała wkrótce zatrzeć w ich pamięci to, co tak mocno ich uwagę zajęło.

Jeszcze goszczono w zamku hrabiego Schafgotscha, i lubo już ranna zorza sięgała pierwszem światłem do okien, jeszcze się nie wszyscy do spoczynku udać zamyślali, gdy szambelan królowej na służbie będący przybył na pokoje, i oznajmiwszy przyjazd spiesznego nader gońca z Polski, doręczył królowej list przez niego przywieziony. Zmieszała się nieco królowa, gdy na papier spojrzała: nie spostrzegła bowiem ręki królewskiej, lecz jeden z senatorów polskich, wyręczając monarchę, donosił jej, iż Najjaśniejszy Pan mocno strapiony jej niebytnością, z tęsknoty popadł w chorobę, która lubo nie jest niebezpieczna, jednakże wymaga troskliwych starań, jakich sama tylko królowa dostojnemu małżonkowi swemu udzielić była w stanie. Ten list tak zmieszał królową i tak smutne w niej wzbudził poczucia, że po jego przeczytaniu wydała rozkazy uczynienia przygotowań do najrychlejszego wyjazdu. Jakoż pomimo nieskończonej kuracyi, nie dała się odwieść od tego postanowienia, i przed końcem dnia następnego Warmbrunn opuściła, biorąc z sobą małą liczbę osób, do której i Marya za koniecznem naleganiem swojem należała. Wysłany naprzód goniec dla zamówienia przeprzęgów po drodze, ledwo mógł zdążyć przed królową, która pomimo upałów dzień i noc tak spiesznie jechała, iż koni

i powozów nastarczyć jej nie można było. A gdy stanęła w Żółkwi, zastała króla nie na łóżku, jak się spodziewała, ale na koniu, zajętego właśnie przeglądaniem wojska. Słabość jego była chwilowa, i tęsknota za dostojną małżonką jedynym powodem, dla którego zastraszający list do niej napisać zalecił.

Marya zastała dwór w tem samem prawie osieroceniu, w jakiem go była opuściła przed wyjazdem swoim; książe Jakób bowiem był z wojskiem pod Kamieńcem Podolskim. O tem się tylko dowiedziała, iż Ruszczyc zdołał uzyskać zaufanie księcia i że był nieodstępnym jego towarzyszem, i to ją pocieszało dla tego, że zdawało się dowodzić, iż on żadnego na nią nie może mieć podejrzenia.

Wkrótce po powrocie swoim udała się do ciotki, zwierzyć jej się z wszelkich uczuć i wrażeń za granicą odebranych i zaspokoić jej troskliwą ciekawość względem przypadku, o którym dwuznacznie tylko i z zatajeniem szczegółów w listach swoich wspomniała. Za widzeniem się z nią dopiero, opowiedziała jej całe zdarzenie tak, jak się stało; lecz nie chciała czynić domysłów nad tem, czy kto inny, jak zwyczajni rozbójnicy, tego niegodziwego czynu mógł być sprawcą.

Póki dwór bawił w Żółkwi, póty pozostała Marya w domu podkomorstwa; lecz w końcu roku musiała do niego wrócić i towarzyszyć królowej w podróży do Warszawy, gdzie się miało odbyć świetne wesele Wielopolskiego, starosty krakowskiego, z jedyną córką Potockiego, kasztelana krakowskiego.

Tymczasem wrócił był książe Jakób z Wołoszczy-

zny i pojechał za królestwem do stolicy. Świetność zabaw i obecność królewicza wzbudziły w Maryi wspomnienie na owe pamiętne uroczystości w Krakowie, za powrotem królewskim z pod Wiednia wyprawiane, i podały jej nie jednę sposobność żywienia nadziei, której się jeszcze nigdy wyrzekać nie chciała. Póki bowiem książe sprawami pospolitemi był zajęty, lub roztargniony dzieleniem zabaw rycerskich z młodzieżą, póty zdawał się niepamiętać wcale na wrażenie, jakie na nim niegdyś Marya była uczyniła. Lecz gdy ją ujrzał wśród świetnej uczty przewyższającą rówieniczki swoje pięknością i niewymownym wdziękiem, wracał do niej z ową uprzejmością i z wyrazem wyższego uczucia, które złudzić mogły umysł niewiasty, mniej nawet uprzedzonej i żadnemi nadziejami nie upojonej. Względy, jakie jej na wszystkich uroczystościach okazywał, i pierwszeństwo, które jej dawał przed innemi pannami dworu i córkami znakomitszych panów polskich, wzbudziły zawiść między wieloma i dały pochop wielu plotkom i domysłom, tak dalece, iż Marya głównym była przedmiotem rozmowy niewieściej po wszystkich zgromadzeniach. Póki mniej jaśniała na wielkim świecie, póty się mniej zajmowano szczegółami jej życia, i powszechnie tylko oddawano zasłużone pochwały jej wdziękom i skromności. Lecz teraz dowiadywano się pilnie wszelkich zdarzeń jej pożycia, a złośliwe języki szukały w nich powodu do rzucania potwarzy i do obmowy.

Była właśnie naznaczona bardzo uroczysta wieczorna zabawa u dworu, na którą wówczas wszystko, cokolwiek Warszawa świetnego w sobie mieściła do

Wilanowa spieszyło. Sto z górą sani z przepychem przystrojonych i dobranemi cugami zaprzężonych, zajeżdżało w wieczornej dobie przed pałac wilanowski, przy zgiełku wielkiej liczby hajduków i służących wszelkiego rodzaju, przy głuszącym odgłosie dzwonków i rżeniu koni. Przybywające sanie były podzielone na oddziały, z których każdy zawierał w sobie grono gości zamaskowanych i wyobrażających albo jakie mitologiczne lub allegoryczne grupy, albo naśladujących w kosztownych ubiorach odległych sfer ziemi mieszkańców.

Królestwo Ichmość przyjmowali z największą uprzejmością gości i przypatrywali się ciekawie wchodzącym kolejno oddziałom. Przez czas niejaki trzymały się razem allegoryczne grona; lecz później, gdy rozpoczęto tańce, pomieszały się z sobą wszystkie oddziały, i widziano Muzy i skromne Westalki otoczone oddziałem hożych rycerzy ubiorem swoim Trubadurów przypominających.

Królowa urządziła była osobne kadryle z pomiędzy dworzan i panien dworskich; i gdy po długiej zabawie zaczęto roznosić chłodniki, ozwały się trąby i kotły, które ich przybycie oznajmiły. Naprzód weszło czterech francuzów z pannami tegoż narodu w hiszpańskim stroju, którzy z kastanietami w ręku, temu narodowi właściwe, z wielką zręcznością przed goszczącymi się okazali. Skoczne bolero i poważne fandango, naprzemian zajmowały patrzących. Pochwalił król zręczność tancerzy i tancerek, a potem dał znak, ażeby wpuszczono grono tancerek polskich, z którem się chciał przed królową popisać. Za danym znakiem ozwała się wesoło muzyka, a porzucając pieszczone tony, zamaszystym mazurem rozweseliła wszy-

stkie umysły, że mimowolnie każdy z nogi na nogę przestępował. Otworzyły się podwoje i cztery wabne dziewice krakowskie z rozpuszczonemi wstęgami, z poczwórnemi warkoczami, trzymając w rękach kwieciste fartuchy, wyskoczyły naprzód i w wesołych pląsach, z uśmiechem na twarzy, zbliżyły się do króla i podały mu wieniec ze złotych kłosów uwity, chcąc wyobrazić wesoły obrzęd ofiarowania plonu dziedzicowi po skończonem żniwie.

— Dalej chłopcy mazura! — zawołał król obracając się do księcia Jakóba i otaczającej młodzieży; — weźcie te cztery krakowskie dziewki do tańca i pokażcie, że narodowy taniec wdzięczną prostotą swoją ze sztucznemi skokami w równi stanąć może.

Posunął się książe Jakób ku młodym dziewicom, z których dwie w przodzie trzymały jeszcze wieniec podany. Mógłże się wahać w wyborze? Marya była między niemi. Jej śnieżne ramie sparło się poufale na ręce królewicza, rumieniec okrył jej lica, i wyraz anielskiej skromności nie zdołał pokryć uśmiechu, który na jej ustach osiadał. Niedługo stanęło całe koło, a żywe i pełne niewymuszonych wdzięków skoki, radość po wszystkich twarzach roznosiły.

Lecz w oddaleniu czuwała ponura zazdrość pod postacią dwóch opuszczonych dam dworskich, które żadnego czynnego udziału w zabawie nie miały.

— A widzisz ich znowu razem — rzekła jedna do drugiej — ja na to dłużej patrzyć nie mogę; niech skaczą do woli, usiądźmy sobie w ustroniu.

— Zapewne — rzekła druga — mam ci też właśnie

co powiedzieć o Modrzejowskiej, coś bardzo ciekawego i prawdziwego.

— Cóż takiego? — zapytała pierwsza i usiadłszy z towarzyszką w miejscu od tańczących oddalonem, ciekawie słuchała jej powieści.

— Wszak wiesz, że jedna z Francuzek wczoraj nagle do Paryża odesłaną została, ale przyczyny tego nagłego jej oddalenia pewnie się nie domyślasz.

— Z pewnością nie wiem, lecz mówiono, że Mondor tego przyczyną.

— Tak jest, Mondor, ale przytem dowiedzieliśmy się więcej. Francuzka ta pokłóciła się z Mondorem i w gniewie wymówiła się z tem, iż w jej ręku jest zguba jego, że gdyby chciała wydać jego niegodziwość, łatwoby się znalazł taki, któryby go za nię ukarał. Dosłyszała tego Pani de Feud'herbe, i pospieszyła z doniesieniem o tej groźbie do królowej. Natychmiast wyszedł rozkaz niezwłocznego wyjazdu dla owej panny dworskiej; lecz nim odjechała, zdołała powierzyć nam kilku tajemnicę, która tak groźną dla Mondora była.

— Ale cóż to ma za związek z Modrzejowską?

— Bardzo wielki; bo Mondor, wzdychający od tak dawna napróżno do Modrzejowskiej, miał ją już w swoim ręku za granicą; on to był jej napastnikiem i cała ta powieść o zbójcach i o waleczności Modrzejowskiej była zmyśloną.

— A, to dobra bardzo wiadomość; można jej będzie użyć, ażeby oczernić Modrzejowską w oczach królewicza; można będzie zmyślić tajemne porozumienie między

nią a Mondorem; bo kto wie nawet, czy tak nie jest? można będzie...

— Oj z tem trzeba bardzo ostrożnie, bo królowa o tem mówić nawet nie pozwala, a wiesz dobrze, jak niebezpiecznie nie słuchać jej rozkazów.

— Tak, ale w sekrecie może udzielać jedna drugiej tej wiadomości; możnaby nawet powiedzieć, że rzecz cała wyszła od Mondora, który się nią chełpi.

— Zapewne, pod zasłoną tajemnicy można działać, otwarcie zaś nigdy. Ale przestańmy, bo się ku nam zbliżają.

Co zawiść uknowała, to zawziętość wykonać zdołała, i w dni kilka po owej rozmowie wszyscy dworzanie potajemnie udzielali sobie wiadomości o porwaniu Maryi przez Mondora, którą każden własnemi domysłami i dodatkami zbogacał. Niedziw zatem, że ta wiadomość do Ruszczyca doszła, i że go do stawania w obronie Maryi zmusiła.

XVIII.

Jeszcze ci niewiadoma tego Włocha sztuka:
Napełni nadziejami a w rzeczy oszuka.
Trembecki.

Następował sejm w Grodnie, na który król wyjechał, uprzedzając wyjazd królowej, która w dni kilka za nim z resztą dworu tamże pośpieszyć miała. Pewnego dnia z rana kazała przywołać wielkiego marszałka koronnego i rzekła żywo do przybyłego:

— Czy Waszmość Pan nie słyszałeś, co się dzisiaj pod moim bokiem za gwałty dzieją?

— Nie — odpowiedział marszałek zdziwiony.

— A jednakże do WPana należy utrzymać spokojność i karcić tych wszystkich, którzy się ważą przeciwko ustawom i uszanowaniu nam winnemu postępować.

— Najjaśniejsza Pani — rzekł spokojnie marszałek — jurysdykcya moja ustała razem z oddaleniem się J. K. M. do Grodna, gdzie obowiązki, mnie tutaj właściwe, przy Jego osobie sprawować będzie Wielki marszałek litewski.

— Więc dla mnie — mówiła królowa z gorżkim uśmiechem — niemasz już ani sprawiedliwości, ani opieki, skoro się monarcha odemnie oddalił.

— Nie wiem jeszcze, jakie są rozkazy W. K. Mości — rzekł marszałek — starać się będę wypełnić je ile możność i prawa moje dozwolą.

— Idzie tu o ocalenie życia człowieka, który mnie obchodzi, bo jest dworzaninem moim, a który może uledz niesprawiedliwej napaści przeciw niemu wymierzonej. Wszakże zakazane są pojedynki; jakaż jest kara na wyzywającego?

— Artykuły sądów marszałkowskich skazują wprawdzie szlachcica, wyzywającego innego szlachcica na pojedynek, na karę sześciudziesiąt grzywien i wysiedzenie półroku w wieży...

— Nie masz żadnej wątpliwości; kiedy takie są przepisy ustaw, ja chcę ażeby były wykonane.

— N. Pani, miałem już zaszczyt oświadczyć W. K. Mości, że sądy marszałkowskie ustały razem z odjazdem

królewskim, ja zatem nie mogę się już zajmować poszukiwaniem winnych. Ale jeśli W. K. Mość rozkazujesz, może ktokolwiek z przybocznej służby wojskowej poskromić zuchwalców.

Na te słowa zerwała się z miejsca królowa, spojrzała z niechęcią na marszałka i rzekła:

— Nie po taką ja radę Waszmość Pana przywołać kazałam; ale kiedy inaczej być nie może, kiedy w kilka chwil po odjeździe królewskim słudzy jego swojej mi odmawiają pomocy, inaczej sobie poradzić muszę, aby zapobiedz bezprawiom, które się pod moim bokiem dzieją.

To rzekłszy oddaliła się do swoich pokojów i wydała rozkaz, aby dowódzca lekkiej roty, w Wilanowie straż trzymający, udał się niezwłocznie do Ujazdowskiego lasku, i nie dopuścił pojedynku, jaki się tam ma odbyć, a osoby obecne wziął na świadki, jako się czyn gwałtowny miał popełnić.

Po wydanym rozkazie, przechodząc przez pokój, w którym kilka osób dworu zgromadzonych było, spostrzegła Wotę, który z łagodnym uśmiechem, z całą postawą naprzód wydaną, z skromnie złożonemi rękoma, stał przy samych drzwiach prowadzących do pokojów królowej; bystrem okiem śledził wszelkie jej poruszenia i za zbliżeniem się nizki jej dał pokłon. Już go mijała królowa lekko mu się skłoniwszy głową, gdy się raptownie zatrzymała na samym progu drzwi, jakby zajęta pomysłem, który jej właśnie przyszedł, i Wocie za sobą iść kazała.

Gdy się to działo w wilanowskim zamku, ruszył był na rozkaz królowej rotmistrz z oddziałem dragonii

dworskiej ku stolicy, w największym pędzie zbliżał się do Ujazdowskiego lasku, po którym się żołnierze rozbiedz mieli, dla wynalezienia pojedynkujących się, gdy usłyszano dwa mocne wystrzały.

— Stój! — zawołał rotmistrz, zatrzymał sam konia, przysłuchał się dobrze z której strony odgłos pochodzi, i po krótkiej chwili z całym pocztem szybko tam pospieszył. Tentent koni rozlegał się po lesie i byłby ostrzegł pojedynkujących się, gdyby mogli byli zwrócić uwagę na to co się wkoło nich działo, aby zawczasu przed śledzącymi ich ukryć się mogli. Lecz jeszcze się wił po gałęziach biały dym od dwóch wystrzałów, gdy żołnierze na miejsce boju przybyli. Ruszczyc i Mondor stali naprzeciw siebie, z równym wyrazem zawziętości na twarzach, pierwszy strzał obudwóch był chybny, i sekundanci zajmowali się właśnie nabijaniem broni do powtórnego strzału, gdy rotmistrz dragonami swymi wszystkich obecnych otoczył.

— Cóż się to znaczy? — zawołał Ruszczyc z gniewem. — Skąd ta napaść?

— Z rozkazu królowej — odpowiedział rotmistrz.

— Z rozkazu królowej? — zapytał Ruszczyc — mnie ten rozkaz nie obowiązuje, a ponieważ JP. rotmistrz nie może być z ramienia marszałka zesłany, gdyż marszałkowskie sądy już ustały; nie ma przeto prawa przeszkadzać temu, ażebyśmy się z sobą w honorowym przedmiocie rozprawili.

— Być może — rzekł na to rotmistrz — że moje wezwanie Jegomość Pana brygadyera nie obowiązuje, ani mi w to wchodzić należy, jak dalece chce słuchać kró-

lowej Pani; lecz przeciwnik jego JP. Mondor, jako jej dworzanin, jej rozkazom posłusznym być winien, i dlatego niezwłocznie ze mną do dworu powróci.

— Ha! — zawołał Ruszczyc z urąganiem — rozumiem co się to znaczy, nakartowana to oddawna sztuka; użyto przemocy, ażeby go od mojej sprawiedliwej zemsty zasłonić. Idźże więc mój paniczu — dodał obracając się do Mondora — kiedy ci życie nad dobrą sławę droższe, korzystaj z dogodnej chwili i umykaj z placu; ale pomnij na to, że gdziekolwiek cię Ruszczyc spotka, obejdzie się z tobą jako z człowiekiem bez czci i wiary.

Na te słowa ruszył się z miejsca Mondor; ogniem pałały lica jego; najżywsze uniesienie malowało się w całej postawie; zbliżył się do rotmistrza i rzekł:

— Panie rotmistrzu! jeżeli masz litość nademną, daruj mi jeszcze chwilę czasu, nie wypełniaj rozkazu królowej i pozwól, ażebym poskromił tę zuchwałość. Postaw się na mojem miejscu i mów: czyżbyś potrafił znieść obelgi dopiero co przeciwko mnie miotane? Zaklinam cię na honor, którego znasz świętość i obowiązki, dozwól, ażebym przekonał mego przeciwnika, iż mu dotrwać potrafię.

To rzekłszy, wrócił szybko na miejsce i żądał z niecierpliwością, aby jemu i Ruszczycowi broń nabitą jak najrychlej doręczono. Lecz dowódzca dragonów rozkazał im zsiąść z koni i porwać Mondora, i rzekł:

— Ja nie mogę mieć żadnych względów na życzenia WPana; przybyłem tutaj wypełnić rozkaz N. Pani i onemu zadosyć uczynię.

Mondor widząc, że musi uledz przemocy, zbliżył się żywo do Ruszczyca, schwycił go mocno za rękę i rzekł:

— Panie brygadyerze, jeden z nas dwóch miał zginąć w tym pojedynku; pamiętaj na ten warunek: gdziekolwiek się pierwszy raz spotkamy, będę gotów wypełnić go w każdym momencie, i podobnegoż od Waszmości mam prawo się spodziewać. Prędzej czy później zdołam cię przekonać, iż umiem poszukiwać doznanej obelgi.

— Dobrze — odparł Ruszczyc, oddając mu ściśnienie ręki — wszędzie i zawsze Ruszczyc służyć ci gotów. — A później obrócił się do Jordana, i patrząc za oddalającym się Mondorem dodał:

— Patrzaj! pierwszy raz się pokazał tak, jak człowiekowi uczciwemu przystoi; nie myślałem nigdy, że i w takiej duszy zapał rycerski kiedykolwiek wzniecić się może.

Nazajutrz po tem zdarzeniu wysłała królowa Mondora za granicę, ażeby odebrać Ruszczycowi wszelką sposobność wykonania mściwych zamiarów, i przeciąć wątek tych plotek, które ją samę narazić mogły. Obok tego wydała rozkaz poszukiwania sądownie Ruszczyca, i wszelkich użyła wpływów, ażeby w Ziemstwie pożądany wyrok wyjednać. Poczem pojechała do Grodna, biorąc z sobą Maryą.

Ruszczyc radby był pospieszył za niemi do tego miasta, dokąd go ważne sprawy pospolite wabiły, lecz włożone pozwy i pewność, iż przez powolność łatwiej się usprawiedliwić lub ułaskawienie monarchy uzyskać potrafi, sprzeciwiły się jego oddaleniu ze stolicy, w której spokojnie sądowego rozstrzygnienia sprawy oczekiwać postanowił.

Dnia pewnego wrócił z audyencyi sądowej mocno

zagniewany do swego mieszkania; milczał ciągle i z nikim widzieć się nie chciał. Gdy w głębokiem zamyśleniu samotnie przy oknie siedział, wpadł do izby wierny Kulik cały zaperzony, z okiem mocno podbitem i z podartą odzieżą i rzekł:

— Panie! a niechże Pan poskromi tych hołyszów, bo im sam rady dać nie mogę.

— Gdzie i kogo? — zapytał zdziwiony Ruszczyc.

— Tutaj o kilka kroków, w tej szynkowni na rogu. Ot jak mię zbili i poodzierali, alem i ja nie żałował, tylko że ich było za wielu; ale niech Pan pozwoli mi wziąść więcej ludzi na pomoc, to ja ich poskromię i tego obiboka ich pryncypała przed Pana przyprowadzę.

— Co ty pleciesz? — zawołał Ruszczyc zrywajac się z gniewem; — nie dosyć żeś się dał pobić po pijanemu, ale jeszcze śmiesz hultaju wpadać tu do mnie jak opętany, i mieszać mnie do twoich szynkowych sprawek.

— Panie! — odpowiedział Kulik z mocą, bijąc się ręką w piersi, — ja Panu wiernie służę i takem dziś trzeźwy jak ryba w wodzie; a jeżeli mi się włosów nadarli, jeżeli oka ledwo nie wysadzili z głowy, wszystko to dlatego się stało, że ja Pana kocham i żem zawsze gotów zginąć za niego.

— Cóżto znowu takiego? — zapytał łagodniej Ruszczyc; — toś ty się bił za mnie; a to dlaczego i z kim?

— Ja wszystko Panu opowiem, ale niech tylko wprzódy skończę z tamtemi gałganami i niech Pan mi da pomoc, żebym im mógł dać radę.

— Nie, powiedz wprzódy o co rzecz idzie, a potem ja zobaczę co czynić wypadnie.

— Oto tak... Ale oni tymczasem uciekną... No, oto tak.. krótko powiem, jak najkrócej. Poszedłem sobie zwyczajnie napić się piwa, bo mi się pić chciało, bo dzisiaj parno, kto wie czy nawet deszcz nie będzie padał; wchodząc do szynkowni, zastałem kikunastu dworskich, którzy w pliszki grali. Co mi tam do waszych pliszek, pomyślałem sobie, jeszczeby mnie tak tłukli jak tego, co oto chłopem został, bo najtęższy hajduk był właśnie podstarościm. No i tak minąłem ich i usiadłem sobie na lawie. Zawołałem na szynkarkę, a ona postawiła kufel piwa przedemną, ja sobie piłem spokojnie.

— A za cóż cię pobili? — przerwał zniecierpliwiony Ruszczyc.

— Zaraz Panie, jeszcześmy tam nie doszli. Ja sobie tedy piłem piwo spokojnie i nic nie mówiłem tym dworskim. W tem wchodzi jakiś wysmukły, cienki, w kontusiku przy szablinie, właśnie kiedy jednego za pliszki bili. Przybliżył się do grających i powiedział:

— Oto to, bijcie a dobrze, bo ja lubię na to patrzyć, a zwłaszcza kiedy z rozkazu sądowego pachołki baty liczą. Co to za jeden? pomyślałem sobie, co on też dalej powie? Aż on zawołał piwa! i powiada:

Uschło mi dzisiaj w gardle, bo dużo spraw było i nakrzyczałem się: *Panowie strony uciszcie się!*

— A no, to do Wać Pana, panie woźny, powiedział któryś dworski i podał mu kufel piwa.

— Mniejsza o to co pili albo mówili — przerwał

znowu Ruszczyc; — powiedz tylko jak ci się te guzy dostały.

— Ten woźny, bo to był jeden od sądów ziemskich, zaczął się tedy, krótko mówiąc, rozwodzić nad sprawami jakie dzisiaj osądzono, i w końcu powiedział:

— Skazaliśmy jednego szlachcica na grzywny i na sześć miesięcy wieży, i z tego się najbardziej cieszę, bo to jeszcze szlachcic od dworu królewskiego. — A to który? zawołali wszyscy, jakby im co do tego było. A tenci, odpowiedział mój woźny, co to przed kilkoma dniami chciał Francuza zabić. To mówiąc, poważył się niecnota nazwisko pańskie tym hołyszom wyjawić. Jakem to usłyszał, było mi tak naprzód, jakby mnie kto zimną wodą oblał, a potem tak, jakby mi był gorącego oleju w gardło nalał; zerwałem się z miejsca, wywróciłem, bom pchnął nogą, stolik ze dzbanem piwa; poszedłem prosto do woźnego, zajrzałem mu brzydko w oczy, i zapytałem o kimby mówił? A tobie co do tego? odpowiedział. Co mi do tego? ja mu znowu na to; tyś gadał o moim panie, tyś śmiał powiedzieć że on pójdzie na wieżę. — I cóż tego? powiedział woźny i usunął się nieco odemnie, właśnie tyle, ile potrzeba było, ażebym miał większy zamach. Ja też niewiele myślący, jak go trzasnę w pysk, to się aż nogami przykrył. Zerwałci się niedługo, dobył szabliny, przyskoczył do mnie, alem ja ją kijem z garści wytrącił i byłbym mu dał pamiętne na jaki miesiąc, gdyby ci pliszkowi nie byli mu przyszli w pomoc, i ci mię też właśnie tak poturbowali.

— Nie było za co brać plagi — rzekł Ruszczyc;

— lepiejbyś był zrobił, gdybyś się do tego wszystkiego nie był mieszał, bo byś teraz podbitego oka nie miał.

— Co? ja? odpowiedział żywo Kulik — jabym miał siedzieć jak gap za stołem, kiedy kto pana mego szkaluje! to się na mnie nie pokaże i choćby mi mieli drugie oko jeszcze lepiej podbić, to się tam jeszcze wrócę, i ten skórkanabuty pozna, jak ja biję kiedym zły.

— Dobrzećto mój kochany — odpowiedział Ruszczyc — że się za twoim panem ujmujesz, ale nie chodź już do szynkowni, bo by się i z tobą źle skończyło.

— Jakże, proszę Pana — rzekł Kulik — kiedy on powiedział że Pan na wieżę skazany.

— Ha, cóż robić? — odpowiedział Ruszczyc, ruszając ramionami — on prawdę mówił i trzeba się będzie podobno tam przenieść.

Na te słowa cofnął się Kulik parę kroków w tył, załamał ręce, i patrząc na pana z wyrazem smutku i zadziwienia, rzekł:

— Co? Panie mój kochany! ciebie, Panie, skazali na wieżę, ciebie, którego nasz król tak kocha! tegożeśmy się doczekali Panie, po tak długiej wojaczce, po tylu ranach pod Wiedniem i na Bukowinie otrzymanych! Nie, to król o tem nie wie, on tego nie kazał, znać że go tu nie ma, bo by on na to nie pozwolił. Wielmożny Panie, niech Pan siada i pisze duchem list do króla, ja pójdę tymczasem okulbaczę siwosza i zaraz pojadę do Grodna, i pójdę do króla i tak mu powiem: że oto list od Wielmożnego Pana, że pilny, bo chcą mego Pana ukrzywdzić. Niech Pan pisze, ja exnunc pojadę i niedługo się wrócę.

— Dobry stary — odpowiedział na to Ruszczyc z rozrzewnieniem — jeszcze nie zaraz będę twojej usługi potrzebował; muszę się wprzódy namyśleć co mi czynić wypadnie, a ty bądź spokojny, nic się twemu Panu nie stanie, wszakże mnie Pan Bóg już nie raz ze złej przygody wybawił.

Zamilkł Kulik, spuścił ponuro oczy i po chwili namysłu wyszedł mrucząc z pokoju.

Trzeciego dnia po zapadnięciu wspomnionego dopiero wyroku, wszedł do mieszkania Ruszczyca, nie małe w nim wzbudzając zadziwienie, Wota, i kłaniając mu się najuniżeniej przeprosił go na samym wstępie za to, że go śmie nachodzić i że się może stanie natrętnym. — Ale — dodał powtarzając uniżony ukłon, — przychodzę ja stosownie do powołania mojego pocieszyć strapionego i przynieść, jeśli można, ulgę jego cierpieniom.

— Dziękuję bardzo — rzekł Ruszczyc, oddając mu ukłon uprzejmy lecz obojętny, i zaprosił go do zajęcia miejsca, poczem mówił dalej: — Moje strapienie nie jest tak ciężkie, bo mam sumienie czyste, a powody mego postępku są tak słuszne, iż pewny jestem uniknąć surowości wyroku, odwołując się do łaski królewskiej.

— Bez wątpienia — odpowiedział Wota — zwłaszcza że Wy jesteście tak dobrze położeni u Najjaśniejszego Pana, iż się przychyli do wszelkiego życzenia Waszego. Ale nim to nastąpi, moglibyście doznać jakiej nieprzyjemności, gdyby sąd chciał naglić o wykonanie wyroku, a jakiego jeszcze wyroku!... — dodał składając ręce i wznosząc je z wyrazem zgrozy do góry.

— Cóż robić? — odpowiedział obojętnie Ruszczyc — prawa krajowe są takie, trzeba im się poddać.

— Prawa? — rzekł żywo Wota — i Wy to wierzycie, że Was prawa pokonały? Wy się macie pro jure victo? a wieluż to innych toż samo prawo omija? wieluż to bezkarnie nietylko wyzywa, ale zabija ludzi w pojedynkach? A Wy jedni z pomiędzy wszystkich macie paść ofiarą srogości ustawy wydanej dla tych tylko, których z góry potępić pragną!

— Ja Was nie pojmuję — rzekł Ruszczyc, patrząc na Wotę z podziwieniem — wyżeścieto, ten potajemny niegdyś posłannik królowej, który mnie do podstępnego działania nakłaniał? Wy, co na skinienie panów swoich wszystko wykonać gotowi jesteście, Wy dzisiaj poważacie się litować nad losem potępieńca? Wy się oburzacie na surowość, której on się stał ofiarą?

Na te słowa uniósł Wota głowę do góry i rzekł z wyrazem zmyślonej godności. — Nie dziwię się temu, że tak źle o mnie sądzicie, boście wówczas, kiedym Was chciał nakłonić do sprzyjania widokom królowej, powodów moich uznać nie chcieli, i odtąd odemnie zawsze stronili; lecz wiedzcie teraz, iż mój sposób myślenia najczystszemi zawsze pobudkami jest powodowany. Ja we wszystkiem, cokolwiek przedsiębiorę, mam jakiś cel wyższy, i gdy dobro ludzkości lub bliźniego serce moje zajmuje, działam według przekonania, mało na to zważając, czy się ludziom przedsiębrane przezemnie środki podobają. Jeżelim wówczas chciał Was nakłonić do tajemnego wyśledzenia zamiarów przeciwnej dworowi strony, uczyniłem to w tym celu, ażeby zbliżyć zwaśnione umysły

i oddalić przyczyny niechęci Monarchy ku narodowi; a ponieważ nie można było pokonać złośliwych, nie znając ich zamiarów, doradzałem użyć mniej godziwego środka, aby tylko cel pospolitego dobra osiągnąć. Jeżeli zaś dziś do Was przychodzę, idę w tem tylko za natchnieniem zgrozą przejętej duszy; chcę dobrze uczynić bliźniemu bez względu, co na to potwarcy mówić będą. Wiem ja o tem, że ten krok mój nie ujdzie baczności zawistnych mi ludzi, że oni, znając wyraźną niechęć królowej ku osobie Waszej, potępią samę bytność moję u Was, doniosą gdzie wypadnie o znoszeniu się mojem z Wami, ażeby mi szkodzić przed Najjaśniejszą Panią; lecz ja im na to odpowiem otwarcie, że jestem i będę Waszym przyjacielem, i że pomimo wszelkich zabiegów nienawiści, choćby w obec samych Monarchów niewinności Waszej bronić będę.

— A, dziękuję Wam uniżenie za te oświadczenia przychylności pełne, ale rozumiem, iżbyście się niepotrzebnie narażali, na jaką niełaskę w tej mojej sprawie, którą ja sam załatwić potrafię.

— Nie, — rzekł żywo Wota — nie spuszczajcie się na to, że Wam łatwo będzie ujść prześladowania; bliższym ja jestem świadkiem wszystkiego co się działo, i wiem co przeciwko Wam uknowano.

— Cóż można było knować; — odpowiedział Ruszczyc — królowa kazała popierać sprawę przeciw mnie, a sędziowie musieli wydać wyrok z ustawami zgodny.

— I Wy to z tak zimną krwią o tem mówicie — rzekł zakładając ręce Wota — jak gdyby Wam przyjemnie być mogło przepędzić pół roku w więzieniu; bo

o tem możecie być pewni, że ta sama ręka, która Wam cios dotkliwy zadać chciała, potrafi wstrzymać tego, któryby Wam chciał ulgę uczynić, lub łaskę wyświadczyć. Nie ufajcie tak bardzo łasce królewskiej, bo ja wiem lepiej co z Wami uczynić postanowiono.

— I cóż takiego? — zapytał żywo Ruszczyc.

— Gdybym był takim, za jakiegoście mnie dotąd mieli — rzekł nieco ciszej Wota — tobym powinien zamilczeć teraz; lecz dla tego, ażebyście mnie lepiej poznali i ażeby Wam dać dowód ufności, jaką w Was pokładam, powiem Wam: że królowa postanowiła niedopuścić do króla żadnej prośby waszej o ułaskawienie, bo wie o tem dobrze, iżbyście je otrzymali, zwłaszcza, że i wyrok Was potępiający w niewłaściwem forum jest wydany, gdyż wtenczas nie było już sądów marszałkowskich, kiedy Was o wyzwanie Mondora poszukiwać zaczęto.

Na te słowa zamyślił się nieco Ruszczyc, spojrzał śledczem okiem na twarz Woty, i widział w niej wyraz godności i szczerości. Po chwili milczenia rzekł:

— Smutne jest położenie moje, gdy mi przychodzi paść ofiarą prześladowania, albo stać się przyczyną zgryzoty dla mego króla. Dziękuję Wam za to ostrzeżenie; będę z niego korzystał i sam pojadę do Grodna za Najjaśniejszym Panem.

Na to uśmiechnął się z politowaniem i ruszył ramionami Wota, mówiąc:

— I Wy myślicie jechać do Grodna nie pomnąc na to, iż nimbyście wyjechać zdołali, *wyrok bannicyi* na Was wykonany zostanie!

— Bannicyi! — zawołał Ruszczyc zrywając się ze stołka. — Jabym miał bez względu na moje zasługi w ojczyźnie być odsądzonym od czci i wiary i stać się tułaczem w obcym kraju?

— Czemu nie? — odpowiedział spokojnie Wota — byleby tylko złośliwość zamiary swoje wykonać mogła; bo Was ostrzegam, że się spodziewają tego, iż się do króla w podróż wybierzecie i że już są wydane rozkazy pojmania Was w tym razie i postąpienia z Wami, jako z osobą opierającą się prawomocnym wyrokom.

— Więc się już wszystko sprzysięgło na moję zgubę! — zawołał Ruszczyc z uniesieniem — i nikt mi w pomoc nie stanie?

— Nie rozpaczajcie jeszcze — rzekł Wota — przystępując do niego i ściskając mu serdecznie rękę; — ten, któregoście tak źle osądzili, chce Was przekonać o swojem sercu. Dziś jeszcze odjeżdżam do Grodna: piszcie w ten moment suplikę do króla, a ja wam ręczę za pomyślny skutek próśb Waszych.

Wykonał Ruszczyc co mu doradzono, i ściskał, doręczając list, tę rękę, która mu cios zabójczy zadawała, a Wota umiał zachować wyraz godności na twarzy póty, póki on na niego patrzał; lecz uśmiech uradowanej złości zajął jego miejsce, skoro tylko próg mieszkania przestąpił.

XIX.

Pozna, że szczęście i chwała
W nadziei tylko istniała.
Brodziński.

Zapowiedziany wyjazd Woty do Grodna nastąpił w samej istocie nazajutrz po widzeniu się jego z Ruszczycem. Oddawna już niecierpliwie oczekiwał na sposobność dopełnienia poruczonych sobie zleceń względem naszego bohatera, ażeby mógł pospieszyć do ważniejszych czynności, do jakich mu rozpocząć się mający sejm grodzieński pole otwierał. Właśnie w samę porę przybył do Grodna: dwór cały był w największem poruszeniu. Król zmartwiony, zajęty łagodzeniem umysłów i zjednaniem sobie stronników między najmożniejszymi panami, którzyby czoło Sapiehom stawić mogli; a królowa rozjątrzona i zemstą tchnąca o zniewagę księciu Jakóbowi świeżo wyrządzoną, przez to, że sejmujące stany nie chciały mu dozwolić zajęcia miejsca na publicznych obradach obok króla.

Rozkazy były dane, ażeby za przybyciem oczekiwanego Woty natychmiast go do królowej przywołano. Ta wiadomość uradowała go niezmiernie; gdy mu ją oświadczono, zaiskrzyły się oczy chciwą chęcią działania i rumieniec osiadł na zwiędłych licach, przez nadzieję znaczenia i intrygi wzniecony.

Gdy się stawił przed królową, zastał ją siedzącą w krześle, słuchającą z wyrazem niecierpliwości sprawy przez jednego z dworzan sobie zdawanej. Pani de Feud'herbe stała za stołkiem i pilnie śledziła każde jej poruszenie, aby uprzedzić wszelkie jej życzenia. Gdy

oznajmiono Wotę, osiadł na ustach królowej tryumfujący uśmiech, obróciła się ku ochmistrzyni dworu, i skłaniając lekko głowę, spojrzała na nię z tym wyrazem, który większą pewność wykonania mianych zamiarów maluje; poczem dała znak dworzaninowi oddalenia się, a ten wychodząc wpuścił do pokoju Wotę, który w drzwiach jeszcze z niskim bardzo ukłonem przepraszał uniżenie królowę, że śmie w podróżnym ubiorze stanąć przed nią.

Królowa powitawszy go uprzejmie, zaczęła mu czynić wyrzuty o spóźnienie przyjazdu swego.

— Nie można było prędzej — rzekł Wota, i przy tem obejrzał się ostrożnie na wszystkie strony. — Uzyskanie wyroku i wstrzymanie wszelkich zabiegów z jego strony czynionych, potrzebowało czasu. Ale za to mogę ręczyć, że wszystko jak najlepiej idzie i w tym momencie nasz brygadyer bez wątpienia do wieży przeniósł swoje mieszkanie, ufny w łasce królewskiej, do której się niniejszym listem odwołuje. — To mówiąc, podał królowej wiadomy list Ruszczyca, który ona nie czytając do palącego się na kominie ognia wrzuciła. Poczem rzekła:

— Mniejsza o brygadyera; dobrze kiedy jest pod zamknięciem, ale to interes bardzo małej wagi w porównaniu z tym, który mnie teraz zajmuje, smuci i gniewa. Znieważono syna mojego. Królewicza, następcy tronu, nie chce harda szlachta widzieć obok ojca na obradach publicznych, i to w jakiej chwili jeszcze! wtedy, kiedy się ma żenić, kiedy go wysełam do Berlina, ażeby się starał o rękę księżnej z Radziwiłłów Brandeburskiej.

— Czyż być może! — zawołał Wota — to zdarzenie

może szkodzić dalszym zamiarom księcia, odstręczyć bogatą księżniczkę z powodu, że miłości narodu nie posiada.

— Czuję ja to dobrze — odpowiedziała żywo królowa — i nie wiem co mam czynić.

— Czy zamiar wysłania księcia do Berlina — zapytał po chwili namysłu Wota — jest już publicznie wiadomy.

— Nie, prócz nas i familii nikt więcej na dworze i słowa o nim nie wie i wiedzieć nie powinien.

— To dobrze — odpowiedział Wota — trzeba jak największą tajemnicę o tem wszystkiem zachować, bo gdyby się cośkolwiek wyjawić miało, więcejby się może jeszcze niechętnych i szkodzić chcących znalazło. Możeby dobrze było udać obojętność względem uchybienia królewiczowi, bo tym sposobem wszystko się zatrze i zapomni, nim on podróż swoję przedsięweźmie.

— Obojętność! zawołała z gniewem królowa, zrywając się z miejsca — chybabym nie była matką i królową, gdybym podobną obrazę z zimną krwią znosić miała.

— A zapewne — rzekł, odskakując na bok Wota — przecież można obmyślić sposób pomszczenia się zniewagi; ale zawsze trzeba to zrobić tak potajemnie, ażeby się nawet nie domyślono, że od Waszej Królewskiej Mości zamach pochodzi, i że jest odwzajemnieniem za uchybienie królewiczowi.

— A to dlaczego? — zapytała żywo królowa.

— Ha — odpowiedział, przedłużając ten wyraz Wota i podnosząc nieco ramion do góry — Wasza Królewska Mość czujesz to dobrze, że należy ile możności zataić przed światem, iż cośkolwiek nieprzyjemnego między

królewiczem a narodem zaszło; bo gdyby się to miało donieść do Berlina...

— Jakże się coś podobnego ma utaić? — zapytała dalej królowa — życzenie nasze jest wszystkim wiadome, opór był równie jawny, a gdy się obrady sejmowe rozpoczną, każden pozna, że szlachta na swojem postawiła.

— Więc niech się nie rozpoczną — rzekł Wota z przyciskiem, i z pewnym wyrazem uciechy z dobrej myśli, którą właśnie podawał.

— Jakto niech się nie rozpoczną? — zapytała królowa — a to dlaczego i jakim sposobem?

— Dlaczego? — rzekł Wota — skoro nie będzie obrad sejmowych, nie wyjdzie to na jaw, że szlachta na swojem postawiła. Jakim sposobem? cóż łatwiejszego jak sejm w Polsce zerwać?

— Dobrze mówisz — zawołała uradowana królowa — jakżeś też w porę przybył! jak zbawienna twoja rada! Dobrze, sejm będzie zerwany nim jeszcze Izba marszałka dostanie.

Taki był skutek narady z nowo przybyłym doradzcą. Umyślono na niej zająć się niezwłocznie wykonaniem dwóch postanowień bez wiedzy tych, których to najmocniej obchodziło: to jest, zerwać sejm pomimo woli i wiedzy królewskiej i rozporządzić ręką księcia Jakóba bez jego wiadomości, a tem bardziej bez wiedzy Maryi, która się właśnie takiego wypadku wcale nie spodziewała.

Królowa, działając tajemnie w tym dwoistym przedmiocie, oczekiwała już tylko powrotu wysłanego dawno agenta do Berlina, który miał przywieźć wiadomość,

czy był czas sposobny do tego, ażeby królewicza wysłać do tej stolicy. Gdy tenże z pomyślnemi nowinami przybył, oznajmiła synowi postanowienie rodzicielskie, i pod tajemnicą tę radośną udzieliła mu wiadomość, że księżna wdowa brandeburska na przyjazd jego i na staranie się o rękę swoję zezwala.

W tym dniu właśnie, kiedy się to działo, była Marya najweselsza, a bez żadnego przeczucia zgryzot, jakie na nią czekały, chciała dzielić z kilkoma towarzyszkami swemi wesołość, którą była ożywiona, i poszła z niemi na przechadzkę nad brzeg Niemna, ażeby świeżem powietrzem wolniej oddychać. Po długiej zabawie z dziecinną roskoszą dzielonej, wracała z towarzyszkami do domu. Już blisko były miasta, gdy usłyszały za sobą tentent konia i zelżywe wyrazy jeźdźca, który znużone zwierze do wydobycia sił ostatnich znaglał. Na ten hałas zatrzymały się, zeszły na bok z drogi, a jeździec, mijając je, przerwał na chwilę krzyk i popędzanie konia, ażeby zdjąć przed niemi czapkę i po chrześciańsku je pozdrowić. Znużony koń korzystał z przerwy stąd wynikłej, stanął z mocnem, jak się zdawało, przedsięwzięciem niepostąpienia i krokiem dalej, zwłaszcza że drżenie nóg, mocne robienie bokami i opuszczenie głowy okazywało wycieńczenie wszelkich sił jego. Rozgniewany jeździec ponowił już teraz bezskuteczne razy i najdobitniejszych wyrazów złości dobierał.

— Ach! na miłość boską — rzekła litością zdjęta Marya — nie katujcież tak tego konia, wszakżeście już prawie ducha z niego wypędzili.

— A niech zdycha! — zawołał jeździec — ja mało

dbam, o to, czy go tu lub gdzieindziej wilki zjedzą, byleby jak najprędzej stanął gdzie mi potrzeba.

— Jeżeli dalszą jeszcze macie drogę przed sobą — rzekła jedna z towarzyszek Maryi — to podobno piechotą pójdziecie, bo koń ten już dalej nie postąpi.

— A to zostańże tutaj, bestyo — rzekł zsiadając z konia jeździec — kiedy nie chcesz tak wiernie jak ja twojemu panu służyć. Za pozwoleniem, moje Panie — dodał obracając się do Maryi — kędy ja tu pójdę do króla? na której ulicy on mieszka? gdzie się o niego dopytam?

— I to wy się do króla tak spieszycie — odpowiedziała z uśmiechem Marya — a czegóż wy od niego chcecie?

— Czego chcę? — odparł żywo nieznajomy — długoby to było o tem gadać, a ja nie mam czasu do stracenia i muszę iść dalej, a Państwo kiedy się ulitowało nad moją szkapą, to dajcie baczenie na niego jak się tu będzie pasł na trawie, ja niedługo powrócę.

— Niedługo powrócicie? — zapytała Marya — a chcecie się z królem widzieć?

— Czemu nie? — odpowiedział jeździec — król jest sprawiedliwy i dobry, bo mój pan tak zawsze o nim mówił; kocha mego pana i mój pan go kocha; będę mu się od niego kłaniał, powiem o co mi chodzi. Ale czegóż ja próżno gadam, nie zabawiajcie mnie Panie.

— Nie, mój bracie — rzekła łagodnie Marya — my was próżno nie chcemy zabawiać, my możemy wam być pomocne w tem, ażebyście widzieli króla, bo to nie tak łatwo.

— Ej zaś! — odpowiedział jeździec — albo go ja to raz widział, kiedy pod Wiedniem przejeżdżał nasze szeregi i kiedy wespół z naszą chorągwią ruszał naprzód przeciw Bisurmanom.

— Dobry człowiecze — zawołała żywo Marya — toście wy byli pod Wiedniem?

— Ej co tam z Wiedniem — rzekł nieznajomy — kiedy mnie do Grodna pilno. No, albo mi pokażecie panie drogę do króla, albo nie.

— Jak najchętniej, odpowiedziała Marya — tylko dajcie się przekonać, że tutaj tak łatwo króla widzieć nie będziecie; bo to co innego na wojnie, widzicie, a co innego teraz i podczas pokoju; my to lepiej wiemy od was, bo my wszystkie jesteśmy od dworu królewskiego.

— Od królewskiego dworu! — powtórzył z zadziwieniem nieznajomy, zdjął czapkę z uszanowaniem i mówił z wyrazem politowanie wzbudzającym — kiedyście wy tak możne Panie, zmiłujcie się nad biednym człowiekiem, który za pana swego w piekłoby poszedł, za pana dobrego, którego osadzili w wieży niewiadomo za co; dla którego każda godzina jest ciężką, bo w strapieniu spędzona. Zmiłujcie się nademną, poprowadźcie mnie do króla, bo on każe wypuścić mego pana.

— A któż jest waszym panem? — zapytała z ulitowaniem Marya — co wy za jedni?

— Mój pan! — rzekł jeździec — o, wy go znać musicie dobrze: był on zawsze przy królu i królewiczu, był od nich kochany aż dotąd, póki się nie ujął za jakąś niewdzięcznicą, co go nie chciała za męża i za

nią Francuza jakiegoś chciał skarcić; wy go znać musicie jeżeliście ode dworu. To Pan Ruszczyc, brygadyer, a ja jego stary sługa, Kulik.

Na te słowa zbladła Marya; rozweselone jej spojrzenie zaszło ciężkiem strapieniem; wyraz boleści przez wyrzuty sumienia wzbudzony malował się na twarzy; milczała, lecz błagające oko na towarzyszki swoje zwróciła, jak gdyby pomocy i pobłażania od nich żądała. Jedna z nich podała jej tkliwie rękę i rzekła do Kulika:

— Nie obwiniajcie narzeczonej pana waszego o jego nieszczęście, bo ona sama cierpi na tem: patrzcie, jakeście ją tą nowiną zmartwili.

— Jak to? — rzekł Kulik — to to Panna Modrzejowska? Widzęć że się zasmuciła, ale po niewczasie pono: bo gdyby była dbała o pana mojego, toby była już dawno upadła do nóg królowi i powiedziała mu tak: Mości królu! nie dajcie robić krzywdy swemu słudze, a narzeczonemu memu. Bądźcie zdrowe, moje Panie, nie mam ja się czego dobrego po was spodziewać.

— Dobry człowiecze! — zawołała rozżalona Marya, zbliżając się do Kulika i zatrzymując go za rękę — gorzkie i trapiące są wasze wyrzuty, ale nie odmawiajcie mi waszego zaufania, a wkrótce was przekonam, jak mocno mnie los pana waszego obchodzi.

To rzekłszy, zwróciła się ku miastu i zdołała wraz z towarzyszkami nakłonić Kulika do tego, iż za niemi poszedł i że im sprawę swoję poruczył.

Wróciwszy do dworu, zajęła się natychmiast obmyśleniem sposobu jak najrychlejszego widzenia się z

królem; lecz wielkie w tem spotykała przeszkody, bądźto dla tego, że monarcha był ważnemi bardzo sprawami zajęty, bądź też że dla słabości z pokojów swoich nie wychodził. Przewidując że przez dni kilka nie znajdzie może sposobności zaniesienia prośby do niego, a żywo przejęta chęcią dopomożenia Ruszczycowi, postanowiła użyć pośrednictwa siostry królewskiej i niezwłocznie się do niej w tym zamiarze udać. Książe Jakób był wówczas właśnie u ciotki swojej, a mając myśl zajętą świeżo oświadczonem sobie życzeniem rodziców, rozmawiał z nią o tej, o której rękę miał się starać.

— Szkoda jednak, że jej nie znam — rzekł — bo obok względów majątkowych, któreby mnie do zawarcia tego małżeństwa nakłonić mogły, radbym także, ażeby wdzięki i przymioty serca przywiązanie ku niej wzbudzić mogły.

— Będzie czas na wszystko — odpowiedziała księżna wojewodzina — poznacie się i pokochacie wkrótce, bo księżna brandeburska łączy w sobie zewnętrzne powaby z tem wszystkiem, co twoje szczęście ustalić może. Wszakże ja zawsze byłam za nią. Pamiętasz, iż wówczas kiedy ci odmówiono księżniczki austryackiej, radziłam ci abyś o niej pomyślał. Było to, jeżli się nie mylę, w Wilanowie; ona jeszcze wówczas była panną Radziwiłłówną, ja obstawałam za nią szczególniej dlatego, że narodowi miłoby było, gdyby przyszły król jego nie miał cudzoziemki za żonę.

— Ale ja mam mało nadziei — odpowiedział książe — ażeby mi się dobrze powiodło, zwłaszcza gdy wspo-

mnę na zły skutek, jaki miały dawniejsze zabiegi nasze o jej rękę.

— Wówczas inni działali dla ciebie — rzekła księżna Radziwiłłowa — teraz ty sam o pozyskanie jej serca starać się będziesz; tylko trzeba żebyś okazywał tę żywość w uczuciach, na której ci podobno nie dostaje, bo zwykła oziębłość twoja wszystko zepsuć może.

— Zwykła oziębłość moja? — odpowiedział książe Jakób — to niesłuszny prawdziwie zarzut, wszakże jestem zawsze uprzejmy i uprzedzający dla kobiet; a jeżeli mię żadna stale nie zajęła, pochodzi to stąd, że na dworze naszym nie widziałem nigdy takiej, któraby mnie godną była. Nie chciałbym bowiem iść w ślady tych królów, którzy poślubili szlachcianki, a potem z tego powodu przykre tylko zatargi z narodem mieli.

— Ja rozumiałam wszelakoż — rzekła z uśmiechem księżna Radziwiłłowa — że była taka szlachcianka, która ciebie kiedyś nieco zajęła.

— Żadna! żadna! — zawołał książe Jakób z pewnym wyrazem dumy. — Rozumiem, do czego się to ma ściągać; ale przemijające upodobanie, skutkiem może samych nudów będące, nie może nigdy być poczytane za prawdziwe uczucie.

Właśnie gdy kończył te słowa, wszedł dworzanin i oznajmił przybycie Maryi. Rozśmiała się głośno księżna Radziwiłłowa, a książe Jakób zabierał się do wyjścia.

— Dlaczegoż się chcesz oddalać — rzekła ciotka, jakby z wyraźną chęcią szydzenia z niego — czy to nie śmiesz wystawić się na próbę?

— Jeśli o to chodzi — rzekł książe lekkomyślnie —

zostanę, abym okazał, jak dalece mnie niesłusznie posądzano.

Tymczasem weszła Marya. Mocne wzruszenie i smutek malował się na jej twarzy. Dała ukłon poszanowania księżnej, a rumieniec pokrył jej lica, gdy się do księcia z ukłonem obróciła; lecz mocne zajęcie się przedmiotem, dla którego przybywała, nie dozwoliło jej dostrzedz wymuszonej obojętności i dumy, którą on okazać usiłował. Nie czekając na przemówienie księżnej, zbliżyła się Marya ku niej, i całując rzewnie jej rękę, rzekła:

— Księżna Pani! ty, która mi tylekroć dałaś dowody nieograniczonej łaski twojej, racz mi dzisiaj przynieść ulgę w ciężkiem strapieniu mojem, i wyjednać łaskę królewską dla poczciwego człowieka, który z mojej przyczyny cierpi. — Tu opowiedziała Marya wiadome zdarzenie, i rozwodziła się nad tem, jak wiele cierpić musi Ruszczyc, że wtedy w więzieniu jest zamknięty, gdy mógłby być użyteczny królowi swemu. Księżna Radziwiłłowa okazała udział w strapieniu Maryi, i chęć przyniesienia jej ulgi. Królewicz zaś rzekł z uśmiechem.

— Zbytnia to troskliwość; kto zna czem jest siedzenie w wieży dla szlachcica polskiego, ten wie dobrze, iż mu poniekąd winszować można, że ma sposobność prowadzenia odmiennego życia przez czas na mniemaną karę przeznaczony, i przekonania się, jak wielu posiada przyjaciół, którzy jego więzienie osłodzić i przez zabawy chwile skrócić mu usiłują.

Na te słowa zwróciła Marya zdziwione spojrzenie na księcia, i rzekła z mocą lecz z uszanowaniem razem:

— Rozumiem, iżby mu milej było widzieć tych, którym kiedyś wyświadczył usługę, wywdzięczających mu się za to usilnem staraniem o przywrócenie mu wolności.

— Nie, w samej istocie zbyt to czule bierzesz moja Panno Modrzejowska — rzekła księżna Radziwiłłowa — bo to jest rzecz bardzo zwyczajna, która, zaręczam, samego Ruszczyca mało obchodzi.

— Znam ja wielkość obowiązków moich, odpowiedziała smutnie Marya — wiem com winna człowiekowi, który dla mnie życie swoje narażał. Chęć dopełnienia tego obowiązku i pamięć tych łaskawych względów, których od Waszej Książęcej Mości zawsze doznawałam, były mi powodem do tego, iż poważyłam się nieść z ufnością prośbę do Waszej Książęcej Mości o pośrednictwo jej do króla. Lecz teraz o przebaczenie tylko prosić mi wypada za to, żem śmiała być natrętną.

— Cenię słuszność twoich powodów — rzekła księżna Radziwiłłowa — i nie chciałabym ci odmówić tego o co prosisz; ale pomnić winnaś na to, że Ruszczyc obraził Królowę, i że mnie nie wypada prosić za nim, skoro są słuszne powody niechęci ku niemu.

— Nie śmiem naprzykrzać się dłużej księżnej Pani — rzekła skromnie Marya. Lecz — dodała spuszczając oczy na ziemię, i obracając mowę do księcia Jakóba — czyliżby Wasza Książęca Mość nie raczył się wstawić za swoim towarzyszem broni, i za tym wiernym sługą, który zawsze był gotów życie swoje jemu poświęcić.

— Bez wątpienia — odpowiedział nieco zmieszany książe Jakób — mam obowiązki przyjaźni i wdzięczności względem Ruszczyca; powinienbym zapewne starać się

o jego uwolnienie, ale... — Przy tem przerwał mowę, jak gdyby nie chciał dalszych powodów przytaczać, a żywe spojrzenie Maryi, która śledczy i zdziwiony wzrok na niego zwróciła, przedłużyło jego milczenie, tak dalece, iż księżna Radziwiłłowa uznała potrzebę dania mu pomocy w jego pomieszaniu i rzekła:

— I królewiczowi nie wypada sprzeciwiać się woli matki, i narażać się na jakie wyrzuty z jej strony, zwłaszcza dla rzeczy tak małej wagi.

Żywy rumieniec okrył lica Maryi; wstyd i żal ścisnął razem serce; oziębłość i niewdzięczność królewicza silne na umyśle czyniły wrażenie; pomieszanie jej było wielkie; czuła walkę najsmutniejszych uczuć w sercu, i obawiała się okazać na jaw co się w niem działo. Dlatego zebrała wszystkie siły, skłoniła się z poszanowaniem księżnie, z daleka nieśmiały dała ukłon królewiczowi, który obojętnie przez okno wyglądał, i w milczeniu odeszła.

XX.

Dziś go jeszcze niezdolnym podłości sądziłam;
Co mówię?... dziś... przed chwilą... jak bóstwo go czciłam.
A on, niestety! ludziom podobny jest innym.
Jakżebym rada sama znaleźć go mniej winnym!
. . . . . .
O przyjaźni! miłości! nie ma was na świecie!
Wy lube sny mej duszy na zawsze niknicie!
Feliński w Barbarze.

Z najsmutniejszem wrażeniem na umyśle wracała Marya do swojego mieszkania, i mijała wszystkich szybko,

jak gdyby chciała jak najprędzej wrócić do samotności, zamknąć się przed wszystkimi z własnem tylko sumieniem i doświadczyć bolesnego ciosu zawiedzionego oczekiwania. Przechodząc koło zamku królewskiego, usłyszała jakiś krzyk mocny, tak silny, że zdołał przerwać jej dumanie, a zwróciwszy oczy w miejsce skąd pochodził, spostrzegła drabantów dworskich passujących się z człowiekiem, który im się silnie opierał. Zapytawszy się przechodzącego dworzanina, coby się to znaczyło? otrzymała w odpowiedzi, że to był jakiś człowiek podejrzany, który się chciał wedrzeć gwałtem do zamku, a którego marszałek wychłostać i z miasta wypędzić zalecił. Nie badała go więcej Marya, bo była nawykła do powieści o podobnych sprawach marszałkowskich. Gdy wróciła do mieszkania dam dworskich, dowiedziała się od towarzyszek swoich, iż ochmistrzyni dworu dwa razy już po nią przysyłała, i że kazała jej powiedzieć, iż z rozkazu królowej ma się natychmiast przed nią stawić. Nader był przykry dla Maryi ten rozkaz, nie dlatego, ażeby w niej jaką miał wzbudzać obawę, lecz że właśnie dla niej samotność najmocniej upragnioną była. Z niechęcią udała się przeto do Pani de Feud'herbe, która zerwała się żywo z miejsca za jej przybyciem, spojrzała się na nią z wyrazem ucieszonej złości, mającej właśnie przed sobą przedmiot swego prześladowania, a przywitawszy ją dumnie, usiadła i milcząc krzesło do zajęcia miejsca Maryi wskazała, poczem rzekła:

— Wać Panna chciałaś ułatwić wejście do zamku królewskiego podejrzanemu człowiekowi, który ze zbro-

dniczemi zapewne zamiarami chciał się koniecznie dostać do króla.

— Nie rozumiem tego zarzutu, — odpowiedziała zdziwiona Marya — o jakim Pani podejrzanym człowieku mówisz?

— Bardzo dobrze — odparła ochmistrzyni, poprawiając się na miejscu; — czelność i przytomność Waé Panny jest wielka, gdy idzie o zaprzeczenie nader jawnego już czynu.

— Proszę miarkować swoje wyrazy — rzekła żywo, wstając z miejsca Marya; — doświadczenie i wiek Pani powinien ją był nauczyć rozróżnić na pierwszy rzut oka zadumienie niewinności od zuchwałości występku: a żyjąc od tak dawna między nami powinnabyś wiedzieć o tem, że my błądzimy niekiedy zbytkiem otwartości, lecz obłudą uczuć naszych pokryć nie umiemy.

— Schowaj WaćPanna te niewczesne rady dla tych, którym będziesz miała prawo je dawać kiedyś — odpowiedziała z gniewem ochmistrzyni; — czcze słowa i zuchwałość nie mogą służyć za usprawiedliwienie nagannego postępku, jakiegoś się WaćPanna dopuściła.

— Gdybyś Pani nie była mnie w imieniu królowej żądała — rzekła z mocą Marya — powinnabym teraz milczeć i gardzić potwarzą, lecz gdy tu idzie o spełnienie woli Jej Królewskiej Mości, znosić muszę bolesne Jej wyrzuty i prosić przynajmniej o rychłe wyjawienie mej winy.

— Czy WaćPanna nie znałaś tego człowieka, który przed godziną, chciał się nawet gwałtownym sposobem

dostać do króla, i którego w dziedzińcach zamkowych schwytano?

— Zdaleka słyszałam zgiełk i dowiedziałam się, iż jakiegoś człowieka wypędzano, ale dotąd nie wiem coby to znaczyć mogło, i nic o nim nie słyszałam.

— Nie słyszałaś WaćPanna nic o nim? — zapytała z złośliwym uśmiechem Pani de Feud'herbe; — a cóżto był za jeden ów niby nieznany jeździec, którego się niby przypadkiem na spacerze spotkało i do zamku sprowadziło?

— O, co ten człowiek — rzekła spokojnie z uśmiechem Marya — o którym Pani tak dobrze uwiadomioną jesteś, ten w nikim, zaręczam, żadnego podejrzenia wzbudzić i bez wątpienia żadnych złych zamiarów nigdy mieć nie mógł.

— A jednak jestto ten sam — odpowiedziała żywo Pani de Feud'herbe — który się gwałtem do zamku wdzierał, i który zapewne nie od przyjaciół królewskich i nie w godziwym zamiarze nasłany został.

— Pani krzywdzisz naród cały — rzekła z uniesieniem Marya — jeżeli śmiesz przypuścić tę myśl nawet, że jest taki Polak, któryby przeciwko bohaterowi chrześciaństwa zbrodnicze mógł knować zamachy.

— Bez tych próżnych wykrzykników — odparła ochmistrzyni — odpowiedz WaćPanna wprost na to, o co się pytam. Czy znałaś WaćPanna tego człowieka? czyś ułatwiała mu przystęp do gmachów królewskich?

— Znam go — rzekła spokojnie Marya — i widząc że ma słuszną prośbę do łaskawego monarchy, ułatwiłam mu przystęp do tych progów, od których zwykle nie-

szczęśliwy lub uciśniony bez pomocy lub sprawiedliwości nie odstępuje.

— Czyliś WaćPanna nie miała jeszcze innych pobudek do tego postępku?

— O, miałam tak silne nawet pobudki do popierania prośby jego, iż postanowiłam upaść sama do nóg królewskich, aby mu łaskę królewską wyjednać.

— Wiemy o tem wszystkiem — rzekła z przyciskiem P. de Feud'herbe — ale i WaćPanna powinnaś była wiedzieć, że dobrze wychowanej damie nie przystoi zajmować się intrygami, a nadewszystko to jej powinno było być wiadomem, że królowa Pani nie cierpi tego, ażeby którakolwiek dama dworska miała się mieszać do spraw pospolitych.

— Znam ja dobrze obowiązki moje — odpowiedziała z godnością Marya — znam dostatecznie granice skromności, która poświęcenia jakiegoś od nas wymaga. Odkądże to jest nieprzystojnością lub występkiem wstawiać się za uciśnionym, błagać łaski królewskiej za prześladowanym?

— Jakkolwiek się WaćPannie zdaje, że znasz swoje obowiązki i żeś nic złego nie popełniła — rzekła dumnie ochmistrzyni, powstając z miejsca — oświadczam jej wszelakoż z najwyższego polecenia: że królowa Pani jest jak najmocniej przeciwko niej zagniewana, i że po raz ostatni daruje jej ten występek; jeżeli zaś kiedykolwiek spostrzeżone zostanie jakie porozumienie się WaćPanny z osobami u dworu źle widzianemi, jeżeli się kiedy poważysz zanosić jaką prośbę bezpośrednio do króla, natenczas ze dworu oddaloną zostaniesz.

To rzekłszy, zostawiła Maryą i oddaliła się do drugiego pokoju.

To tak nieprzyjemne zajście z osobą, która zawsze niechętną była ku Maryi, a bardziej jeszcze niesprawiedliwe posądzenie królowej i wyraźnie okazana chęć prześladowania, oburzyły Maryą i wzmogły nieprzyjemność uczuć, któremi zajęta była. W tym bolesnym stanie duszy szukać musiała samotności, i zbywszy obojętną odpowiedzią za powrotem swoim badające ją towarzyszki, zamknęła się w własnym pokoju, aby uniknąć wszelkiego natręctwa.

Zbyt wiele różnych bardzo uczuć miotało jej sercem, ażeby sobie z razu sprawę z nich zdać mogła. Zawiedzenie jej nadziei przyniesienia pomocy temu, który do jej wdzięczności tak wielkie miał prawo; odmówienie sobie tejże pomocy i zupełna obojętność ze strony królewicza na los swego towarzysza broni, któremu ocalenie z niebezpieczeństwa tylekroć był winien; wyraźna nienawiść królowej; dostrzeżenie, iż między jej towarzyszkami musi się znajdować osoba jej zaufania niegodna, która przeciw niej zeznanie jakieś uczyniła; przekonanie, iż nie ma przyjaciół u dworu: wszystko to przerażało umysł i najboleśniejsze wzbudzało uczucia. Długo milczała; usta drżały zapowiadając nastąpić mające większe rozrzewnienie; łzy zasnuły powieki, patrzała przed siebie, żadnych nie rozpoznając przedmiotów, i mimowolnie, jakby odgłos wewnętrznego czucia wyrzekła po cichu te dwa wyrazy:

— Niewdzięczny! nieczuły!

Płacz rzewny nastąpił po tem osłupieniu i żal tłu-

miony w głośnych odezwał się jękach, niosąc przez to ulgę wewnętrznemu strapieniu. W tem rozżaleniu bardziej jak kiedykolwiek uznała, jak smutnem było położenie sieroty nie mającej przy sobie ręki przyjacielskiej, któraby jej łzy otarła; opuszczona, sama sobie zostawiona, musiała czekać tej chwili, w której przywrócona przytomność umysłu właściwe położenie rzeczy ocenić i środki zaradcze przedsięwziąć pozwalała. Gdy ta pożądana chwila nastąpiła, głos sumienia ostrzegł dopiero, co najgłówniejszą jej ciężkiego strapienia było przyczyną. Bo gdy zdołała utulić płacz rzewny, nie stanął jej na myśli Ruszczyc w więzieniu zamknięty, ani dumna ochmistrzyni niesłuszne czyniąca jej wyrzuty, lecz ten królewicz, który obojętnie najusilniejszą jej prośbę przyjął, który nie chciał jej zadosyć uczynić, nad którym ona żadnej już nie miała mocy, który nawet nie spojrzał na nią, gdy ona mieszkanie księżnej Radziwiłłowej opuszczała. Obraz jego całą myśl zajął, a surowe sumienie wkrótce jej za winę to wyłączne nim zajęcie się poczytało. Jakkolwiek uznawała słuszność wyrzutów sumienia, długo wszelakoż nie zdołała oprzeć się słabości własnej.

— Może on nie śmiał przy ciotce swojej wynurzyć życzliwego czucia... dlaczegoż? wszak tu nie szło o mnie... Może wzbudziłam zazdrość w sercu jego, zajmując się tak żywo losem Ruszczyca? Nie, na jego twarzy nie było wyrazu zazdrości, na niej się zimna obojętność malowała. Może przemogła nad szlachetnem wzruszeniem obawa gniewu macierzyńskiego?... lecz może to być pobudką dostateczną do zaniechania najświętszych obo-

wiązków wdzięczności? jakażto słabość umysłu, kiedy dla uniknienia własnej nieprzyjemności cudze poświęcamy dobro? Może jeszcze uzna błąd swój, może mimo oczekiwania spełni moje życzenia?

Tak sobie dumała Marya, a przy tej ostatniej myśli westchnęła głęboko i tęskny wzrok ku drzwiom zwróciła, jakby jeszcze oczekiwała zwiastowania pocieszającej jakiej nowiny. Po chwili marzeń nastąpiło wspomnienie najpamiętniejszych zdarzeń pożycia, które ją nadzieją posiadania serca królewicza łudziły. To go widziała wjeżdżającego na czele zwycięzkich hufców, którym pod Wiedniem przywodził; wtenczas zapowiadał bohatera, godnego następcę obrońcy chrześcian; to go widziała w stroju polskim czyniącego zadosyć jej woli i zapowiadającego czciciela zwyczajów narodowych. Następnie przypomniała sobie, jak się ujmował za Ruszczycem, gdy cudzoziemiec z jego oziębłości szydził; wtenczas zapowiadał jej monarchę, który zaletę wiernych sług swoich cenić i cnotę nagradzać potrafi. Dalej widziała go wznoszącego błagalne oko do ojca, chcąc wstrzymać wypuszczenie tej strzały, która jej samej niebezpieczeństwem groziła. Któżby był wątpił wówczas, że to będzie tkliwy kochanek umiejący dzielić najsłodsze jej serca uczucia! Lecz nakoniec gdy doszła do tej chwili, która jej smutku była przyczyną, jakże znikały od razu wszystkie te nadzieje? jakże przykry, jak rażący był obraz, który miała przed sobą? Kto dla przyjaciela nie śmie się poświęcić, ani nawet na niejaką narazić się nieprzyjemność, ten bohaterem nigdy nie będzie. Kto z obojętnością słyszy o uwięzieniu zasłużonego wojownika

i wiernego sługi królewskiego, ten nie potrafi cenić ludzi według ich wartości. Kogo łzy niewieście, łzy osoby niegdyś ulubionej wzruszyć nie zdołają, ten nigdy nie kochał i zwodził tylko pozorem chwilowego upodobania.

— Tak jest, nigdy nie kochał, — rzekła głośniej Marya; i w ciężkim smutku pogrążona spuściła oko ku ziemi, z którego łzy na złożone jej ręce spadły. Po długiej chwili tej cichej boleści, porwała się z miejsca i osuszając łzy, które za świadki swej winy poczytywała, pomyślała sobie:

— I ja dla niego mogłam poświęcić człowieka najszlachetniejszych uczuć, który życie swoje dla mnie narażał, który niewątpliwie dowiódł, czem dla kraju być może? Dla niegożto ja stałam się wiarołomną, jemu poświęciłam drogą mi pamięć ojca mojego, i w występną odwłokę spełnienie jego ostatniej woli puścić mogłam? i teraz się jeszcze waham co czynić, stoję łzami zalana, jakbym żałowała tego, iż mi zasłona z ócz spadła; zdaje się, jak gdyby mi zbywało na odwadze do wykonania tego, czego najszlachetniejsze uczucia po mnie wymagają. Mamże jeszcze bardziej zaniedbać obowiązki moje, obowiązki, które na mnie wdzięczność i honor wkładają, a zastraszona próżnemi groźbami, nie dopominać się sprawiedliwości i pozostać dłużej u tego dworu, gdzie dopiero co najdotkliwszą obrazę znieść musiałam? Nie, okażę się godną i ojca, który mnie na polu chwały osierocił, i przyjaciela, którego on dla mnie przeznaczył.

Po takim namyśle siadła Marya do stolika i napisała list żalu i skruchy do ciotki swojej, w którym ją upraszała najusilniej, ażeby niezwłocznie przybyła do

Warszawy odebrać ją ze dworu. List ten za pośrednictwem służącej swojej natychmiast przez umyślnego posłańca odesłała; sama zaś wzięła na siebie pozór pokory i uległości w obec ochmistrzyni dworu, ażeby uniknąć dostrzeżonego już przez siebie śledzenia wszelkich postępków swoich i odzyskać przystęp do pokojów królewskich, który jej na pewien czas za karę był odmówiony.

Tymczasem nastąpił powrót dworu do stolicy, była to właśnie pora, do której Marya wykonanie swoich zamiarów odłożyć musiała; nie mogła bowiem nic skutecznie działać dla Ruszczyca póty, pókiby nie miała schronienia, do któregoby się udać mogła, porzuciwszy dwór królewski. W niepewności, czy ciotka dość wcześnie na jej wezwanie przybędzie, postanowiła schronić się do klasztoru PP. Sakramentek, za przybyciem swoim do stolicy, wykonawszy wprzódy to, czego jej wyraźnie królowa zakazała.

Lecz troskliwa podkomorzyna, zatrwożona listem, w którym panował ten nieład i owa gwałtowność uczuć, jakiemi przed jego napisaniem Marya przejęta była, z największym pospiechem dom swój opuściła i wkrótce po powrocie dworu do stolicy przybyła. Z dziecinną radością powitała ją Marya, i po wynurzeniu wzajemnych uczuć, po wyjawieniu tego wszystkiego, co zgryzot Maryi przyczyną było, uprosiła ciotkę, ażeby niezwłocznie wniosła prośbę do królowej o uwolnienie jej od dalszych obowiązków u dworu.

Uwolnienie to łatwo było uzyskać: raz dla tego, że Marya miała słuszne powody żądania onegoż, drugi

raz że ochmistrzyni dworu dawno już pragnęła widzieć miejsce wakujące między pannami dworskiemi, dla krewnej swojej niedawno z Francyi przybyłej. Do tego jeszcze zdawało się królowej, że oddalenie się Maryi będzie środkiem ukończenia wszelkich zatargów i plotek, do których wiadomy wypadek Mondora powód nastręczył.

Uzyskawszy więc żądane pozwolenie oddalenia się ze dworu, prosiła jeszcze o posłuchanie pożegnania, i postanowiła po raz ostatni pokazać się u dworu.

Gdy ten dzień nadszedł, dołożyła Marya największego starania w ubiorze swoim, i nie bez żalu przeglądała się w zwierciedle, przypatrując się po raz ostatni temu dworskiemu strojowi, który jej tak był do twarzy, w którym niegdyś tylu wielbicieli jej wdzięki wynosiło. Będąc już od dwóch dni u swojej ciotki, pojechała z nią razem do Wilanowa, i gdy wjeżdżała na dziedziniec zamkowy, dziwną jej się zdawało rzeczą, iż jako obca przybywa do tego zamku, gdzie przed upłynieniem krótkiego przeciągu czasu jako uczestniczka domu królewskiego przebywała. Gdy weszła do zamku, witali ją po drodze znajomi dworzanie: niżsi z wyrazem żalu wzbudzonego przez to, iż postradali tę, której względów i dobroczynności nie raz doznawali, a wyżsi z podobnem uczuciem dla tego, że w niej dwór ozdobę swoję tracił. Smutne uczucie przejęło jej serce, gdy przechodziła przez przysionki i pokoje, w których niegdyś zabawy monarsze dzieliła i wśród nich zwodniczą nadzieją błędne uczucie karmiła. Przykro jej było patrzeć na podwoje od dalszych pokojów królewskich, teraz zamknięte i dla niej nieprzystępne, i wspomnieć na to, iż tyle jej towarzyszek

ma w tej chwili pierwszeństwo przed nią i pewną wyższość, którą jej bez wątpienia za ukazaniem się swojem uczuć dadzą. Nieprzyjemne były dla niej żale przez obecnych wynurzane z powodu jej oddalenia się ze dworu, nużące badania przyczyn dla których to nastąpiło, tak iż z upragnieniem wyglądała chwili okazania się królestwa, ażeby się od tych przykrych wrażeń uwolnić.

Nastąpiła wkrótce oczekiwana chwila; mocno serce Maryi bić zaczęło, gdy się podwoje otworzyły i dworzanie króla poprzedzać zaczęli. Uczucie upokorzenia przejęło jej umysł, gdy ją damy dworskie z pewnym wyrazem urągania mijały; lecz żywy rumieniec okrył lica, gdy się królestwo Ichmość okazali, a zwłaszcza gdy za niemi księcia Jakóba spostrzegła. Świadomy wszelkich stosunków byłby wyczytał na twarzy Maryi największe pomieszanie i najżywszą walkę wewnętrznego uczucia, któreby może było przemogło nad stałością umysłu, gdyby królewicz był choć tak jak dawniej zbliżył się do niej i uprzejmie z nią rozmawiał, albo przynajmniej jakiegokolwiek udziału dał oznaki. Lecz on pozostał na brzegu sali i zajął się rozmową z dwoma panami dworskimi, którzy mu mieli towarzyszyć w wkrótce nastąpić mającej podróży do Berlina, i przy tem zupełnie był obojętny na to, co się opodal niego działo. Ta okoliczność dodała jej odwagi, i gdy król dawszy posłuchanie celniejszym panom ku niej się zbliżył i kilka słów uprzejmych z powodu jej oddalenia się przemówił, przyklękła przed nim rozrzewniona Marya i rzekła:

— Miłościwy królu! Ty, którego wielkość od dzie-

ciństwa uwielbiać nawykłam, Ty najłaskawszy Panie, któryś się raczył opiekować sierotą, racz dozwolić, ażebym oddalając się od przybytków wielkości twojej, raz jeszcze do Ciebie pokorną prośbę zaniosła. Nieodżałowany mój ojciec mawiał mi zawsze, że Ty królu wiernych sług twoich kochać i nagradzać umiesz; z ufnością przeto wnoszę prośbę moję za tym, który miał być mężem i ojcem dla mnie, a który się zawsze do twoich wiernych liczy: błagam łaski twojej N, Panie za uwięzionym Ruszczycem.

— Za uwięzionym Ruszczycem? — zapytał król zdziwiony podając rękę Maryi na znak aby powstała — ja o tem nic nie wiem — i dodał obracając się do marszałka — cóżto się stało, co za powód do tego?

— Pod niebytność W. K. Mci — rzekł marszałek, spoglądając z uszanowaniem na królowę, która się była ku nim zbliżyła — zapadł wyrok sądowy skazujący brygadyera Ruszczyca na wieżę, za wyzwanie na pojedynek dworzanina W. K. M.

— Dlaczegóż się zaraz do mojej łaski nie odwołał? zapytał król dalej.

Marszałek zamilkł i spuścił oczy, aby nie spotkać wejrzenia królowej, która przybrawszy powierzchowność łaskawości rzekła:

— Lubo niewczesne uniesienie brygadyera Ruszczyca niełaskę moję na niego ściągnąćby powinno, gdyż tu rzecz szła o mego dworzanina; przebaczam mu wszelakoż z całego serca i proszę W. K. Mci, abyś raczył go ułaskawić i wysłuchać prośbę panny Modrzejowskiej.

Król uśmiechnął się uprzejmie do małżonki swojej,

jakby chciał okazać ukontentowanie swoje za ten dowód łaskawości z jej strony, i przyrzekł Maryi rychłe uskutecznienie tego o co prosiła. Królowa przeszła dalej, darząc ją i podkomorzynę lekkim skinieniem głowy i wyrazem niby uprzejmej przychylności, który wewnętrznej niechęci zupełnie pokryć nie zdołał.

Wkrótce potem skończyły się pokoje dworskie. Książe Jakób do końca nie zważał wcale na Maryą, i przechodząc przez pokój tak bardzo był zajęty rozmową z przybyłym z Berlina francuzem, iż przeszedł nawet koło Maryi i wcale jej nie zważał. Gdy go zdaleka idącego ku sobie spostrzegła, wątła jakaś otucha przez nawyknienie do dawnych uczuć wzbudzona zajęła umysł Maryi. Wzruszenie jej było widoczne, rumieniec wystąpił na twarzy, nie śmiała spojrzeć na zbliżającego się księcia, oczy spuszczała na ziemię i była w największem pomieszaniu, nie mogąc sobie zdać sprawy, jakie uczucie w niej przemaga: czy obawa wystawienia się na nową walkę namiętności, czy też nadzieja, że się książe w jej oczach uprawiedliwić potrafi. Lecz gdy, będąc w tak gwałtownem poruszeniu, spostrzegła, iż ją minął i wcale na nią ócz nie zwrócił, gdy śledząc za nim tęsknem okiem, widziała jak za rodzicami szedł do dalszych pokojów; ciężki smutek ogarnął jej serce, tak iżby była rada rzewnie zapłakać, gdyby nie miała tylu świadków swojej słabości, a obawiając się, ażeby ktoś nie odkrył jej wzruszenia, wzięła żywo podkomorzynę za rękę i rzekła pomieszana: — Ach ciotko! już wszyscy wyszli, my ostatnie zostaniemy, oddalmy się czemprędzej... Ach!

jak tu duszno, jak zgiełk ten głuszy i odurza... potrzebuję odetchnąć świeżem powietrzem.

XXI.

Otóż dwór, Joachimie, z skutków i z zadatków :
Temi ścieżki iść musi, kto się dworu trzyma.
Wsi swobodna! szczęśliwy kto ciebie się ima,
Niekształtne twoje zyski, prawda, ale trwałe;
Niech dwór stawia złudzonym widoki wspaniałe,
Niechaj cieszy nadzieją; niźli się ta ziści,
Lepsze małe, lecz pewne wieśniacze korzyści.
Krasicki Sat.

Tego samego dnia jeszcze pospieszył Jordan do więzienia Ruszczyca, donieść mu o łasce królewskiej, którą dla niego Marya wyjednała. Zastał go zamyślonego i smutniejszego jak go zwykle od czasu powrotu swego z Grodna widywał. Przypisując to zasmucenie nudom i przykrzeniu sobie więzienia, rzekł wchodząc:

— Rozmarszcz Damijanie czoło, bądź dobrej myśli, niosę ci pocieszającą nowinę, która dwór cały cieszy: król ułaskawić cię postanowił.

Obojętnie powstał z miejsca Ruszczyc, postąpił kilka kroków naprzeciw przyjacielowi, ścisnął mu mocno rękę i rzekł:

— Dziękuję ci za szczery udział w mojej niedoli; twoja przyjaźń jest dla mnie najmilszą pociechą, ty należysz do tych rzadkich, którym ufać, na których polegać można.

— Ale twoje czoło jeszcze zasępione, ciebie odzyskana wolność nie rozwesela, czyliżeś nie dosłyszał com powiedział? Król cię ułaskawił, jutro więzienię opuścisz.

— Wiem i zrozumiałem. Mało mię to obchodzi, czy jutro czy za kilka miesięcy ztąd wyjdę. Czegóż mi tu nie dostaje? Mam wygody wszelkie, towarzystwo dobrane i dobrych przyjaciół wielu, którzyby mi pustynię w raj zamienić zdołali; a łaska spóźniona przestaje być łaską. Jedno z dwojga: albom jej nie był godzien dla wielkości przewinienia, a wtenczas, ani dziś, ani jutro, ani dniem wprzódy przed spełnieniem wyroku, nie godziło się łaski świadczyć winowajcy; albo też byłem godzien względów, a wtenczas nie trzeba było dopuścić, aby mnie sąd przestępcą mianował.

— Damijanie! ty obwiniasz naszego dobrego Pana, ty utyskiwasz na ukochanego monarchę! może nawet ostygło w twem sercu przywiązanie ku niemu, a nie pomnisz na to, że król do dziś dnia o niczem nie wiedział.

— Domyślałem się tego, i to jedyną było pociechą. Ja na króla nie narzekam, równie mu zawsze wiernym, równie do niego przywiązanym jestem; ale mnie to boli właśnie, że się cośkolwiek w kraju bez wiedzy jego dzieje. O kobiety! kobiety! Szczęśliw kto waszej przemocy uniknąć może.

— Cóż robić, zapomnij o tem; czemu zaradzić trudno, nad tem próżno ubolewać. Królowa zapewne...

— One wszystkie takie — przerwał Ruszczyc i zamilkł.

— Skądże ta niechęć ku wszystkim, ty przynajmniej nie masz powodu użalania się na kobiety.

— Ja nie mam powodu? — rzekł z gorzkim uśmiechem Ruszczyc. — Zapewne nigdybym się nie był

spodziewał, ażeby ta, której zawsze najszlachetniejsze przypisywałem uczucia, mogła być zdolną okazania obojętności względem mnie, a tem mniej jeszcze, aby mogła kiedykolwiek być niewdzięczną.

— Cóż to; czy do Maryi ściągać się mają te wyrzuty? o jakże mylne uwodzą cię wieści! jak możesz tak łatwo dać wiarę plotkom zapewne.

— Nie, ja nie jestem łatwowiernym; potwarz do mnie przystępu nie znajdzie, ale temu wierzę o czem się przekonam.

— O czemżeś się mógł przekonać wśród murów twego więzienia, nieświadomy tego co się na dworze działo?

— Widziałżeś wchodząc do mnie w przedsionku starego sługę mego, chorobą złożonego? On był w Grodnie, on widział co się tam działo, cierpiał za mnie... a zdanie wiernej prostoty podejrzanem być nie może.

Uśmiechnął się na to Jordan i rzekł:

— I ty wierzysz temu, co ci prosty człowiek, nie mogący mieć żadnego przystępu do dworu, doniósł?

— Posłuchaj cierpliwie, a potem dopiero sądź, czy należy zawierzać jego powieści. Bez mojej wiedzy, uniesiony gorliwą chęcią służenia panu swemu, udał się mój stary sługa do Grodna. Przypadek zdarzył, że natrafił na Pannę Modrzejowską, która mu obiecała ułatwić przystęp do króla; a jednak potem obojętnem okiem na to patrzała, gdy go siepacze dworscy katowali i z miasta wygnali. Widział ją wtedy, gdy go u bramy zamkowej schwytano, bo właśnie przez dziedziniec przechodziła; wzywał jej pomocy, lecz ona minęła obojętnie

i nie ujęła się za tym, który cierpiał przez przychylność dla swojego pana. Nie, Jordanie, czyn ten szlachetnej duszy nie oznacza; nie dowodzi tego, aby Ruszczyc był w dobrej pamięci u tej, od której mu się przynajmniej wdzięczność należy.

— Nie wiem wprawdzie co się słudze twemu w Grodnie przytrafić mogło, bo wróciłem tutaj wcześniej od reszty dworu, z rozkazu królewskiego, i musiało mnie już tam nie być wówczas, gdy on tej doznał przykrości; lecz o tem jestem najmocniej przekonany, że Maryą niewinnie posądzasz, gdyż dzisiaj sam byłem świadkiem tego, jak do nóg królowi upadła i łaski jego dla ciebie błagała, a potem na zawsze dwór porzuciła.

— Jakto — zawołał Ruszczyc — Marya oddaliła się ze dworu? cóż jej do tego mogło być powodem?

— Ta właśnie przychylność i wdzięczność dla ciebie, które ty jej odmawiasz. Słuchaj i wyznaj potem, żeś był niesprawiedliwy, bo po oddaleniu się Maryi ze dworu wyjawione zostały powody, które ją do opuszczenia onegoż skłoniły.

Tu opowiedział Jordan wiadome już przykrości, których Marya z powodu gorliwego wstawienia się za Ruszczycem doznała i wszystko co następnie dla niego zrobiła. Podczas powieści jego widać było radość na twarzy Ruszczyca; a gdy skończył, zawołał z uniesieniem:

— Jordanie, wróciłeś spokojność duszy mojej. Szczerze żałuję za posądzenie szlachetności Modrzejowskiej, i pierwszej chwili wolności mojej użyję na to, ażeby jej złożyć dzięki za jej poświęcenie się dla mnie i na-

kłonić ją do powrócenia do tego dworu, gdzie ją tak piękne nadzieje czekały.

— Próżnobyś się kwapił, nie znajdziesz jej już w stolicy, bo ją natychmiast po ostatniej bytności u dworu wraz z ciotką opuściła.

— Jakto, już odjechała? a królewicz co na to? cóż się stanie z dalszemi widokami naszemi?

— Na to wszystko nie umiem odpowiedzieć; zdaje się, iż doznane przez Maryą przykrości odstręczyć ją musiały od dłuższego pobytu u dworu.

— To potrzebuje wyjaśnienia. I ja postanowiłem porzucić dwór, który już moich usług nie potrzebuje; ale na to nie pozwolę, aby z mojej przyczyny Marya świetnych widoków swoich wyrzec się miała.

Stosownie do takiego postanowienia żądał Ruszczyc uwolnienia od obowiązków, skoro tylko po oswobodzeniu swojem królowi był przedstawiony. Z rozrzewnieniem przyjął dowody łaskawości monarchy; oświadczył gotowość swoję służenia ojczyznie w każdej potrzebie, lecz nie chciał przyjąć żadnych stałych obowiązków i wkrótce opuścił stolicę, pospieszając za Maryą, w nadziei, że ją jeszcze nakłoni do tego, aby się do dworu wróciła. Ona zaś nagliła była ciotkę do niezwłocznego opuszczenia Warszawy po ostatniej swojej bytności w Wilanowie; bo wewnętrzna żałość ściskała jej serce na widok tego wszystkiego, co jej dawną świetność przypominało, i osłabiało tę moc duszy, która ją do porzucenia dworu nakłoniła.

Wyjeżdżając ze stolicy napotykała po drodze karety z sześciokonnemi cugami, w całej świetności dwor-

skiej do Wilanowa lub napowrót do Warszawy spieszące, którym się skromny podróżny pojazd podkomorzyny z drogi umykać musiał. Marya kryła się w pojeździe za każdem spotkaniem, bo upokarzającym był dla niej widok świetności dworskiej, od której na zawsze się oddalała, tak dalece iż unikała tego jako najpilniej, aby ją kto znajomy nie spostrzegł. Już miały zjeżdżać z tej drogi w dalszą podróż, gdy tuman kurzu nowe oznajmił spotkanie. Kilkunastu drabantów dworskich pędząc w przodku dali znak ustąpienia się na bok pojazdowi podkomorzyny i zatrzymania się póki dworskie karety nie miną. Marya zasłoniła się w głębi pojazdu, lecz ukrywając się przed innemi, nie mogła się oprzeć ciekawości widzenia raz jeszcze przejeżdżających królestwa. Zbliżyła się poszóstna kareta lauframi poprzedzona, siedziała w niej królowa i książe Jakób, który wychylił się z karety i spoglądał na pojazd podróżny, usiłując rozeznać siedzące w nim osoby, a potem obrócił się szybko do królowej, jakby jej zdawał sprawę z dostrzeżeń swoich.

To spotkanie przeraziło Maryą pomimo słusznych powodów żalu do królewicza; rada była widzieć go raz jeszcze, tą nawet nadzieją cieszyła się skrycie, gdy spostrzegła zbliżające się pojazdy dworskie i ukrywając się w własnym pojeździe z bijącem sercem na przejeżdżający poglądała. Lecz pragnęła znaleść jaką pociechę w wejrzeniu królewicza, cieszyła się tą otuchą, że ją pozna, że wówczas żal jakiś na jego twarzy malować się będzie; a tymczasem nie tylko obojętność, ale nawet pewien wyraz urągania na tej twarzy widać było. Tak

się przynajmniej zdawało Maryi; bo kto w oczekiwaniu zawiedziony został, kto się musiał wyrzec samej nawet nadziei wzajemności, ten równie jest skłonny widzieć wszystko gorzej jak jest w istocie, i upatrywać przywary w ukochanej niegdyś osobie, jak szczęśliwy kochanek wszystko na dobre tłómaczy i doskonałości w samych nawet przywarach upatruje.

Jakkolwiek przykrem było wrażenie, które Marya przy tem ostatniem spotkaniu odebrała, nie mogła wszelakoż oprzeć się uczuciu tęsknej żałości, gdy przy zakręcie drogi raz jeszcze wieżę stolicy ujrzała. Niedługo miały zniknąć z jej oczu te ostatnie przypominki miejsca, które złudzona jej wyobraźnia za świetny i dozgonny pobyt dla niej przeznaczała. Te szczyty jaśniejące zdaleka połyskiem promieni słonecznych były już zbyt wzniosłe i wspaniałe dla tej, która odtąd pod wieśniaczą strzechą wiek nadziei i wiek wspomnień pędzić miała. Pewniejsze były widoki szczęścia w tem wiejskiem ustroniu, do którego zmierzała, lecz obraz tej świetności, którą na zawsze rzucała, zbyt mocno zajmował umysł, aby się od niego oderwać i myśl do szczęścia bez chwały przenieść mogła.

Gdy wróciła do domu, zacierały się zwolna ślady wrażeń, które tak długo umysł łudziły. Rodzicielska troskliwość opiekunów, odbierane dowody szczerego przywiązania od domowników i od wieśniaczego ludu, wśród którego wzrosła, przypomniały Maryi, iż wróciła do tego grona serdecznie kochających ją przyjaciół, które niegdyś z takim żalem opuszczała. Coraz rzadziej osiadał smutek na jej twarzy, a łza tęskna wspomnienia

wtedy tylko zraszała jej lica, gdy w samotności nad minionym czasem rozpamiętywała i utracone nadzieje jak sny marne w pamięci przebiegały.

Jedna myśl tylko trapiła ją ciągle; Ruszczyc zgłosi się wkrótce o jej rękę. Miałaż jeszcze dłużej puszczać w odwłokę spełnienie życzeń jego i wykonanie woli ojcowskiej, lub ślubować temu, któremu tylko szacunek poświęciła, gdy inny jej serce zajmował? Miałaż go zdradzać i zmyślonem łudzić przywiązaniem, lub też wyznać przed nim swe błędy? Miłość własna powstawała przeciwko tej ostatniej myśli, lecz przemagające uczucie szlachetnej otwartości nakazywało jej wykonanie jako nieodzowny obowiązek. Trudność jej położenia powiększyła się jeszcze, gdy wynurzywszy strapienie swoje przed podkomorzyną, dowiedziała się od niej, iż owe szlachetne wyznanie, które Ruszczycowi uczynić zamierzała, było już zapóźne, z powodu że on od dawna znał jej skłonności i onym pobłażał. Jakże upokorzającą była dla niej ta wiadomość! Szlachetność postępowania Ruszczyca wyższe dla niego jednała poważanie, lecz obok tego była pewnem poniżeniem dla Maryi. Ona dała się przewyższyć jemu w sposobie myślenia i we względach; on wszystko dla niej poświęcił, a ona dla niego nic nie uczyniła. Za tyle dowodów przywiązania ku sobie czemże mu się mogła wywdzięczyć? Czyliż ta ręka, która dla niego niegdyś była tak pożądaną, może mieć dzisiaj jaką wartość, gdy ją tylko jako odrzuconą przez innego przyjmuje? Po tem, co dotąd uczynił, nie można było spodziewać się nawet, że nie zechce dopełnić uczynionych dawniej ślubów; a czy te śluby nowem z jego strony

me będą poświęceniem? Wszystkie te względy truły spokojność Maryi, ze drżeniem wspominała na chwilę przybycia Ruszczyca, bo widziała w nim tego sędziego, przed którym jako winna ma stanąć, aby w upokorzeniu własnem zasłużoną odebrać karę.

Wkrótce nadeszła ta tak stanowcza a przykra dla Maryi chwila. Ruszczyc przybył w kilka niedziel po jej powrocie, z całą okazałością nowożeńca i z ową otwartą wesołością na twarzy, która wszystkich uszczęśliwiała i samej Maryi dodała niejakiej odwagi. Dobrze to było póty póki tylko o rzeczach potocznych rozprawiano, lecz gdy nazajutrz po swojem przybyciu Ruszczyc zaprosił Podkomorstwa do osobnego pokoju, gdy Marya sama pozostawszy czas niejaki, drżąca cała domysły nad powodem do tego oddalenia się czyniła, gdy nakoniec ujrzała wszystkich wracających z ubocznego pokoju; zbladła mocno i tak się zmieszała, iż nawet nie zdołała dostrzedz wyrazu radości, który na twarzach Podkomorstwa i Ruszczyca jaśniał.

On zaś zbliżył się uprzejmie do Maryi, wziął ją za rękę i obracając się do Podkomorstwa rzekł:

— Jaśnie Wielmożne mnie wielce Mościwe Państwo! Wy którzy zastępujecie miejsce odumarłych rodziców JPanny Modrzejowskiej, mnie już od lat tylu narzeczonej, raczcie wybaczyć mi, jeżeli sam, bez użycia żadnego pośrednika, śmiem Was upraszać o dozwolenie, aby zamierzone od dawnego czasu i tylekroć z mojej winy odwlekane związki małżeńskie tandem nastąpić mogły. A ciebie Pani! — dodał obracając się do Maryi — upraszam, abyś z równie życzliwem jak zawsze ku mnie

sercem, raczyła przyczynić się do prośby mojej, i spełnić te najgorętsze życzenia, które we mnie wysokie przymioty twej duszy, wola twego ojca i własne twoje przyzwolenie wzbudziły.

Przez cały czas tej przemowy miała Marya oczy spuszczone na ziemię, żywy rumieniec pokrywał jej lica, największe pomieszanie malowało się na twarzy, milczała chwilkę chcąc nabrać odwagi; nakoniec usunąwszy lekko rękę wprzód Ruszczycowi podaną, zbliżyła się nieco ku ciotce, jakby jej pomocy błagała i rzekła:

— Próżnobym usiłowała ukryć pomieszanie moje i walkę uczuć, które sercem mojem miotają; wszystkim wam aż nadto dobrze wiadoma ich przyczyna. Wy czytacie w mojem sercu i wiecie jaką jest goryczą przejęte, jakie w niem wyrzuty sumienia czuję. Ach miejcie litość nade mną! nie powiększajcie mego upokorzenia przez zbyteczną względność i przez te dowody pobłażającej dobroci, na które nie zasłużyłam.

Tu przerwało rozrzewnienie na chwilę mowę Maryi; Ruszczyc był mocno wzruszony i nie zdołał natychmiast przemówić, lecz widać było, iż chciał ją uspokoić. Ona zaś przyszedłszy wkrótce do siebie, rzekła dalej:

— Czcigodny mężu, Wy któregom dostatecznie cenić nie umiała, któregom postępkami memi obraziła, nie zawstydzajcie mnie więcej dobrocią i szlachetnością waszą. Poznaję dopiero, jak wielki nas przedział rozdziela, i że nie powinnam przyjąć poświęcenia, jakie czynicie dla przyjaźni, która was z ojcem moim dozgonnie łączyła, chcąc spełnić dane mu przyrzeczenia i zawrzeć śluby małżeńskie z tą, która się poważyła lekceważyć śluby

dawniej uczynione, i temu poświęcić wiarołomne uczucie, na którego oka wznieść nie była powinna. Pozwólcie, Panie, ażebym poczytała krok przez Was uczyniony za dopełnienie danego zgasłemu ojcu memu słowa, i abym was uwolniła od wszelkich względem mnie obowiązków, bo czuję iż Was godną nie jestem.

— Pani — zawołał Ruszczyc, zbliżając się do Maryi i biorąc ją za rękę — jam Ciebie uznał godną korony, a ty się teraz prostego szlachcica godną być nie sądzisz!

— Nie łudźcie mnie Panie dłużej temi pochlebnemi wyrazy — rzekła spokojnie Marya — są one przykrym dla mnie wyrzutem; a jeżeli chcecie mi dać dowód waszego pobłażania, dajcie mi słowo, iż niechęci ku mnie mieć nie będziecie i że mi waszej nie odmówicie przyjaźni.

— Com raz przyrzekł, tego dochowam, — rzekł Ruszczyc z mocą. — Ten pierścień zaręczyn przez nieodżałowanego podskarbiego na palec mój włożony, jest świadkiem ślubów moich i wierności ich dochowania. Jeden wzgląd tylko mógł mnie odwieść od niedopełnienia tych przyrzeczeń; chciałem cię Pani widzieć na tronie, i jednemu tylko królewiczowi byłbym ustąpił twojej ręki. Długom się mamił mniemaniem, że on ciebie należycie cenić umie; jeszcze gdym za twojem wstawieniem opuszczał więzienie moje, postanowiłem pospieszyć za tobą Pani, aby cię nakłonić do powrotu, bom sądził, że chwilowe niełaski królowej ustaną i że spełnią się wyższe nadzieje, byleby książe stałym był w przywiązaniu. Lecz gdym miał opuszczać stolicę, doszła mię wiadomość o nastąpić mających zaręczynach królewicza z księżną

wdową brandeburską, jakoż przy mnie jeszcze w tym celu do Berlina wyjechał.

Na te słowa spuściła oczy Marya, i gorzki uśmiech osiadł na twarzy, a Ruszczyc rzekł dalej:

— Odkąd zaś znikła dla ciebie Pani nadzieja świetniejszego losu, racz przyjąć spokojne szczęście, które ci w mojem cichem ustroniu ofiarować mogę. Nie przyniosęć wielkiego imienia ani bogactw znamienitych w zamian za wiano cnót, wdzięków i dostatków, które z twojej ręki mam otrzymać; lecz jeżeli poczciwe imię, któremu ja okupem krwi własnej niejaką świetność nadałem, jeżeli niezłomna wierność tej, którą za dozgonną towarzyszkę życia niebo mi przeznaczyło, i szczere a stałe przywiązanie dostatecznemi małżonka mogą być przymiotami; składam je wszystkie u nóg twoich Pani i błagam, abyś tej aczkolwiek lichej nie odrzucała ofiary.

Milczała Marya, lecz wzrok słodyczy pełen zwróciła ku Ruszczycowi, i nieśmiało podając mu rękę stwierdziła własnem przyzwoleniem ten związek, który przyjaźń jej ojca skojarzyła.

XXII.

Tylem wytrwał, tyle wycierpiałem;
Chyba śmiercią bóle się ukoją,
Jeślim płochym obraził zapałem,
Tę obrazę krwią okupię moją.
Za coś dla mnie tyle ulubiona?
Za com z twojem spotkał się wejrzeniem?
Jednęm wybrał z tylu dziewcząt grona,
I ta cudzym przykuta pierścieniem!
Mickiewicz.

To wynurzenie wzajemnych uczuć i otwarte wy-

znanie słabości własnej, przywiodło ulgę i wróciło spokojność Maryi. Szlachetny sposób postępowania Ruszczyca wzbudził w niej to uniesienie, które cnoty i świetne czyny w czułej duszy wzniecają. Do poważania, jakie zawsze dla niego miała, przyłączyła się wdzięczność i uwielbienie rzadkich przymiotów serca, a te uczucia były zapowiednią, jeżeli nie owej żywej miłości, która urokiem swoim zachwyca i słodkiem marzeniem pieszczonego szczęścia przyszłe chwile życia otacza, to przynajmniej owego przywiązania, które uznanie zacności i rzadkich przymiotów osoby wzbudza, a przyjaźń w dozgonną i jednostajną potrzebę serca zamienia. Odtąd zniknęły wszelkie namiętne wzruszenia, nie było już w sercu Maryi owej walki uczucia i powinności, lecz nie było także miłych złudzeń wyobraźni ani nadziei chwały. Przeszłość była dla niej żywym i świetnym obrazem, który zachwycał i smucił; a przyszłość pasmem pospolitego i spokojnego pożycia, którego jednostajne widoki nie zachwycały wprawdzie, lecz obok tego ani obawy ani smutku wzbudzały.

Niedługo nastąpiły gody weselne; Marya poszła do ślubu spokojnie bez żalu i obawy; bo stracona nadzieja świetniejszego losu była tylko stratą urojonych marzeń, a sposób myślenia i szczere przywiązanie Ruszczyca rękojmią niezachwianego szczęścia w pożyciu. Licznie zgromadzone obywatelstwo dzieliło spokojne szczęście nowożeńców, a dzień zawarcia dozgonnych ślubów był staropolskim zwyczajem dniem prawdziwie weselnym, z największą okazałością w domu podkomorstwa obchodzonym. Lecz nikt nie mógł przewidzieć, że niespodziany

wypadek powszechną wesołość zamiesza i trwogę między goszczącymi wzbudzi.

Gdy właśnie najhuczniej brzmiała muzyka we dworze podkomorstwa, przybyło przed dziedziniec dwóch jeźdźców i trzeci służący za nimi; zatrzymali się przed bramą, zsiedli z koni, oddali je służącemu, a zakrywszy się sami obszernemi płaszczami, naprzód iść zaczęli. Będąc już na dziedzińcu, spostrzegli gromadę ludzi zebranych przed oknami i przypatrujących się goszczącym we dworze. Noc była ciemna i sprzyjała ich podstępnym, jak się zdawało, zamiarom. Zdaleka widzieli światło z okien rozchodzące się po dziedzińcu i oświecające lud wieśniaczy, to z ciekawością na wesołe państwo poglądający, to pląsający z okrzykami za odgłosem hucznej muzyki z otwartego okna do niego dochodzącej; lecz sami nie mogli być spostrzeżeni, bo wzrok wszystkich na dwór był zwrócony i przy powszechnem weselu nikt o czujności na złych ludzi nie myślał.

— Czekaj, nie idźmy dalej — rzekł jeden z nieznajomych w przodzie idący — tędy nie można się zbliżyć do dworu, tu za jasno i zbyt wiele ludzi. Trzeba zajść z innej strony; idź za mną; oto płot, przez który łatwo przeleźć do ogrodu, tam zapewne niemasz nikogo, będziemy się mogli podsunąć pod okna bez obawy aby widzieć goszczących, a wtenczas ci go pokażę.

Co powiedział to i wykonał wraz z towarzyszem swoim, i wkrótce stanęli pod zamkniętem oknem pokoju przytykającego do sali, w której tańczono, tak iż otwartemi drzwiami goszczących w tejże sali widzieć można było.

— Tutaj trzeba czekać cierpliwie, póki nam się nie pokaże — rzekł ten sam do swego towarzysza — przecież wyjdzie do tego pokoju.

— Ale jak się też weselą! — rzekł drugi — tam pląsają i skaczą, a tutaj sędziwsze grono kolejny kielich wytrząsa. Patrzaj Pan, jak się kłaniają nawzajem, jak się to wino z tego kielicha przelewa na ziemię, znać już drżącą rękę pijącego. Szkoda, doprawdy, żebym miał to wino, które teraz napróżno po ziemi rozlewają... aż mi ślina do ust idzie.

— Takeśto spragniony trunku i zabawy!... dla mnieby każdy kielich z tego domu pochodzący goryczą był zaprawny.

— Patrzajno Pan, jak się to koło pijących rozstępuje; oto idzie cały polonez z tamtej sali do tego pokoju, okrąża pijących i będzie koło naszego okna przechodzić. A jaka to piękna para w przodzie idzie! Jaka śliczna niewiasta, jaki dorodny tancerz!

— To on — odparł żywo pierwszy, chciwie wlepiając oczy w tańczących — przypatrz mu się dobrze. Widzisz jaka wesołość jaśnieje na jego twarzy; to ona przy nim... ach jakże piękna niestety! jak zachwycająca w tym godowym stroju; patrzaj co to za kibić, co za uśmiech anielski, jakie wejrzenie słodyczy i szlachetności pełne! Patrz jaka spokojność na jej twarzy, jak słodko pogląda na swego męża!... Tak bo on już jest jej mężem... Przypatrz mu się dobrze, to jest Ruszczyc, to jest ten, którego ja szukam.

— Ach Panie — odpowiedział drugi — szkoda, dalibóg szkoda, że to wasz nieprzyjaciel. Jakkolwiek spra-

wny jestem do wszelkich wypraw, w których idzie o poszukiwanie krzywdy czyjej, żal mi doprawdy, gdy wspomnę, że mamy przerwać ich wesołość i smutkiem ten dom napełnić.

— Cóżto, ty się wahasz podobno? ty stchórzysz może? gdybym cię był znał lepiej, byłbym innego przybrał towarzysza. Ale teraz zapóźno; jam ciebie zapłacił i dobrze, musisz wytrwać przy mnie do końca; wszakżeś mi sam swoje usługi ofiarował, odwołując się do świadectwa tylu panów, którym na sejmikach, zjazdach i w różnych przygodach szablą twoją służyłeś.

— O ja się nie powstydzę ani zręczności ani odwagi mojej — odparł tamten — mnie widok Ruszczyca nie odstraszy i będę wam służył, wtedy nawet, gdyby nas przemagająca siła obskoczyć miała. Ale dlatego wyznaję, iż wolałbym w każdej innej chwili, jak wśród wesela wyzywać pana młodego na pojedynek. Jestto najmilszy dzień w życiu, dzień pamiętny najwyższem szczęściem i rozkoszą, dzień w którym nowe zaczynamy życie; jakże to smutno, dzień taki w chwilę śmierci, a łoże weselne na grób zamieniać!

— Kto ci mówi, aby dla niego grób miał być przeznaczony? Nie przybyłem ja tutaj jako podstępny zbójca, nie chcę jego śmierci, lecz muszę dopomnieć się krzywdy mojej. Dla mnie nie masz przyszłości, im prędzej tym lepiej opuścić ten padół, na którym szczęście dla mnie jaśnieć nie chce. Dla niego później okropniejszeby było pożegnanie świata i przecięcie pasma szczęśliwego pożycia.

— Ja zaś wolałbym kiedykolwiek indziej jak w dzień

samego wesela rozstawać się z dopiero co pojętą małżonką. Ale kiedy tak chcecie koniecznie, Panie, cóż tedy czynić potrzeba?

— Idź prosto do dworu, wmieszaj się między goszczących; nie różnisz się strojem od innych, w tłumie nikt ciebie zważać nie będzie. Miej na pilnem oku Ruszczyca, a gdy się oddali od innych, przystąp do niego i szepnij mu zręcznie do ucha: że Mondor na rozstajnych drogach czeka na niego. Oto masz kilka wyrazów z podpisem moim, które mu zobowiązanie się nasze na placu boju przypomną. Idź śmiało...

To rzekłszy spojrzał w okno i chwytając szybko za rękę towarzysza swego zawołał:

— Czekaj, nie chodź jeszcze... widzisz go, oto wyszedł z tamtej sali... trzyma ją za rękę... kolejnym kielichem zajęci goszczący nie widzą ich wcale... Zbliża się ku nam... patrz jak poufale sparła śnieżne ramie na jego barkach... widzisz ten wyraz smętnej czułości na całej jej postawie rozsiany... Ściska mu rękę z czuciem; — spogląda rozrzewnionem okiem na niego — patrz jak on ją tuli do łona... to jego małżonka... Łzy płyną po licach; skąd ten smutek wśród samej rozkoszy? Czyliż niepojęte przeczucie... Ach nie chodź do dworu, czekaj jeszcze... nie przerywaj tej chwili szczęścia... Otarła łzy naprożno stłumione — oddala się, wraca — już znikła... Ach ja nieszczęśliwy!

— I my wróćmy, Panie, tędy na lewo, oto jest ścieżka, oto ten sam płot. Przejdźmy cicho przez dziedziniec, za bramą czekają konie nasze.

Tak mówiąc, prowadził głęboko zamyślonego Mon-

dora, który milczał posępnie i zdawał się ulegać namowie. Już byli blisko bramy dziedzińca, gdy się raptownie zatrzymał, jak gdyby się nagle ocucił; spojrzał na dwór, z którego tłumnie okrzyki weselącego się przed oknami ludu do niego doszły; schwycił za rękę towarzysza swego, spojrzał wzrokiem obłąkania i rozpaczy na niego i rzekł groźnym głosem:

— Idź, wypełnij com ci polecił; czekam was na rozstajnych drogach.

To rzekłszy wybiegł za bramę, porwał konia z rąk masztalerza, który w zadumaniu na pląsających przed dworem spoglądał, dosiadł szybko konia, ruszył naprzód, kazał spieszyć za sobą i luźnego konia towarzysza swego za sobą poprowadzić. Cwałem przebiegł wieś całą, u karczmy zatrzymał się chwilę, kazał zatleć jednę pochodnię, których pęk służący u siodła miał wtroczony i kazawszy mu świecić przed sobą, jakby dla ułatwienia podróży, pospieszył na umówione miejsce.

We dworze trwały tymczasem nieprzerwane tańce i wiwaty. Ruszczyc stał z Jordanem w końcu sali blisko drzwi wchodowych, z upodobaniem przypatrywał się Maryi, która z właściwą sobie zręcznością mazura tańczyła i kiedy niekiedy przerywał to milczące zachwycenie wynurzaniem swojej szczęśliwości przed Jordanem.

To słodkie zadumanie przerwało lekkie ruszenie za ramie. Drgnął nieco, obejrzał się szybko i spostrzegł nieznanego sobie towarzysza Mondora.

— Panie! — rzekł tenże — przybył tu dworzanin królowej, który pragnie widzieć się z wami; kazał on mi doręczyć wam list ten, zawierający powody jego przybycia.

Porwał szybko list Ruszczyc, spojrzał nań, schwycił mocno za rękę Jordana, szepnął mu coś do ucha, i wychodząc z nim razem z sali, zapytał idącego za nim szlachcica:

— A gdzie on jest?

— Niedaleko — odparł tenże stłumionym głosem — staj kilka za wsią na drodze ku Lwowu, gdzie figura przy rozstajnych drogach stoi. Broń i pochodnie, wszystko jest przygotowane.

— Dobrze — rzekł Ruszczyc, i pociągając za sobą Jordana, przeszedł przez przedpokój, a spostrzegłszy w nim Kulika zawołał na niego, kazał mu iść po broń własną i spieszyć za sobą w oznaczone miejsce; sam zaś z dwoma towarzyszami swymi przez dziedziniec ku wsi pospieszył.

Lecz wierny sługa Ruszczyca, gotów zawsze wypełnić rozkazy pana swego, przeraził się tym, który mu był wydany; a obawiając się, ażeby się pan jego na nierówną walkę nie wystawiał, i przeczuwając jego nieszczęście, poszedł wprawdzie po pistolety, których pan żądał, lecz zamiast spieszyć za nim, wrócił do sali godowej, a trzymając broń zabójczą w ręku wpadł między koło tańczących i zawołał donośnym głosem:

— Kto w Boga wierzy, niech mego pana ratuje!

Rozstąpili się wszyscy, wyraz trwogi osiadł na wszystkich twarzach, stłumiono znakiem i okrzykiem głuszącą muzykę, otoczono Kulika, żywo zadawano mu pytania, a gdy wskazał miejsce, do którego mu Ruszczyc z bronią za sobą iść kazał, zerwało się kilkunastu młodzieży do szabel i z groźnym okrzykiem wypadli z pokojów.

W pierwszej chwili trwogi i pomieszania, gdy się wiadomość o niebezpieczeństwie męża o uszy Maryi obiła, nie mogła znieść gwałtownego przerażenia i zemdlała. Lecz wkrótce ocucona, odzyskawszy przytomność, wyrwała się z rąk trzeźwiących ją niewiast, i wołając przeraźliwie:

— Gdzież on jest? — wypadła szybko z pokoju, a spostrzegłszy w sieni Kulika tłoczącego się za tymi co najpierwsi wybiegli, schwyciła go za rękę i rzekła z mocą:

— Gdzież jest?... gdzie on jest?... prowadź... biegnij.

Tymczasem stanął już był Ruszczyc z Jordanem na placu boju. Pochodnie już były zatlone i po dwóch bokach drogi w ziemi utkwione. Rozpostarty płaszcz leżał przy nich na ziemi, a na nim para pistoletów. Masztalerz stał opodal trzymając konie, a Mondor chodził z założonemi rękoma po drodze w głębokiem zamyśleniu. Gdy usłyszał kroki idących, zatrzymał się w miejscu, spojrzał ponuro lecz śmiało na zbliżających się, a spostrzegłszy Ruszczyca, skłonił lekko głowę i rzekł:

— Witam was Panie! Byłem pewien, że mi nie odmówicie tej ostatniej przysługi, i że będziecie pamiętali na przyrzeczenie niegdyś w Ujazdowskim lasku mi dane. Wybaczcie, że mniej dogodną chwilę do ukończenia rozprawy naszej obrałem; lecz nie mogłem prędzej, a później byłoby jeszcze gorzej.

— Mniejsza o to, odparł Ruszczyc zrzucając z siebie ferezyą, którą był wziął po drodze. — Każda chwila dobra, gdy idzie o zmycie hańby lub ukrócenie zuchwałości. Nie traćmy czasu na próżnych słowach; mnie ko-

niuszy nadworny Jordan, a Waszmości bez wątpienia ten przysłany mnie szlachcic za świadka i towarzysza służyć będą. Uczyńcie co do was należy.

To rzekłszy, odstąpił kilka kroków i czekał spokojnie wypełnienia przygotowań do pojedynku.

Wtem dał się słyszeć za nimi hałas, który się coraz bardziej wzmagał, aż wyraźnie zgiełk biegnących ludzi i szczęk broni usłyszano. Obejrzał się Ruszczyc i spostrzegł z daleka połyski dobytych szabel, które się w niepewnem świetle pochodni, rzucanem na zciemnioną okolicę, migały. Domyślając się co to być może i słysząc groźne okrzyki zbliżających się, które zagładą przeciwnikowi jego groziły, zerwał się do szabli, Jordanowi toż samo uczynić zalecił, zbliżył się ku Mondorowi, stanął między rozpalonemi pochodniami, i obracając się ku nadbiegłym już goszczącym, wstrzymał pałaszem zapęd pierwszych i zawołał:

— Hola! panowie bracia; wstrzymajcie się, jesteście w błędzie, mniemacie może, iż tu jaka zasadzka przeciw mnie jest zrobiona i spieszycie w mojej obronie; lecz tak nie jest. Dziękuję wam za ten dowód przychylności waszej, ale raczcie ustąpić i powrócić spokojnie do dworu, ja wkrótce między wami będę, skoro się tylko rozprawię z tym dworzaninem królowej, który i mnie z pewnego czynu sprawę zdać musi i ode mnie zadosyćuczynienia żądać ma prawo.

Nie zważano na to wezwanie Ruszczyca i połysk szabel w górę wzniesionych rozsiekanie zapowiadał Mondorowi, który stał spokojnie za zasłaniającymi go,

Jordanem i Ruszczycem i zuchwałem wejrzeniem zdawał się poniekąd wyzywać nacierających.

Przeraźliwy krzyk niewieści dał się z nagła słyszeć wśród tego zgiełku. Obiegłszy w koło skupionych nacierających i broniących, przybiegła Marya z rozpaczającym wyrazem i błagalne wznosząc ręce stanęła między walczącymi.

Na widok niewiasty zatrzymali się wszyscy; spuszczono szable; Ruszczyc odstąpił na bok i odsłonił Mondora. Spostrzegłszy go Marya domyśliła się wszystkiego; wyraz zgrozy zajął miejsce trwogi, którą przejęta była. Zwróciła się ku niemu, wlepiła w niego wejrzenie wyrzutów i pogardy pełne i rzekła z mocą:

— Tyżeśto przybył tutaj, najsroższy mój prześladowco, ażeby przebrać miarę niegodziwości twojej? Nie dośćże miałeś pociechy z tylu zgryzot i dolegliwości, których z twojej przyczyny doznałam, żeś jeszcze przybył w sam dzień godowy zabić mego małżonka? Jeżeliś krwi chciwy, uderz śmiało, Marya chętnie zginie za tego, który jej sławy bronił, a przez to oszczędzi tobie zbrodnię morderstwa na tym popełnioną, który tobie życie ocalił.

Mondor stał jak skamieniały, drżenie rąk i ust okazywało gwałtowność uczuć, które nim miotały. Zebrawszy się nieco, rzekł do Maryi:

— Nie lękaj się Pani o męża twojego; on z tej walki jako zwycięzca, jako twój mściciel wyjdzie. Nie taję tego: zawiść i chęć zemsty przywiodły mnie tutaj; lecz ukryty przed wami miałem sposobność widzieć was razem. Widziałem rozrzewnienie twoje Pani; łzy mnie twoje rozbroiły. Jeżelim stanął na tym placu śmierci, przyszedłem tu na to tylko, abym tu wieczną ulgę

cierpień moich znalazł. Nie lękaj się Pani, Mondor zabójcą twego męża nie będzie.

— Więc ty chcesz — zawołał zrywając się żywo Ruszczyc — abym ja sromotne nazwisko twego mordercy przybrał! Chceszli, uniesiony niewczesną łaskawością, darować mi życie, jakby to od ciebie zależało? Nie przyjmę tak hańbiącej mnie ofiary, w Boskim ręku wszystko; stawaj na placu, mierz dobrze, a wy odstąpcie na bok.

— Mężu — zawołała z rozpaczą Marya, klękając przed nim — ulituj się nad twoją Maryą. A ty Panie — rzekła obracając się do Mondora — jeżeli chcesz zatrzeć pamięć zgryzot, których się stałeś przyczyną, jeżeli nienawiść moję chcesz w przyjaźń i wdzięczność zamienić; wyznaj żeś zbłądził i proś o przebaczenie tego, który się swojej tylko krzywdy upominał.

— Twoje przebaczenie! twoja przyjaźń Pani! — zawołał z uniesieniem Mondor, posunął się naprzód, jakby błagalne wznosząc ramiona i zwracając się do Ruszczyca dodał:

— Mężu Maryi przebacz i bądź szczęśliwy.

— Wiwat! — krzyknęli wszyscy, a wśród okrzyków powszechnego wesela otoczono męża i żonę, szukano współzalotnika, aby wszystkich razem w tryumfie do godowego odprowadzić domu; lecz nie widziano Mondora; oglądano się za nim i gdy po daremnem wołaniu zrobiono chwilową ciszę, wtenczas usłyszano z daleka tentent koni, czwałem po drodze pędzących, a później wystrzał, który się rozległ głucho po okolicy.

KONIEC.

Biblioteka Główna w Kielcach

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
197945

Biblioteka WSP Kielce
0067997